



SIECI



WICEPREMIER PROF. PIOTR GLIŃSKI
CZŁOWIEKIEM WOLNOŚCI
TYGODNIKA „SIECI”



DODATEK
BOHATEROWIE
NIEPODLEGŁEJ

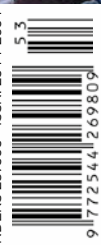
SIECI

NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE

Nr 53 (318) 2018
27 XII 2018–6 I 2019

CENA: 7,90 zł
(w tym 8% VAT)

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694



INNI O TYM MILCZĄ

CENZURA SZALEJE W EUROPIE

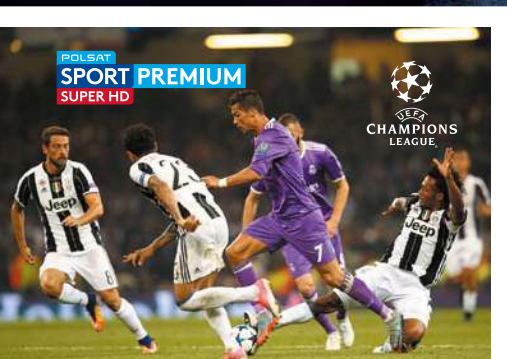
O CZYM NIE WOLNO MÓWIĆ
M.IN. W SZWECJI, NIEMCZECH I WE FRANCJI

eprasa.pl 6c63c8c615

Świąteczne promocje! Telewizja na start 6 miesięcy bez opłat!

HBO HD

ŚLEPNĄC OD ŚWIATEŁ



Promocje dla nowych Klientów dostępne przy umowach z okresem podstawowym składającym się z 24 okresów rozliczeniowych. „Bez opłat” nie dotyczy sprzętu. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. „Ślepnąc od światła” © HBO Europe s.r.o. 2018. „Legion samobójców” © 2016 Warner Bros. Entertainment Inc. and RatPac Entertainment, LLC. „Lego Ninjabo” i LEGO the LEGO logo and the Minifigure are trademarks of the LEGO Group © 2011. Wszystkie prawa do powyższych tytułów zastrzeżone.

eprasa.pl 6c63c8c615



Gwarant przyzwoitości

Nie miejmy złudzeń – to nie presja społeczna czy medialna zdecydowały o korekcie kursu PO w sprawie bonifikat za przekształcenie prawa użytkowania wieczystego we własność. Oburzenie to było wliczone w cenę organizatorów operacji. Na stole leży przecież 1,7 mld zł – to góra pieniędzy, na którą ochotę mają rozmaite postępowe organizacje, euroweeki, edukatorki seksualne, część biznesu, media III RP i ludzie tzw. kultury. Trzaskowski wygrał także dzięki nim, teraz wystawiają rachunek. A że jest początek kadencji, uznano, że w ciągu pięciu lat ludzie zapomną.

I sędzę, że wszystko by poszło tak łatwo jak kradzież kamienicy w czasach rządów Hanny Gronkiewicz-Waltz, gdyby nie reakcja polityków PiS. Napiętnował to oszustwo wyborcze prezes Jarosław Kaczyński, premier Mateusz Morawiecki polecił wojewodzie mazowieckiemu sprawdzenie uchwały, a Zdzisław Sipiera, znany ze skutecznego działania, zabrał się do pracy. Dużą akcję rozpoczęli warszawscy radni PiS.

Sprawa stała się realnym, namacalnym dowodem różnicy pomiędzy formacją zmiany dotrzymującą słowa a cynicznymi machinacjami w stylu zmiany wieku emerytalnego za rządów Donalda Tuska. Bolesna dla warszawiaków lekcja stała się kolejnym dowodem na tezę, że to PiS jest gwarantem przyzwoitości władzy w Polsce. Warto zapamiętać tę lekcję. Program 500+ czy wyższe zarobki też da się odwołać tuż po wyborach.

Michał Karnowski

Jak to z „urodzinami Hitlera” było?

Specyficznie podchodzący do swojej misji dziennikarze „Superwizjera” TVN24, obsypani gradem branżowych nagród, zapomnieli poinformować opinię publiczną, że tzw. surówka, czyli materiał pierwotny nagrany w ich reportażu z ukrytych kamer, „zniknęła”. Prokuratura otrzymała od TVN jedynie gotowy, zmontowany reportaż. Sprawę „zguby” ujawnił Prokurator Krajowy, który poinformował o tym Centrum Monitoringu Wolności Mediów SDP. Bogdan Święckowski potwierdził też ustalenia tygodnika „Sieci”, z których wynikało, że dziennikarze pili z uczestnikami „urodzin Hitlera” alkohol i w trakcie leśnej libacji namawiali ich do ataków na uchodźców oraz emigrantów.

Czy to oznacza, że ktoś boi się ujawnić wszystkie szczegóły maskarady w lesie pod Wodzisławiem Śląskim? Jak to się stało, że materiał, który miał piętnować „polskich neonazistów” i przyczynić się do ich ukarania, jest niepełny i w pewnej części procesowo bezużyteczny? Skąd się wzięła na tej imprezie młodziutka dziennikarka bez żadnego doświadczenia? Może było tak, jak zeznał organizator ustawki, że ktoś zapłacił mu za maskaradę 20 tys. zł, pod warunkiem że będzie w niej uczestniczyła ta stażystka?

Wszystkie te pytania mnożą wątpliwości dotyczące rzeczywistego udziału dziennikarzy TVN w „urodzinach Hitlera” z neonazistami. Czas już odkryć wszystkie karty.

Wojciech Biedroń


22

Z Nowym Rokiem – nowym (roz)krokiem!
Krzysztof Feusette


38

2019: świat ciekawszy, ale rozchwiany
Jan Rokita


63-78

Dodatek historyczny
Bohaterowie Niepodległej (cz. XII)

NA POCZĄTEK

- 6** **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8** **MUZEUM KODZIARSTWA**
Krzysztof Feusette
- 10** **POLSKA – CZAS MARZYCIELI!**
Jan Pietrzak
- 12** **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Piotr Skwieciński
- 14** **NA MARGINESIE INCYDENTU**
Bronisław Wildstein
- 16** **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17** **POLSKA ARCHITEKTONICZNIE INTRYGUJĄCA**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18** **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz
- 19** **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 20** **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

SZOPKA NOWOROCZNA

- 22** **Z NOWYM ROKIEM – NOWYM (ROZ)KROKIEM!**
Krzysztof Feusette

TEMAT TYGODNIA

- 28** **EUROPEJCZYK ZAKNEBLOWANY**
Aleksandra Rybińska
- 32** **Z PIOTREM GLIŃSKIM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

PROGNOZY 2019

- 38** **2019: ŚWIAT CIEKAWSZY, ALE ROZCHWIANY**
Jan Rokita
- 42** **POLITYKA NA WYBORY**
Stanisław Janecki
- 46** **WYRWAĆ SIĘ Z KĄTA**
Konrad Kołodziejewski
- 50** **CHIŃCZYCY TRZYMALI SIĘ MOCNO**
Piotr Skwieciński

KRAJ

- 54** **Z JULIĄ PRZYŁĘBSKĄ**
rozmawia Rafał Kotowski

HISTORIA

- 58** **WIELKOPOLSKA W OGNIU**
Wojciech Łada

NA NOWY ROK

- 79** **Z JOLANTĄ FRASZYŃSKĄ**
rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna
- 82** **ÜBERSPIEG**
Piotr Siabek
- 88** **„ARCTOWSKI”, CZYLI 14,5 TYS. KM STĄD**
Przemysław Barszcz

92 W UŚCISKU MAGII

Tadeusz Brzozowski

95 DRUŻYNA MARZEŃ

Marcin Wikło

96 SPOSÓB NA KOSTKĘ RUBIKA

Jaromir Kwiatkowski

101 Z ANNĄ POPEK

rozmawia Dorota Łosiewicz

104 CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY

Wojciech Stanisławski

106 POLECA I ODRADZA

Łukasz Adamski

108 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Piotr Zaremba

OPINIE

112 WE WŁADZY BANKÓW

Piotr Ikonowicz

GOSPODARKA

115 GLOBALNY SUKCES POLSKI

Kajetan Kutnowski

120 PO CO MA BYĆ LEPIEJ, SKORO MOŻE BYĆ GORZEJ?

Janusz Szewczak

122 KAPITAŁ MA NARODOWOŚĆ

Maksymilian Wysocki

KUCHNIA

124 MOJE SMAKI: POŁA NEGRI

Jolanta Gajda-Zadworna

125 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM

Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

126 NASZA POLSKA KONTRREWOLUCJA

Piotr Skwieciński

128 SŁUCHAĆ POLAKÓW, SŁUCHAĆ EUROPEJCZYKÓW

Maciej Pawlicki

130 KOMUNA WIECZNIE ŻYWA

Wojciech Reszczyński

131 FELIETONY

Witold Gadowski, Lech Makowiecki

132 KOSMOGONIE I AGONIE

Wiktor Świetlik

133 ŚWIĘTA BEZ POWODU

Aleksander Nalaskowski

134 FELIETONY

Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

136 NA KONIEC ROKU

Ryszard Makowski

137 ZEGAR SŁYSZĘ?...

Leszek Długosz

138 „NORMALNOŚĆ” BEZ NORM

Katarzyna i Andrzej Zybortowiczowie

Człowiek Wolności 2018

tygodnika **SIECI**

MAMY
LAUREATA!



TYTUŁ CZŁOWIEKA WOLNOŚCI 2018 TYGODNIKA SIECI OTRZYMUJE

PROF. PIOTR GLIŃSKI

WICEPREMIER, MINISTER KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

O laureacie czytaj na str. 32

Partnerzy
plebiscytu



Bank Polski
eprasa.pl 6c63c8c615



Sygnalista nadaje

Co przemawiałoby za wcześniejszymi wyborami? Przetawienie kalendarza (najpierw parlamentarne, później europejskie), wykorzystanie rozbicia opozycji, no i oczywiście ucieczka do przodu w obliczu kłopotów. A ich lista jest dość długa: ceny prądu, narastające roszczenia płacowe, obawa przed załamaniem się notowań, wreszcie walki frakcyjne. Idea jest więc kusząca, ale i ogromnie ryzykowna. Bo w takiej sytuacji utrata władzy będzie bolała podwójnie.

Notowania PiS są stabilne, również wskaźniki nastrojów społecznych wyglądają całkiem nieźle. Partia Kaczyńskiego przełamała żelazny dotąd schemat wysokiej akceptacji dla rządu zaraz po wyborach, a potem stałych spadków. **Beata Szydło** zaczynała z relatywnie niskiego poziomu, ale krok po kroku zdobyła szczyt. Morawiecki też trochę dołożył. Tylko jeden wskaźnik wzrósł wyraźnie w ciągu ostatniego roku: „poczucie lekceważenia przez władzę”. Do przemyślenia.

Podczas wyjazdowego posiedzenia klubu PiS w Jachrance karierę robił taki oto dowcip przywieziony z terenu. Pytanie: „Czyj to rząd?”. Odpowiedź: „Chyba PiS, bo tak na oko licząc, 60 proc. ministrów głosowało na naszą partię”. Zdecydowanie za surowo. W końcu jeszcze nie wszystkich starych bojowników zastąpili „bezpartyjni fachowcy” z wielkich korporacji.

Nastroje wśród szeregowych posłów nie są najlepsze, bo po obniżce pensji zdarza się, że po zapłaceniu kredytów i rachunków niektórzy parlamentarzyści mają na życie 3,2 tys. zł na rękę. Czyli tyle, ile można zarobić w wielkich sieciach handlowych i co najmniej dwa razy mniej, niż dostają fa-

chowcy w budowlance. Posłowie są podzieleni w kwestii, czyja to wina: czy tych, którzy przyznali premie sobie i ministrom, czy tych, którzy tę sprawę wykorzystali medialnie do pognięcia partyjnych rywali.

Prof. Krystyna Pawłowicz zapowiedziała odejście z polityki. „Są sprawy, które trzeba pozalatać, które nie poczekają. Mam już prawie 70 lat” – stwierdziła na Twitterze. I dodała, że „czas zobaczyć jeszcze miejsca rodzinne, podkurować zdrowie, posprzątać po sobie”. Czy odchodzi spełniona? „Jestem szczęśliwa, że mogłam coś dla Polski realnie robić – przy Prezesie” – oceniła pani profesor, której czego jak czego, ale pięknej miłości do Polski odmówić nie można.

To Twitter zmusił prof. Pawłowicz do ogłoszenia decyzji o odejściu. Na Nowogrodzkiej uznano, że w roku wyborczym jej mocne filipiki przeciwko wrogom ojczyzny mogą szkodzić. Nie pomogła prezentacja wszystkich wpisów z ostatnich miesięcy, które (wydrukowane) trafiły do siedziby partii. Niestety demokracja medialna zabija politycznych ekscentryków. Dziś tylko przywódcy partii (i to nie wszyscy) mogą być naprawdę sobą. Przynajmniej od czasu do czasu.

Los profesorów związanych z PiS nie jest łatwy. Ale dzięki ich aktywności możemy też zobaczyć, że destalinizacja wciąż nie została przeprowadzona do końca. Oto bowiem Instytut Filozofii i Socjologii PAN reanimował znaną z lat 50. tradycję potępienia i odcinania się. „Nie chcielibyśmy, aby wypowiedzi i praktyki ministra Glińskiego były uznawane przez opinię publiczną za reprezentatywne dla środowiska IFiS PAN” – napisano w oświadczeniu. W sumie bez

W doniesieniach o przyspieszonych wyborach coś jest na rzeczy. Ważne osoby z rządu sondowały w tej sprawie inne ważne osoby. Posłowie PiS wskazują nawet możliwą datę: 24 marca. Ale w chwili, gdy powstaje ta notka, decyzja jeszcze nie zapadła; to raczej sondowanie możliwego scenariusza. Wciąż dalekiego, ale już jakoś wyobrażalnego.

sensu. Nikt przecież nie podejrzewał pań ani panów z IFiS PAN, że – tak jak premier Gliński – pracują na rzecz silnej, wolnej, suwerennej Rzeczypospolitej.

🔊 Lepiej zginąć z PiS, niż zejść na manowce szaleństwa po drugiej stronie. **Ludwik Dorn** wziął w obronę warsztaty językowe EuroWeek – wyjątkowo podejrzaną imprezę, na której 30-latkowie z krajów arabskich obłąpali polskie dziewczynki. Oczywiście reakcję struktur państwowych uznał za uleganie czerni: „Motloch w tej sprawie wygra, ale trzeba wiedzieć, że to bestia wiecznie niesyta i tylko szuka, by kogoś pożreć”.

🔊 Zdaniem Dorna kluczem do sprawy jest śniada karnacja: „Gdyby na zdjęciach zamiast mężczyzn o »śniadej karnacji« występowali mężczyźni biali i zostałyby one zrobione po imprezie pożegnalnej na zakończenie obozu sportowego czy kolonii, a nie fundacji promującej tolerancję, to tylko chorobliwie rozerotyzowany osobnik mógłby dopatrzeć się w nich czegoś niesłusznego”. Jest odwrotnie: tylko ktoś, kto się wewnętrznie rozregulował, nie widzi w tych zdjęciach czegoś niewłaściwego. No i jeśli nie ma problemu, to zawsze można wysłać na coś takiego córkę, wnuczkę czy inne dziecko z rodziny. Śmiało!

🔊 Redaktor Katarzyna Gójska na antenie Telewizji Republika weszła w ostry spór z wiceministrem spraw zagranicznych Bartoszem Cichockim. Poszło o pismo, które skierował do TVP z prośbą o wyjaśnienie dotyczące plakatu „Achtung Russia” (litery „ss” są pisane jak nazistowskie runy) w reakcji na protest Moskwy. Cichocki wyjaśniał, że nie krytykował, ale jedynie grzecznie poprosił o wyjaśnienia. Sądząc po treści ujawnionego później pisma, miał rację. Ale nie to jest najciekawsze. Bo oto – chyba w akcie zemsty – Telewizja Republika upubliczniła to, co minister mówił, zanim wszedł na antenę.

🔊 Jak czytamy na portalu telewizyjnym: „Tymczasem jeszcze przed nagraniem – gdy wiceminister Cichocki został już podpięty do telewizyjnych mikroportów i miał założony mikrofon – w obecności kilkunastu pracowników Telewizji Republika krytycznie i drwiąco wyrażał się o swoim szefie, ministrze spraw zagranicznych Jacku Czaputowiczu. Cichocki sugerował, że Czaputowicz nie radzi sobie w dyplomacji i w roli ministra”. Nie były to słowa politycznie dojrzałe, ale tak brutalne i bezwzględne potraktowanie własnego gościa przez telewizję zasługuje na zapisanie w annałach.

🔊 **Rafał Trzaskowski** przechodzi przyspieszony kurs prawdziwej polityki. Nie tylko dlatego, że musiał zrobić zwrot przez rufę w sprawie



opłat za użytkowanie wieczyste. To bolało, ale nie tak bardzo jak brutalna reprimenda, którą dostał od Grzegorza Schetyny. „Zrugął go strasznie, potraktował jak dzieciaka, ustawił do kąta i łajał” – mówi nasz informator. Są sukcesy, które przynoszą cierpienie. Inna sprawa, że już starożytni radzili: przede wszystkim poznaj siebie samego.

🔊 **Stefanowi Niesiołowskiemu** nie spodobał się komentarz Dominiki Wielowiejskiej, której zdaniem PiS słusznie chowa co ostrzejsze twarze. Dziennikarka „Wyborczej” została uznana za kryptopisówkę. „Mamy teraz koszmarny reżim, z którym trzeba walczyć, a nie pisać brednie, jaki jest mądry, przebiegły i jak nieuchronnie wygra” – stwierdził szalony Stefan, budując przy okazji subtelny analogię między byciem antypisem a byciem antynazistą czy antykomunistą. Ten brak jakiegokolwiek związku z rzeczywistością, to odrzucenie proporcji pachnie bardzo znajomo. Tak właśnie kłamali totalitaryści wszelkiej barwy.

🔊 Jakub Majmurek, jeden z publicystów lewackiej „Krytyki Politycznej”, nie kryje radości, że ulicy w Warszawie nie będzie miała zamordowana przez komunistów Danuta Siedzikówna „Inka”. „Bo absurdalna byłaby Warszawa, gdzie ulicy nie miałby twórca WSM Stanisław Tołwiński, a miałaby »Inka« – która w historii zapisała się jedynie dlatego, że miała pecha znaleźć się w nieodpowiednim miejscu i czasie, co skończyło się dla niej klasyczną śmiercią” – stwierdził. To są naprawdę bolszewicy, zdolni do wszystkiego. Powtórzyliby i GUŁag, i Katyń, i 17 września.

🔊 W Warszawie nie będzie ulicy „Inki”, ale może powstać muzeum KOD. Grupa radnych Koalicji Obywatelskiej domaga się od prezydenta stolicy, by podjął działania na rzecz „dokumentowania i prezentacji działań opozycji ulicznej”, choćby poprzez „wzbogacenie ekspozycji jednego z warszawskich muzeów o stałą wystawę poświęconą tej tematyce”. Może w nowo budowanym Muzeum Historii Polski znajdzie się jakieś wolne miejsce, gdzie między konfederacją barską a II rozbiorem? Najlepiej w okolicach 27 kwietnia 1792 r.?

🔊 Człowiekiem Roku 2018 brytyjskiego dziennika „Financial Times” został George Soros, zabawnie określany w niektórych mediach „filantropem”. Tytuł przyznano „za wspieranie społeczeństwa obywatelskiego i działania na rzecz demokracji”. „Od jego rodzinnych Węgier po Stany Zjednoczone siły nacjonalizmu i populizmu tłamszą liberalną demokrację, którą niestrudzenie popierał” – stwierdziła redakcja. Czyżby dziennikarze „FT” też pracowali w IFiS PAN?

Motto: „Szanowny Panie Prezydencie, wnosimy o podjęcie działań zmierzających do dokumentowania i prezentacji działań opozycji ulicznej poprzez stworzenie stałego programu badawczego jej dokonań oraz wzbogacenie ekspozycji jednego z warszawskich muzeów o stałą wystawę poświęconą tej tematyce. Podpisano: warszawscy radni POKO” (dokument autentyczny – przyp. K.F.).

Witam państwa serdecznie na uroczystym otwarciu Wielkiego Intermedialnego Show Inaugurującego Muzeum Idei Totalnej Opozycji (WISIMITO). Tak jak obiecaliśmy, powołujemy dziś do życia nową placówkę kulturalną. Wiem, jak bardzo zaskoczony może być nasz elektorat – obiecali i zrobili. Musieliśmy jednak działać właśnie przez zaskoczenie, bo pisowska władza tylko czekała na to, żebyśmy znowu zaplątali się we własne sznurowadła, jak było to w przypadku bonifikat związanych z wykupem mieszkań w Warszawie. Pana prezydenta proszę teraz o uroczyste przecięcie taśmy klejącej i zapraszam do podziwiania ekspozycji.

A uwierzcie mi państwo – jest co oglądać. Po lewej widzimy np. zrobiony przez członkinie KOD-Kapeli naszyjnik z zębów Pawła Kaspzaka, które lider Obywateli RP zjadł na walce o demokrację oraz przejazdach w bagażniku Joanny Schmidt. Powyżej widzimy fotografie kobiet przehandlowanych za dolary przez twórcę KOD-Kapeli, Konrada M., tuż obok – helikopter z jego czapki. Niestety nie lata, bo koledzy z celi zepsuli. W gablotach po prawej stronie dostrzegą państwo bilety lotnicze na Madagę, wystawione na nazwisko „Peru”. Dalej – tajne rozkazy płk. Mazguły oraz przepis na mięsny pasztet wigilijny. Na ścianie zaś: pała funkcjonariusza ZOMO, wprowadzającego w stan wojenny elementy „jakiejś kultury”, kolekcja broni Farmazona I Lepszego, znanego z niezwyklego szacunku do kobiet, nielegalny pistolecik Bolesława Wałęsy, a także laleczka wudu autorstwa znanej antypisarki Marii Nurowskiej, której klucie w intencji paraliżu jednego z pisowskich posłów pozwoliło jej przetrwać ten straszny czas, jakiego o mały włos nie przeżyłby mąż szefowej komisji kultury w stołecznym ratuszu. Bardzo proszę, aby na grobie nieznanego Diduszki kłaść wyłącznie świece gersdorfove oraz róże marie barbary gräfin von thun und hohenstein, z domu woźniakowskie, gdyż wszelkie inne kwiaty i znicze będą sprzątane przez straż miejską.

Przejdźmy do kolejnej sali, widzą tu państwo osobisty komputer najwybitniejszego informatyka Komitetu Obrony Demokracji, jego ojca założyciela. Komputer pozostaje w oryginalnym opakowaniu, aby nie przedostały się wirusy roz-

Muzeum kodziarstwa



KRZYSZTOF FEUSETTE

syłane przez pisowskich hakerów. Dalej – piękna kolekcja puszek, do których mistrz Kijowski zbierał pieniądze na swoje biedne dzieci, komórka marki Dajfon oraz kurtka na motor kupiona z członkowskich składek. Pod ścianą widzą państwo barierki, w które kopali protestujący przeciwko opuszczaniu Sejmu przez pisowców; które tylko pozornie kłócą się z podwieszonym pod sufitem transparentem „Wyp... ala”. Ta rzeźba z plastiku zaś, którą możemy podziwiać za barierkami, to oczywiście przenośny szalet pośła Brejzy, spalony przez nieznanych narodowców. Co ciekawe, jeśli zajrzą państwo do środka, z łatwością dostrzegą papier toaletowy z autografem pośła Szczerby, który uratował mu życie podczas jego słynnego najazdu na kabinę w Krynicy Morskiej, a przy odrobinie szczęścia może uda się wam dojrzeć także to, co od trzech lat leci na głowę Krystyny Jandy.

Zapraszam teraz schodami piętro niżej, ale proszę niczego nie

dotykać, bo to eksponat przywieziony do nas aż z Brukseli. To jest właśnie ta poręcz, która wielokrotnie wyslizgiwała się Jeanowi-Claude’owi Junckerowi, gdy tylko pojawiała się u niego rwa jego kulszowa. W głębi podziemnej sali widzimy figurę woskową Magdaleny Środy, a nie, przepraszam, tylko tak wygląda półzywa ze zmęczenia walką z pisowskim Kościołem. Obok niej makiety czołgów Władysława Frasyniuka, który z braku czołgów na ulicach wykonał je własnoręcznie. Na lufach powiesiliśmy koszyczki na pamiątkę jego pseudonimu konspiracyjnego oraz spodnie, w których jako „Jan Józef Grzyb” szarpał policjanta, bo – jak twierdził – Kodeks karny ma dokładnie z tyłu pod nimi. Ten wielki transparent na oknie zaś to oczywiście koszulka z napisem „Konstytucja” zawieszona na kolumnie Zygmunta dzięki uprzejmości Henryki Krzywonos. Wreszcie nasz największy eksponat: słynny już Tramwaj Różnorodności, który zepsuł się zaraz po tym, jak pani Henia do niego wsiadła. Czy to przypadek, że według dokumentów zebranych w IPN identyczna historia przydarzyła się jej podczas solidarnościowych strajków, gdy najpierw, w odróżnieniu od wielu kolegów, postanowiła wyjechać z zajezdni, a po awarii tramwaju okrzyknęła samą siebie legendą opozycji?

Na koniec zapraszam serdecznie do naszego sklepika, gdzie nabyć można ostatnią płytę Joanny Muchy, z takimi przebojami jak „Nie pucz, kiedy odjadę” czy „Madonna, oddaj moje sześć milionów”. Albo torcik faszystowski z podobizną dziennikarza roku. Szczególnie wzruszonym polecamy kropki do oczu wykonane z leż wiceprzewodniczącego Timmermansa oraz zestaw kultowych komedii z udziałem Bronisława Komorowskiego.

Czy można płacić kartą?



Kasia

makijażystka, próbuje zbudować swoją markę na rynku, ale przyzwyczajeni do wygody klienci chcą płacić kartą

Wreszcie powiedz **TAK** i zyskaj zadowolonych klientów!

Teraz możesz mieć terminal płatniczy za darmo¹

przez **18** miesięcy.

Konto Przekorzystne Biznes

za darmo po spełnieniu jednego z warunków².

Promocja³ – zyskaj **100 zł** za podpisanie umowy o terminal i **100 zł** za pierwszy przelew do ZUS.



Bank Pekao

Docenisz różnicę

¹ Oferta jest skierowana do klientów, którzy w ciągu ostatnich 12 miesięcy nie przyjmowali płatności kartami płatniczymi.

² Wystarczy, że w każdym miesiącu zostanie spełniony jeden z warunków: wpływ na rachunki klienta min. 2000 zł (z wyłączeniem wpływów z tytułu rozliczenia depozytów terminowych lub udzielonych kredytów i pożyczek oraz przelewów między rachunkami klienta w banku), przelew z rachunku do ZUS lub US, wpływ na rachunek z terminala wydanego przez bank, transakcja wymiany walut w banku, opłacenie raty leasingu w Pekao Leasing.

³ Szczegółowe warunki promocji dostępne w regulaminach promocji na stronie: www.pekao.com.pl/konto-terminal. Promocja trwa do 31 marca 2019 r. Materiał nie stanowi oferty w rozumieniu Kodeksu cywilnego.

Bank Polska Kasa Opieki Spółka Akcyjna z siedzibą w Warszawie, ul. Grzybowska 53/57, 00-950 Warszawa, wpisany do rejestru przedsiębiorców w Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy w Warszawie, XII Wydział Gospodarczy Krajowego Rejestru Sądowego, KRS: 0000014843, NIP: 526-00-06-841, REGON: 000010205, wysokość kapitału zakładowego i kapitału wpłaconego: 262 470 034 zł.

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Polska – czas marzycieli!

Zaskakujące słowa padły na jednej z konwencji Prawa i Sprawiedliwości, słowa o potrzebie marzeń. Zwykle partyjne obietnice, zobowiązania, prognozy dotyczą konkretnych, są pragmatyczne i sprawdzalne. Jakże będą podwyżki i wypłaty, ile powstanie nowych domów, dróg, mostów, szpitali itp. A tu raptem w politycznej rutynie pojawił się nurt marzycielski, przypominający piosenkę sprzed dwudziestu kilku lat, którą jako młodziemiaszek (!) popełniłem i wyśpiewałem z zapałem w początkach III RP. „Polska naszych marzeń, kraj radosnych snów, w zgiełku dni i zdarzeń nam rozkwitnie znów; mądra i szlachetna jak Herberta wiersz, jak legenda święta, z głębi naszych serc...”. Krępująca naiwność, muszę przyznać po latach, ale marzenia na ogół są naiwne, nie cyniczne.

Osobnicy, którzy w początkach tzw. transformacji rozkradali wszystko, co im wpadło w ręce – fabryki, grunty, kamienice – mieli mnie za szczerego idiotę, bo ich zamiary były bardziej konkretne. Przy pewnej dozie bezwzględności i braku skrupułów łatwo było zostać gangsterem imitującym wyższą sferę ambitnym zawołaniem „Fura, rura i komóra”. Takie były



Jan
Pietrzak

początki postsowieckiego kapitalizmu, najpierw dziwki i zapiekanki, potem Sowa & Przyjaciele...

Prolog III RP to był czas zorganizowanych grup przestępczych pod różnymi nazwami, a nie wola budowania mądroj i szlachetnej ojczyzny wszystkich Polaków. Marzyciele, idealisci nie mieli siły przebicia w rzeczywistości kreowanej przez agentury, banksterów, judaszy, palikmiotów, bezwolnych lemingów itp., itd. Efektem społecznym jest degrengolada szeroko pojętej przyzwoitości w relacjach międzyludzkich.

Zgłaszam zatem pierwsze marzenie do realizacji – zakaz kłamstwa w urzędach i mediach. Kiedyś wszyscy wynosili z domu, kościoła i szkoły dziesięć przykazań. Między innymi „Nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu”. I to wystarczało. Kłamstwo dyskwalifikowało człowieka towarzysko, a przede wszystkim politycznie i biznesowo. Z oszustami nie robiło się interesów, nie robiło się polityki.

A teraz... cała partia PO powstała po to, by wyłącznie kłamać, olbrzymie media codziennie lżą i nie ma na nich bata. Surowe, dotkliwe kary dla tych przestępców to pierwszy krok do lepszej, wymarzonej rzeczywistości.

Sylwestrową noc spędzą panowie z przytupem?

Oj tak. Zagrać w Zakopanem, to było nasze marzenie. Ispełnimy je na Sylwestrze Marzeń z Dwójką.

Co zagracie?

Nasze przeboje. Golec uOrkiestra ma w swoim dorobku ponad 130 autorskich piosenek, więc jest z czego wybierać. Będzie też kilka niespodzianek. Można powiedzieć, że stworzyliśmy ciekawe kooperacje z różnymi artystami, ale więcej zdradzać nie możemy. Na pewno trzeba się przygotować na porządne rozgrzanie, bo Golec uOrkiestra to megakoncertowy band.

Jak to możliwe, że będzie to wasz... debiut?

W Zakopanem nigdy nie witał się nowego roku, tym bardziej damy z siebie wszystko.

Jak najlepiej przygotować się do mroźnej sylwestrowej zakopiańskiej nocy?

Sylwester: rozgrzanie pod Tatrami

Z **Łukaszem i Pawłem Golcami** rozmawia
Jolanta Gajda-Zadworna

P(u)orzędny kozuch, przede wszystkim. Dobre buty, rękawiczki, czapka. No i – jak to mówią – góralski rozgrzewacz, ale nie w nadmiarze, bo w nadmiarze wszystko szkodzi.

A jak się tak potańcuje i „porozgrzewa” na mroźnym powietrzu, to jak się ratować następnego dnia?

Dobłą kwaśnicą. Ma dużo witaminy C i wprowadza człowieka w dobry noworoczny nastrój.

I na finał: czego życzą sobie bracia Golcowie na nadchodzący 2019 r.?

Łukasz: Żeby wydać płytę z okazji 20-lecia Golec uOrkiestry. Na ukończeniu mamy nowe piosenki.

Paweł: Żeby bezpiecznie docierać na koncerty i wracać z nich, bo bardzo dużo podróżujemy, dajemy prawie 100 koncertów rocznie. Z dodatkowymi zajęciami robi się spory czas w trasie. Czyli życzymy sobie dobrej, bezpiecznej, szerokiej drogi.



Czy można płacić kartą?



Marek

mechanik samochodowy,
nie wie, jak zatrzymać klientów,
którzy chcą płacić kartą

Wreszcie powiedz **TAK** i zyskaj zadowolonych klientów!

Teraz możesz mieć terminal
płatniczy za darmo¹

przez **18** miesięcy.

Konto Przekorzystne Biznes

za darmo po spełnieniu
jednego z warunków².

Promocja³ – zyskaj **100 zł** za
podpisanie umowy o terminal
i **100 zł** za pierwszy przelew do ZUS.



Bank Pekao

Docenisz różnicę

¹ Oferta jest skierowana do klientów, którzy w ciągu ostatnich 12 miesięcy nie przyjmowali płatności kartami płatniczymi.

² Wystarczy, że w każdym miesiącu zostanie spełniony jeden z warunków: wpływ na rachunki klienta min. 2000 zł (z wyłączeniem wpływów z tytułu rozliczenia depozytów terminowych lub udzielonych kredytów i pożyczek oraz przelewów między rachunkami klienta w banku), przelew z rachunku do ZUS lub US, wpływ na rachunek z terminala wydany przez bank, transakcja wymiany walut w banku, opłacenie raty leasingu w Pekao Leasing.

³ Szczegółowe warunki promocji dostępne w regulaminach promocji na stronie: www.pekao.com.pl/konto-terminal. Promocja trwa do 31 marca 2019 r. Materiał nie stanowi oferty w rozumieniu Kodeksu cywilnego.

Bank Polska Kasa Opieki Spółka Akcyjna z siedzibą w Warszawie, ul. Grzybowska 53/57, 00-950 Warszawa, wpisany do rejestru przedsiębiorców w Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy w Warszawie, XII Wydział Gospodarczy Krajowego Rejestru Sądowego, KRS: 0000014843, NIP: 526-00-06-841, REGON: 000010205, wysokość kapitału zakładowego i kapitału wpłaconego: 262 470 034 zł.

Prezydent Aleksandr Łukaszenka po raz kolejny zadziwił tych, którzy skłonni są postrzegać go jako, po prostu, moskiewską marionetkę.

Niejako odpowiadając (niewymienionemu z nazwiska) premierowi Rosji Dmitrijowi Miedwediewowi, który dzień wcześniej powiedział, że jego kraj jest gotów pogłębiać integrację z Białorusią aż do poziomu utworzenia wspólnego banku emisyjnego i wspólnego sądownictwa, dyktator Białorusi określił takie pomysły mianem „zaczynania od dachu, a nie od fundamentów”. Ale, co ważniejsze, skrytykował niezidentyfikowanych Rosjan, którzy czynią aluzję o treści: „Dostaniecie ropę naftową w zamian za zniszczenie waszego kraju i wejście w skład Rosji”. Przy czym, według Łukaszenki, te propozycje zakładają wręcz inkorporację Białorusi nie jako jednego podmiotu, tylko po prostu jako sześciu okręgów...

„A pomyśleliście o następstwach? Jak to przyjmie nasz kraj, jak to przyjmie opinia międzynarodowa?” – pytał retorycznie Łukaszenka. I podkreślił, że kiedy Rosjanie mówią o „głębokiej integracji” z Białorusią, naprawdę mają na myśli wcielenie jej do swojego państwa.

Niejako przy okazji Łukaszenka zrelatywizował najgorsze, w myśl rosyjskiej i do niedawna również białoruskiej narracji, zło – czyli NATO. Stwierdził mianowicie, że już niejednokrotnie, podobno, mówił Władimirowi Putinowi,

Białoruś

Amerykanie pod Homlem?



że „niedługo będziemy obaj prosić Boga, żeby w Donbasie lepiej pojawiły się wojska NATO, niż gdyby mieli tam rządzić porabiani nacjonalisci z kałasami”. Czy „porabiani [tak tłumacząc użyte przez Łukaszenkę słowo „otmorozki” – przyp. P.S.] nacjonalisci” to Ukraińcy czy separatyści?

Tego miński dyktator nie skonkretyzował. Wypowiedział także bardzo niejasne zdanie, które da się jednak zrozumieć jako aluzję do możliwej niezwykle głębokiej zmiany geopolitycznej: „Czy was nie dziwi, że teraz Amerykanie wychodzą z porozumienia o ograniczeniu rakiet średniego zasięgu? Proszę sobie wyobrazić, że u mnie pod Homlem [miasto w południowej Białorusi] będą stać rakiety z jądrowymi głowicami, a u was – pod Rostowem [miasto w południowej Rosji, blisko granicy z Ukrainą]. I co – tego chcieliśmy?”

Czy Łukaszenka chciał zasugerować, że na Białorusi mogą się pojawić rakiety... amerykańskie?

Byłoby to zdumiewające i prezydent Białorusi nie bez przyczyny wyraził się tu niejasno. Ale wyraźnie widać, że jest już mocno przyduszony rosyjskim naciskiem, obliczonym na stopniowe wyzbywanie się przez Białoruś suwerenności w zamian za pomoc gospodarczą, i desperacko szuka metody, która pozwoliłaby mu się temu naciskowi oprzeć.

Czy znajdzie taką metodę?

Piotr Skwieciński

W połowie grudnia w Wenezueli odbyły się ćwiczenia lotnicze, w których wzięły udział dwa rosyjskie bombowce strategiczne Tu-160. Oba w eskorcie wenezuelskich myśliwców trenowały nad Morzem Karaibskim „profile podejścia do ataku pociskami manewrującymi na terytorium USA”. Nie uszło to – rzecz jasna – uwadze Białego Domu. I choć amerykański sekretarz stanu Mike Pompeo nazwał ekspedycję rosyjskich samolotów na drugi koniec świata „marnowaniem publicznych środków i podkopywaniem wolności przez oba skorumpowane reżimy”, to jednak Waszyngton nie uznał obecności dwóch rosyjskich bombowców za realne zagrożenie. Bo też szanse na powtórkę kryzysu kubańskiego z 1962 r. i budowę w Wenezueli stałych rosyjskich baz wojskowych są bliskie zeru.

Prawdopodobnie chodzi więc o coś innego. Demonstracja możliwości rosyjskiego lotnictwa ma pokazać światu, że Moskwa nadal się liczy w globalnej grze. I adresatem tego przekazu są nie tylko Stany Zjednoczone czy Chiny,

Rosja

Naftowa oś Kremla

coraz skuteczniej wypierające Rosję z pozycji światowego mocarstwa, ale również własna opinia publiczna śniąca o wielkim imperium oraz mniejsze państwa, zwłaszcza te, które tak jak Wenezuela są skłócone z Ameryką i poszukują sprzymierzeńców.

A Wenezuela jest dla Rosji łakomym kąskiem. Do niedawna była jednym z najważniejszych klientów rosyjskiego przemysłu zbrojeniowego, kupując właśnie od niego broń o łącznej wartości 12 mld dolarów. Te złote czasy skończyły się wraz ze spadkiem cen na ropę naftową, będącą głównym źródłem dochodów Wenezueli. Rosjanie, którzy udzielili rządowi wenezuelskiemu licznych kredytów, chętnie dziś zamieniają ten dług na udziały w tamtejszych polach naftowych.

Ta polityka wpisuje się w szerszą strategię Kremla zmierzającą do stopniowego zwiększania kontroli nad światowymi zasobami strategicznych surowców. Rosjanie są aktywni m.in. w Libii, gdzie również znajdują się wielkie złoża ropy naftowej, w Kongu posiadającym ogromne zasoby rzadkich metali czy też w bogatej w złoto i diamenty Republice Środkowoafrykańskiej. Wykorzystują również każdy konflikt między Ameryką a innym państwem, aby wejść do gry z własną ofertą współpracy. Tak było z Iranem, potem z Turcją, a ostatnio z Arabią Saudyjską, której władze zostały ostro skrytykowane za zamordowanie opozycyjnego dziennikarza. Nie oznacza to oczywiście bliskiego sojuszu, różnice interesów bywają zbyt duże, ale z pewnością pomaga Moskwie wpływać na strategiczne decyzje, choćby te dotyczące wydobycia ropy naftowej. A od jej cen zależy przecież przyszłość władz na Kremlu.

Konrad Kołodziejcki

Rekompensaty za nielegalną imigrację

Nawet 71 tys. zł (25 tys. dol.) rekompensaty od rządu w Ottawie może otrzymać każdy z mieszkańców małej kanadyjskiej gminy Saint-Bernard-de-Lacolle położonej przy granicy z USA, ok. 50 km na południe od Montrealu. Za co? Za „niedogodności związane z napływem nielegalnych imigrantów”. Przez słabo zaludnioną gminę przebiega bowiem nielegalny szlak migracyjny, prowadzący wzdłuż lokalnej drogi Roxham Road, nieco na zachód od autostrady Montreal – Nowy Jork, na której znajduje się oficjalne przejście graniczne. Roxham Road jest wprawdzie zagrodzona, ale nielegalni przybysze tym się nie przejmują. W ostatnich miesiącach ruch się znacznie nasilił i ludzie mieszkający wzdłuż trasy są już zmęczeni wizytami imigrantów w dzień i noc oraz intensywnym ruchem autobusów, ciężarówek, pojazdów policji i służb granicznych.

Rząd federalny postanowił zrehabilitować niedogodności i obecnie wysłać czeków mieszkańcom, których domy znajdują się w pobliżu Roxham Road. Teren podzielono na trzy strefy, na których obowiązują wypłaty w zależności od odległości od szosy (im bliżej, tym wyższa kwota) w wysokości, po przeliczeniu, ok. 7 tys. zł, ok. 28 tys. zł i ok. 71 tys. zł. Jedną z mieszkanek jest Susan Heller, która według kanadyjskiego portalu Cba posiada 80-hektarową farmę nieopodal nielegalnego

szlaku migracyjnego (prawie 1 km od granicy stanu Nowy Jork), otrzymała już czek w wysokości 25 tys. dol. Jak twierdzi: „Widzi średnio tuzin imigrantów dziennie podążających piechotą w kierunku granicy”. Kobieta cieszy się z rekompensaty. „To niesamowite. Nikt mi nigdy nie dał tylu pieniędzy” – powiedziała w rozmowie z portalem.

Według informacji rządu w Ottawie w 2017 r. granice Kanady przekroczyło 50 385 osób, które złożyły wnioski o azyl, a trzy czwarte z nich to ludzie, którzy na terytorium kraju znaleźli się nielegalnie. W tym roku liczba azylantów ma wzrosnąć do 55 tys. 65 proc. osób nielegalnie przedostających się do Kanady posiada prawo do pobytu na terytorium USA. Krytycy zarzucają premierowi Justinowi Trudeau, że zamiast rozwiązać problem, usiłuje „kupić sobie przychylność ludzi”. To jeden z głównych tematów kampanii przed wyborami federalnymi, które odbędą się w 2019 r. Trudeau obiecał Kanadyjczykom, że kraj przyjmie nie więcej niż 48 tys. uchodźców w tym roku. A w rzeczywistości może ich być nawet 100 tys. Gdy przybywają nielegalnie do Kanady, są rozdzielani na miasta, gdzie są umieszczani w hotelach, otrzymują zasiłek i bezpłatny dostęp do służby zdrowia. W latach 2017–2018 wydano na ten cel z budżetu państwa ponad 340 mln dol.

Aleksandra Rybińska

Religia i geopolityka



Pierwszy z lewej Epifaniusz Dumenko

15 grudnia w Kijowie odbył się sobór zjednoczeniowy podzielonych odłamów prawosławia na Ukrainie. W ten sposób pod auspicjami patriarchatu Konstantynopola powstał nowy Prawosławny Kościół Ukraiński. Wywołało to gwałtowny sprzeciw patriarchatu moskiewskiego, który uważa Ukrainę za swe kanoniczne terytorium. Do zjednoczonego Kościoła weszły w całości dwie wspólnoty wiernych (tzw. patriarchat kijowski i autokefaliści), natomiast spośród biskupów podporządkowanych Moskwie zjawili się w Kijowie tylko dwóch hierarchów. Miało ich być 10, ale większość zmieniła zdanie, gdy zapoznała się z warunkami, na jakich Konstantynopol gotów jest uznać kanoniczność Prawosławnego Kościoła Ukraińskiego. Według nich patriarchat moskiewski zostawia Kijowowi więcej autonomii wewnętrznej niż konstantynopolitański.

Sobór wybrał także zwierzchnika Kościoła, którym został 39-letni Epifaniusz Dumenko, dotychczasowy biskup perejesławski i białocerkiewski, jeden z najbliższych współpracowników patriarchy kijowskiego Filareta. Przyjął on tytuł metropolity kijowskiego. On też uda się do Stambułu, by tam 6 stycznia (w święto Bożego Narodzenia) otrzymać z rąk patriarchy Bartłomieja tomos, czyli dekret o autokefalii, tj. niezależności swego Kościoła.

Wydarzenia w Kijowie miały w sobie rys kultury bizantyjskiej, zakładającej sojusz tronu z ołtarzem. W soborze bowiem jako obserwator wziął udział prezydent Petro Poroszenko. To on zresztą wiosną pierwszy oficjalnie zwrócił się do patriarchy Konstantynopola z prośbą o nadanie ukraińskiemu prawosławiu autokefalii. On też po soborze wygłosił przemówienie, w którym przyznał, że wydarzenie miało charakter nie tylko religijny, lecz również geopolityczny. Stwierdził, że uznanie kanoniczności Kijowa oznacza ostateczne wyrwanie się z rosyjskiej strefy wpływów. Cytując Tarasa Szewczenkę, powiedział, że od tej pory Ukraina nie będzie już więcej pić „moskiewskiej trucizny z moskiewskiego kielicha”.

Grzegorz Górny

BRONISŁAW WILDSTEIN

Na marginesie incydentu

Dwudziestoosobowa grupka rolników zablokowała autostradę A2 na wiele godzin. Na drodze długo negocjował z nimi minister rolnictwa, który przyjechał wyłącznie w tym celu. Następnego dnia kolejnych kilkadziesiąt zajęło drogę krajową. Przed świętami, kiedy piszę te słowa, tego typu działania uspokoiły się. Na jak długo?

Władza, która nie potrafi reagować na jaskrawe naruszenie prawa i ustępuje przed grupką, naraża się, że tego typu eskcesy będą się powtarzały i spowodują trudne do przewidzenia efekty. Najprawdopodobniej PiS nie reaguje na owe anararchiczne posunięcia, gdyż ich autorami są rolnicy, a wieś jest terenem ostrej konkurencji tego ugrupowania z PSL. W pełni uzasadniona reakcja na łamanie prawa przez awanturników przedstawiona zostałaby przez opozycję i współpracującą z nią większość mediów jako kolejny akt terroru strasznej partii Kaczyńskiego i mogłaby wpłynąć na jej notowania w środowisku chłopskim. Czy usprawiedliwia to władzę?

Ostre określenie, którego użyłem wobec blokujących, jest w pełni umotywowane. Być może, w sensie merytorycznym, mają dużo racji. Nie upoważnia ich to, aby naruszać uprawnienia współobywateli, a taki charakter ma uniemożliwienie korzystania z publicznej drogi. Prawo do tego przyznali sobie sami, jest więc prawdopodobne, że kolejne grupki, które poczuły się pokrzywdzone, ruszą w ich ślady. Ich żale mogą być dużo mniej albo w ogóle nieuzasadnione.

Rzeczywistość społeczna ma w pewnej mierze konfliktowy charakter. Interesy różnych grup zderzają się i władza musi między nimi mediuować. Czy robi to należycie, o tym ostatecznie w systemie demokratycznym decyduje przy urnach większość obywateli. Podobnie rzecz się ma z polskim rolnictwem. To, że powinno być ono do pewnego stopnia chronione, wydaje się oczywiste ze względu na strategiczny interes kraju, zwłaszcza jeśli w UE robią to wszyscy. Pytanie: jak daleko winny sięgać działania państwa w tej mierze? W tej kwestii należy brać pod uwagę dobro ogółu, a więc konsumentów. Ponieważ jednak konsumenci nie organizują się, małe zdeterminowane grupy producentów potrafią wymusić na państwie daleko idące ustępstwa kosztem interesów większości. To poważne zagrożenie dla demokratycznego

ustroju i ładu państwa. Ogół zwykle nie dostrzega, że ponosił będzie koszty spełnienia mniejszościowych żądań. Jeśli zdecydowane grupy potrafią podjąć działania, które będą uciążliwe dla wszystkich, obywatele o niedogodności oskarżają władzę, a ta, aby uniknąć konsekwencji, pójdzie na ustępstwa, nawet jeśli w dłuższej perspektywie mogą się one okazać destrukcyjne dla państwa.

Nie twierdząc, że w podobnym kierunku zmiierają obecne żądania polskich rolników. W ich wystąpieniach jednak, w których utożsamiają oni zyski własne z interesem ogółu, dostrzec można już tego typu niebezpieczeństwo. Obecny rząd dużo bardziej nachyla się nad ich losem niż poprzednicy przez osiem ostatnich lat. To, że choćby najbardziej uzasadniony problem prowokuje ich grupkę do natychmiastowej blokady autostrad, powinno niepokoić.

W ten sposób wracamy do zagadnienia podstawowego. Naczelnym zadaniem władzy jest pilnowanie porządku i dlatego nie powinna tolerować łamiących prawo bez względu na ich subiektywne racje. Jeśli będzie to robić, rozzuchwala następnych, którzy uznają, że im bardziej agresywnie się zachowają, tym więcej będą w stanie wytargować.

Naturalnie, polityka to złożona materia, nie obowiązują w niej proste ani jednoznaczne zasady, a prawo często musi ustępować przed jej żywiołem. Rząd Morawieckiego cofnął się przed siłą, czyli bezczelnym dyktatem establishmentu unijnego, Komisją Europejską, TSUE i sędzią Rosario Silvą de Lapuertą, którzy lekceważąc wszelkie zasady, oskarżyli nasz kraj o łamanie Europejskiej Karty Praw Podstawowych. Polska nie tylko nie podpisała jej, lecz zastrzegła, że ta jej nie obowiązuje. Ustępstwo to można jednak zrozumieć, gdyż większość Polaków ciągle pogrążona jest w kompleksach wobec Zachodu, na których żerują elity III RP, a wizja kar ze strony Unii czy blokady jej radykalnie przeszacowanej pomocy spowodować mogłaby polityczny wstrząs.

Manifestacje francuskich „żółtych kamizelek” pokazują z kolei, że skala protestu, we Francji akurat uzasadnionego, może prowadzić do zasadniczych zmian. Ale dwudziestu blokujących autostradę?

Spokój w kraju musi nam zapewnić władza, a czego jak nie spokoju życzyć mam szanownym Czytelnikom w nadchodzącym, mam nadzieję, że nie gorszym roku?



Twój komfort gra pierwsze skrzypce

Nastrój się na podróż w komfortowych
wnętrzach Salonów Executive
na Lotnisku Chopina w Warszawie!



Oczekuj na swój lot komfortowo! Wybierz jeden z trzech Salonów Executive: Fantazja, Bolero, Preludium. Każdy z nich charakteryzuje wysoki standard, dopasowany do Twoich potrzeb. W wygodnych wnętrzach Salonów oferujemy m.in. open bar, nieograniczony dostęp do e-prasy i Wi-Fi, a także miejsca do pracy lub wypoczynku przed lotem.

Szczegóły na: lotnisko-chopina.pl



LOTNISKO
CHOPINA
WARSZAWA

OGNIEM NA WPROST

Do siego roku!



Fot. Andrzej Wiktor

Nawiązując do narracji mediów dzisiejszego mainstreamu (głównie TVP), zwanej w dawnych czasach „propagandą sukcesu”, realizatorom umknęła bardzo ważna informacja. Mianowicie zupełnie niezauważona przeszła wypowiedź Piotra Lisieckiego, prezesa Krajowej Izby Producentów Drobiu i Pasz. Chodzi o kolejny rekord, który jest zasługą polskiej gospodarki. Cytuję słowa prezesa KIPiDP: „Wychodzimy na pierwsze miejsce w produkcji indyka w Europie. Prawdopodobnie w tym roku wyprzedzimy Niemców i Francuzów. Dzieje się tak dlatego, że polscy hodowcy są bardzo sprawni, skuteczni i pracowici”. Mało tego – dzięki takiej postawie wzorowych hodowców gulgoczących stworzeń udało nam się pokonać wiele przeciwności. „Polska nie jest wcale odpowiednim krajem do jego [indyka] hodowli, bo indyk pochodzi z Ameryki Środkowej, jest ptakiem ciepłolubnym, a w naszym klimacie wymaga przez pół roku dogrzewania. Mimo tego radzimy sobie coraz lepiej” – wyjaśnia Lisiecki. Szczerze gratulujemy sukcesu i za producentów drobiu trzymamy kciuki. Oczywiście życzymy też sobie oraz innym: „Żeby Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej”.

Paweł Mikołajuw, zwany „Popkiem”, raper żyjący z prawem na bakier, zawodnik MMA, zdaje się ulegać ostatniemu krzykowi mody. Obok Roberta Biedronia, Ryśka Petru, prof. Mirosława Piotrowskiego postanowił założyć partię. Żeby formalności stało się zadość, musiał przedtem powiedzieć coś wyjątkowego, wygłosić swego rodzaju manifest. I jak na rapera przystało, zrobił to tak: „Ja mam, k...a, osobiście tego dość, dlatego robię to dla dobra moich dzieci, waszych dzieci”. Domniemywam, że powyższe sformułowanie muzyk i polityk in spe w jednym kieruje przede wszystkim do najmłodszych. Jak już tak, to bądźmy konsekwentni. Nie nazywajmy nowego ugrupowania „Popka” jakąś Młodą Polską, tylko w ramach budowy społeczeństwa obywatelskiego walmy, panie Pawle, prosto z mostu: K...a, dość!

Muzułmański tłumacz Koranu i historyk z Glasgow, Paigham Mustafa, zwrócił się do wyznawców islamu, aby wraz z chrześcijanami świętowali Boże Narodzenie. „Poszanowanie dla Jezusa Chrystusa powinno zachęcić muzułmanów do obchodzenia zbliżających się świąt” – uważa wyznawca Allaha. Niestety większość imamów w Europie sprzeciwia się takiemu stawianiu sprawy, uważając, że

zamiast urodzin Syna Bożego, należałoby zacząć obchodzić dzień narodzin proroka Mahometa. Dobrze, że znalazł się jeden sprawiedliwy, który ma inne zdanie. W szeregach zwolenników nowej przewodniczącej Komisji Kultury i Promocji Miasta Rady Warszawy, feministki i ideolożki postępu, ze świecą szukać podobnego, a i tak się nie znajdzie.

Spiewać każdy może. Nawet siostry Esmaralda i Małgorzata Godlewskie. Tym bardziej kolędy. Po rozrywającym bębni w uszach wykonaniu hymnu narodowego w wersji oryginalnej teraz obie muzy zabrały się do kolędy „Jezus Malusienki”. Trzeba przyznać, że jest pewien postęp. Stroje z epoki, religijny background, dużo mniej fałszu. Czyżby obie diwy postanowiły się udać trudnym szlakiem, który przetrwała niegdyś Maria Magdalena? Tylko zanim to nastąpiło, Jezus wygnał z niej siedem złych duchów zniewalających jej duszę. W przypadku sióstr Godlewskich będzie to aż 14 (mnożymy razy dwa, bo są dwie). Ale cóż, nie takie rzeczy widziały świat i Ewangelia: „[...]bydlęta kłękają, cuda, cuda ogłaszają”. Do siego roku!

Andrzej Rafał Potocki

E-prenumerata

SIECI

wSIECI

HISTORII

9,99 zł za miesiąc

Zamów na:
SiećPrzyjaciół.pl



Polska architektonicznie intrygująca

Raz na dwa lata Komisja Europejska w kooperacji z Fundacją Miesa van der Rohe z siedzibą w Barcelonie ogłasza konkurs na najbardziej nowatorskie budowle powstałe na kontynencie europejskim. Nagrody są przyznawane od 31 lat.

W 2015 r. główną nagrodę zdobyła Filharmonia Szczecińska, a dwa inne budynki zakwalifikowano do finału. W tym roku do najważniejszej europejskiej nagrody nominowano 18 polskich budynków autorstwa rodzimych architektów. Wśród nominowanych znajdują się zarówno imponujących rozmiarów gmachy użyteczności publicznej, jak i inwestycje mieszkaniowe.

Muzeum II Wojny Światowej, znane z kontrowersyjnej wystawy stałej, to obiekt architektonicznie interesujący, przytłaczający swym wyglądem stosownie do rangi okresu, który upamiętnia. Wyłania się z ziemi w niezwykle symboliczny sposób, odzwierciedlając niszczącą moc zła, a jego ogromne wnętrze doskonale nadaje się zarówno do prezentacji wystawy stałej, jak i wydarzeń czasowych.

Siedziba Sądu Okręgowego w Siedlcach oddaje powagę wymiaru sprawiedliwości prostą formą, statycznym motywem kolumnady i powściągliwą kolorystyką. Budynek przy ul. Sprzecznej w Warszawie zdaje się zaprzeczać (sic!) współczesnym barierom rozwoju i dostępności infrastruktury mieszkaniowej w wielkich miastach – został bowiem wzniesiony przy użyciu niedrogich prefabrykatów, a jego bryła wydaje się kwintesencją modernistycznych wizji zamkniętych w siatce prostokątów. W zabytkową dzielnicę centrum Poznania wkomponowano nowoczesny biurowiec z rozległym tarasem i zielenią, który zaskakująco harmonijnie współgra ze swoim historycznym sąsiedztwem. Uniwersytet Śląski w Katowicach zyskał nowy obiekt w postaci intrygującej siedziby Wydziału Radia i Telewizji. Jego wygląd może nasuwać skojarzenia z głośnikiem, w który wkomponowano fragment zabytkowej fasady kamienicy. Pełna światła i lekkości jest ażurowa konstrukcja biurowca Bałtyk, który zmienia charakter serca Poznania. U zbiegu ruchliwych arterii komunikacyjnych z różnych perspektyw obiekt prezentuje się inaczej, swoją niejednoznacznością nawiązując do dynamizmu otaczającej go przestrzeni miejskiej.

Technologia FiDU, której efektem są „nadmuchane” obiekty ze stali, została wykorzystana do posadowienia w centrum Wrocławia ogromnej rzeźby „Nawa”, stanowiącej jednocześnie obiekt małej architektury. W zależności od miejsca, z którego się go podziwia, nawiązuje swym kształ-



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

tem do morskiej fali lub sprawia wrażenie wnętrza akordeonu. Nieregularną formą charakteryzuje się zakwalifikowana także do konkursu ogromna hala KS Cracovia, stanowiąca kontrastowe połączenie ciemnej, rdzawej stali korten pokrywającej dach i elewację ścian z lekkością szkła oraz pełnym zieleni tarasem. Ceglasty budynek ratusza w Konstancinie-Jeziornie z klasycznym zegarem i dekoracją w postaci herbu oraz transparentną, szklaną salą obrad rady ma szansę wprowadzić nowy trend w architekturze budynków dedykowanych administracji publicznej.

Nowa polska architektura to szczęśliwie nie tylko nudna deweloperska zabudowa i brzydkie, jednakowe budynki dyskontów porastających zarówno miejską, jak i prowincjonalną przestrzeń, lecz także różnorodne idee skupione w bryłach, o kształtach interesujących i dla użytkowników, i dla przechodniów.



Jolancie Gajdzie-Zadwornej

wyrazy szczerego współczucia

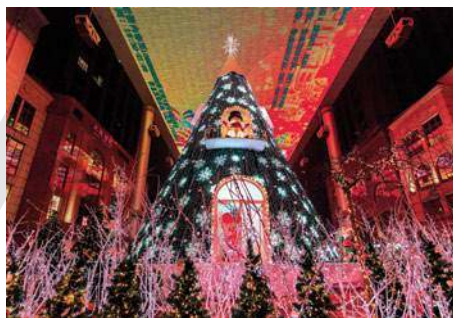
z powodu śmierci

MAMY

*składają koleżanki i koledzy z „Sieci”
i portalu wPolityce.pl*

Cywilizacja?

Miało Langfang w północnych Chinach zakazać bożonarodzeniowych dekoracji i wyprzedaży, aby chronić „czyste otoczenie miejskie”. Władze zabroniły ustawiania na ulicach choinek oraz reklamowania świątecznych wyprzedaży. Zakazano również wszelkich występów artystycznych związanych ze świętami w miejscach publicznych. O sprawie poinformował „Global Times”. Władzom Langfang wcale jednak nie chodzi o modną dziś walkę z przejawami religijności w przestrzeni publicznej, ale o tytuł „cywilizowanego miasta”. Miano takie przyznawane jest chińskim miastom co trzy lata na podstawie rankingu i według dziennika stanowi ono dla nich „najwyższe wyróżnienie”. Może Langfang będzie i cywilizowane, ale na pewno w okresie świątecznym jest bardzo smutne.



**2,5
mln**

– tylko Polaków dotyczy ustawa, która od 1 stycznia automatycznie zamienia użytkowanie wieczyste we własność.

**20
tys. zł**

– tyle chce zebrać Izabela Olchowicz-Marcinkiewicz, by wydać kolejną książkę. Zbiórka została ogłoszona na Zrzutce.pl. Ciekawe, czy Kazimierz Marcinkiewicz się dorzuci.

**12
mld dol.**

– tyle zamierza wydać Netflix w 2019 r. na produkcję na świecie swoich filmów i seriali.

Dobrego początku nowego roku

Niemiecka pełnomocnik do spraw integracji w rządzie Angeli Merkel Annette Widmann-Mauz, która jest jednocześnie członkiem CDU, umieściła na Twitterze kartkę świąteczną z życzeniami. Wszystko byłoby fajnie, gdyby nie to, że nie wiadomo z jakiej właściwie okazji są te życzenia. O sprawie informuje TVP Info. Pani Widmann-Mauz z przedstawicielami swojego biura prasowego zrobiła bożonarodzeniowe zdjęcie z ustrójoną choinką w tle. Na kartce pojawił się napis: „Wszystko jedno, jakiego jesteście wyznania, życzymy Państwu spokojnego czasu i dobrego początku nowego roku”. Pani Widmann-Mauz bała się życzyć katolikom radosnych świąt Bożego Narodzenia, ale w czasie ramadanu składała życzenia muzułmanom, a w święto Chanuki wszystkim Żydom. Dobrym początkiem zatrzymania końca Europy byłoby przypomnienie sobie własnych korzeni.



Na zasiłku

Ponad 63 proc. z 1,7 mln uchodźców, którzy przybyli do Niemiec w ciągu ostatnich lat, pobiera w tym kraju zasiłek dla bezrobotnych, tzw. Hartz IV – informuje Federalny Urząd Pracy w Norymberdze. I pomyśleć, że Angela Merkel zaprosiła imigrantów, bo potrzebowała rąk do pracy. Wysłała jak Zabłocki na mydle.



Na bogato

W 2019 r. w doskonałych humorach muszą wchodzić panowie Donald Tusk i Jean-Claude Juncker. Obaj dostali bowiem niezłe podwyżki. Będą otrzymywali ponad 32,7 tys. euro miesięcznie, a więc o 550 euro więcej. W 2019 r. wzrosną także pensje eurokomisarzy. Ci dostaną podwyżkę w wysokości ok. 400 euro miesięcznie, a ich wynagrodzenie wyniesie 26,6 tys. euro. Życzę Państwu w nowym roku takich dochodów, na jakie może liczyć europejska elita. I oby omijały Państwa ich choroby. Szczególnie podstępna bywa rwa kulszowa (u Junckera powoduje zawroty głowy). Do siego roku! 



Jestem zaskoczona, że Robert sprzedaje także koszulki z własnym wizerunkiem. Z hasłami – zrozumiałe. Ale może to pokazanie, że nie boi się starcia z własnym ego. Jedni cenią w polityce skromność, inni wręcz przeciwnie – skomentowała nowy polityczny projekt Roberta Biedronia Barbara Nowacka. W totalnej opozycji najlepsze jest to, że totalnie nie może się dogadać.

Toksyczny TT

Amnesty International opublikowało opracowanie poświęcone skali gróźb i szykan, jakich doznają na Twitterze kobiety. Według AI Twitter jest »toksycznym miejscem« i »największym zbiorem danych na temat internetowych wpisów nękających kobiety« – informuje Rp.pl. Tweety, które poddano analizie, były skierowane do 778 dziennikarek i kobiet aktywnych w polityce z USA i Wielkiej Brytanii w 2017 r. Okazało się, że groźby były formułowane z pobudek rasowych i etnicznych, a także ze względu na poglądy polityczne. Do wspomnianych 778 kobiet skierowano łącznie 1,1 mln napastliwych lub »problematycznych» tweetów w ciągu roku, co oznacza, że jeden taki tweet kierowano do kobiety co 30 sekund. No i pewnie dlatego ciągle nie ma mnie na TT. 



Fot. Andrzej Witko, Shutterstock (4-1)

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Pizza w galarecie

Tortura i molestowanie psychiczne światopoglądowej mniejszości, które niejedną osobę doprowadzi do leż”. Powyższa skrzydlata fraza znalazła się w liście otwartym prezes Fundacji „Wolność od Religii”. Autorka napisała, że uczestnictwo w szkolnych uroczystościach „o charakterze religijnym lub zbliżonym do religijnego” narusza wolność sumienia małoletnich ateistów. Jej pismo nagłośniła niezawodna „Gazeta Wyborcza”.



**Dominik
Zdort**

Czy problemem jest uczestnictwo w mszach świętych i przymusowa spowiedź? Nic takiego. Chodzi o wigilię. A konkretnie o opłatek i kolędy. „Dlaczego np. klasowa wigilia nie może być poczęstunkiem połączonym ze słuchaniem świątecznych, niereligijnych piosenek? Czy bez »Bóg się rodzi« nie byłoby wystarczająco miło? Dlaczego nie może być to wyjście do pizzerii i radość ze wspólnego posiłku? A może wyjście do schroniska dla zwierząt?” – proponuje pani z fundacji.

Takie pomysły można wyśmiewać, można uważać za absurdalne, można się nimi niepokoić albo nad nimi ubolewać. Jestem w stanie zrozumieć, że są wśród nas wojujący ateści, których obraża nie tylko szopka, kolęda i opłatek, lecz nawet przystrojona choinka. Skoro jednak mają tak potężną alergię na te symbole religijne, to może powinni wyciągnąć ze swojego światopoglądu dalej idące konsekwencje. Zaciśnąć zęby i po prostu nie posyłać dziecka na klasową wigilię. To byłaby przy okazji dla młodego człowieka dobra szkoła ateistycznego charakteru i krzewienia kultury świeckiej.

Prezes fundacji używa słowa „wigilia”. To kolejny brak konsekwencji. W świecie katolickim przez wigilię rozumiemy – zazwyczaj – postną kolację w przeddzień Bożego Narodzenia. Święta, którego istnienie jest z natury rzeczy obrazą dla ateistów. No bo skoro Boga nie było i nie ma, to jak można obchodzić rocznicę Jego urodzin? A jak nie ma święta, to nie ma też jego wigilii.

W tej sytuacji konsekwentny ateista powinien się domagać pełnego zniesienia obchodów Bożego Narodzenia – nie tylko wyrugowania kolęd i opłatka, lecz także usunięcia z jadłospisu kapusty z grzybami i karpia. Nawet jeśli chodziłoby o wspólne klasowe wyjście na pizzę z karpim w galarecie. A zachęcanie do wycieczek do schroniska dla zwierząt uważam już za skrajnie nieodpowiedzialne – bo nie daj Boże jeszcze któreś z nich w wigilijny wieczór przemówi ludzkim głosem... 

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

RZECZY POSPOLITE

Radzieccy peowcy

Ku radości radnych warszawskich z PO sąd nakazał przywrócenie dawnych komunistycznych nazw ulic w stolicy. Nie będzie więc ulicy rtm. Dunin-Wąsowicza ani ulicy „Inki” Siedzikówny, ani Stefana Melaka, ani Władysława Pobóg-Malinowskiego, ani wreszcie – co zapewne już najbardziej ucieszyło radzieckich peowców – nie będzie ul. Lecha Kaczyńskiego. Zamiast niej wróci stara dobra nazwa, czyli aleja Armii Ludowej. W nowy rok wchodzimy więc w Warszawę, cofając się w czasie. To podsuwa pytanie: do jakich lat wracamy? Bo nawet za komuny udawało się jeszcze czasem coś zdziałać. Oto mój przyjaciel Mateusz Mroz opowiadał mi, jak jego ojciec Jerzy w 1981 r. zaczął na Politechnice Warszawskiej walkę o zmianę widniejącej w auli głównej tablicy „Małego Franka” na Tadeusza Zawadzkiego „Zośkę”, żołnierza Szarych Szeregów.

Gdy niegdyś zdejmowano z piedestału pomnik Feliksa Dzierżyńskiego, a plac jego imienia stawał się na powrót placem Bankowym, niektórym (w tym mnie) wydawało się, chyba



**Tomasz
Łysiak**

naïwnie, że to symbol nadchodzących zmian. W każdym razie w 1981 r. „Mały Franek”, żołnierz podległej Związkowi Radzieckiemu Gwardii Ludowej, został zastąpiony akowcem. Tymczasem w końcu roku 2018, w stulecie odzyskania niepodległości, nie jesteśmy w stanie usunąć ul. „Małego Franka” na rzecz zamordowanej przez jego pobratymców ideowych dzielnej bohaterki – „Inki” Siedzikówny.

Nie piszę nawet o pozostałych przypadkach, z których bardzo boli mnie odebranie ulicy Dunin-Wąsowiczowi. Może ktoś przekazałby radzieckim peowcom, że rotmistrz wraz ze szwadronem ułanów nie szarżował na pozycje bolszewickie (bo bolszewików jeszcze nie było), tylko po prostu rosyjskie. I że zginął za Polskę.

Ach, jestem winien wyjaśnienie. Piszę o peowcach radzieckich oczywiście tylko z tego względu, że przymiotnik ten pochodzi od słowa „rada”, np. rada miasta. I używało się go kiedyś w polszczyźnie. Jeśli wracają więc stare radzieckie nazwy, to i radzieckie epitety mogą wrócić.

Danke, Deutschland!

Jeszcze się taki Niemiec nie narodził, coby Polakowi dogodził. No, może z małym wyjątkiem, ale też mówią, że to nie Polak, bo rudy. Teraz znowu Niemiaszki wykręciły nam numer, i to tuż przed świętami. Żeby nam Boże Narodzenie zapsuć, wiadomo: Pole kathole... Nawet TVN się zirytował i huknął: „Czarny scenariusz dla gospodarki. Ukraińcy wybiorą Niemcy”. Bo tamtejszy rząd podstępnie przyjął projekt ustawy ułatwiającej napływ gasterbeiterów spoza Unii Europejskiej. Ponoć te regulacje, którymi wkrótce ma się zająć parlament, opracowali pod Ukraińców i to my i nasza gospodarka dostaniemy teraz po kulach. Jak ocenił jakiś fachowiec, z pół miliona ich od nas ucieknie do „erefju”, bo tam lepiej płacą. I długo tak jeszcze będzie, firma doradcza Grant Thornton wyliczyła jak długo.

Jeśli krzywa będzie nam tak dobrze rosła jak dzisiaj, to pod względem zarobków dogonimy Niemców za pół wieku. O Matko Bosko Częstochowsko, to nikt już do nas nie przyjedzie do roboty, nawet kulawy Ukraińiec, a w samej budowlance już teraz brak nam 100 tys. ludzi! A jak Niemiaszki otworzą granice... sami se będziemy te nasze szklane domy stawiać i autostrady budować. Co gorsza, za Odrą sklasyfikowali nawet, kogo przyjąć, a kogo nie, i będą wybierać jak

rodzynki z ciasta. Biada nam, biada! – załamali ręce eksperci różni i politycy – taki numer nam wykręcili!



**Piotr
Cywiński**

Oj tam, oj tam, też mi specjaliści od siedmiu boleści. Jest akurat odwrotnie. Niemiecki rząd przyjął ten projekt dla nas, w prezencie pod choinkę. Bo, po pierwsze, o wiele szybciej będą musiały u nas wzrosnąć płace. Tak jak w przypadku lekarzy, którym już się z kraju wyjeżdżać nie chce. Niech więc Grant Thornton wsadzi sobie te swoje analizy gdzieś. Po drugie, jeśli wzrosną płace, a wzrosną szybko, to jest szansa, że może chociaż połowa Polek i Polaków, którzy wyjechali na zmywak czy kłaść kafelki na obczyźnie, wróci. Ci, którzy zdążyli się ukorzenieć, nie przyjadą, będą dalej pobierać funty w londyńskich bankach, jak Ryszard Ochódzki, zwany Misiem, który przegryzając kielbasę polską, wspominał: „Też kiedyś byłem Murzynem”...

Ale może ich wnuki będą chociaż mówiły: „Ja mieć polski dziadek”.

Niech zostaną, skoro im tam dobrze. Jest nas, Polaków rozszaniach po świecie, że ho, ho..., że 20 mln żyje poza Polską, z których 12 mln mówi w domach po polsku, a 6 mln zna nasz język biernie, czyli wieści o wzroście płac nad Wisłą nie będzie trzeba im tłumaczyć ani o powrót apelować, sami przyjadą. Więc: danke, Deutschland!

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
PIOTR SKWIECINSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 718 30 61, (22) 463 49 95
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:

ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI,
PIOTR CYWILSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSSETTE,
MARCIN FIJOLEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-
ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSZYNA GRZYBOWSKA,
JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-
ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARŃOWSKI, KONRAD
KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD
MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI,
JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI,

MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA
RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDLECKI, PIOTR SKWIECINSKI,
WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIELIK, MARCIN WIKŁO,
DOMINIK WILDESTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI,
DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR,
JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
ANNA ŁABECKA, ANIA ŁABECKA@FRATRIA.PL,
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN

FOTODYSCJA:
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL,
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS



WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY
NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

**WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY
DOKONYWAĆ NA KONTO:**

91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA,

W TYTUŁE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE
ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ
PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI
PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ
BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA
ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.
PL LUB KONTAKTOWAĆ SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI
KLIEN'TA „RUCH” POD NUMERAMI: 22 693 70 00
LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:

REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 616 36 00
PAULINA KAKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

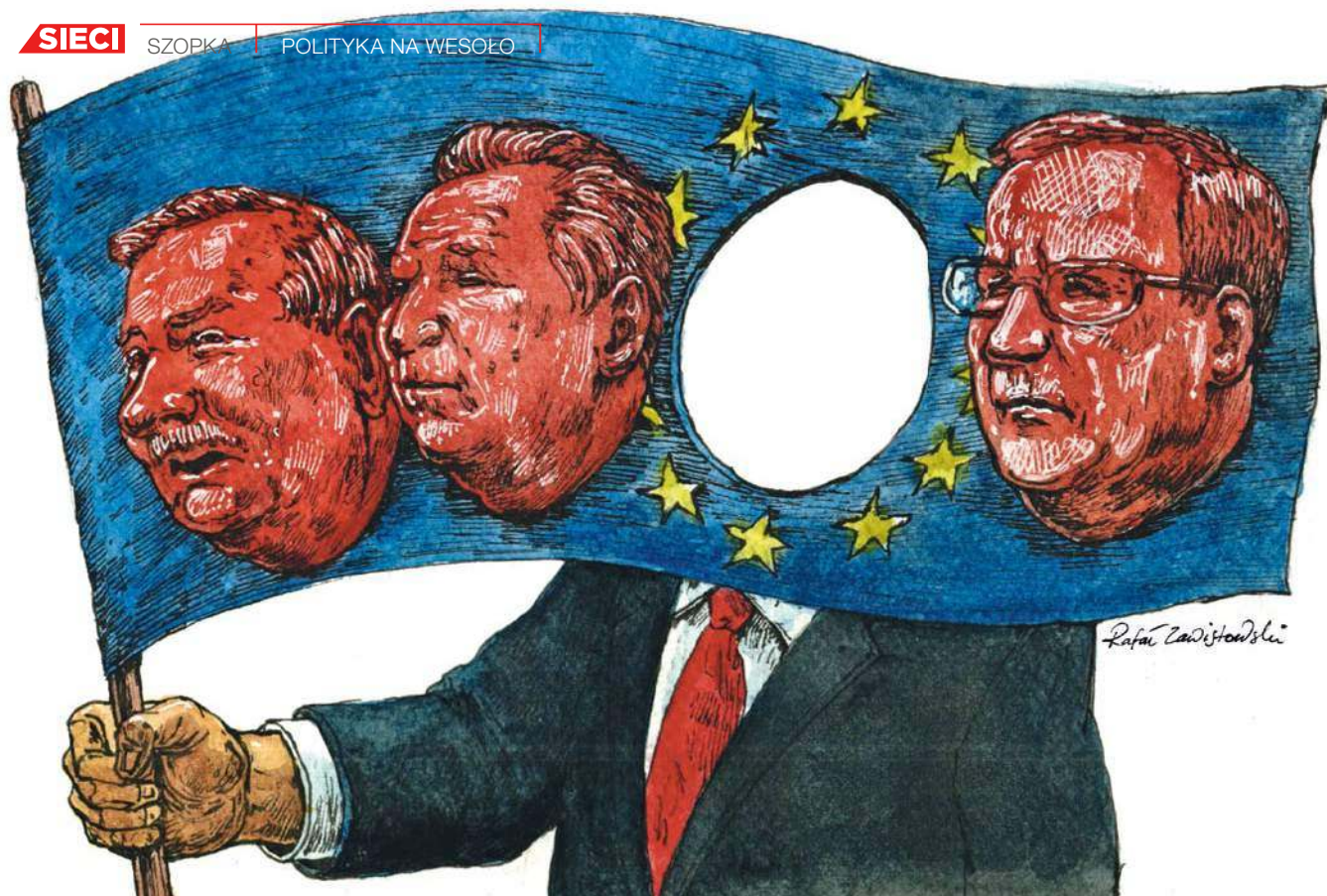
KOLPORTAŻ: KOLPORTAŻ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: SHUTTERSTOCK (2), ANDRZEJ WIKTOR, FREDERIC LEGRAND/SHUTTERSTOCK,
LEFTIS PITARAKIS/AP/ISTOCK, MARC BRUNELLES/SHUTTERSTOCK.COM, QUIQUE GARCIA/PAAP,
ALEXANDROS MICHALIDIS/SHUTTERSTOCK.COM, DONATAS DABRULSKAS/SHUTTERSTOCK.COM



Rysunki: Rafał Zawistowski

Z Nowym Rokiem – nowym (roz)krokiem!

Pierwszy Noworoczny Marsz Euroentuzjastów „Europko, kocham cię” wyrusza spod jedynej w Warszawie palmy, która nie odbiła jeszcze urzędnikom miejscowego ratusza. W marszu biorą udział wszystkie partie, ugrupowania i ruchy imienia nazwiska założyciela, choć nie wszystkie mają coś do powiedzenia lub zaśpiewania w tej szopce. Akcesoria i transparenty – ogólnie znane. Lewa, prawa, noga za nogą, choć nie ramię w ramię. Jedni drepczą, drudzy ledwo powłóczą, jeszcze inni podbiegają, jak Mecenasy do żłobu. Wszędzie pełno dziennikarzy, także tych, którzy nimi nigdy nie byli. Wszystkie postacie mówią normalnie, ale śpiewają – wyłącznie *kursywą*. Łączymy się z wozem transmisyjnym, gdy ekipa TVN odnajduje w kieszeni jednego z polityków podrzucony tam chwilę wcześniej kawałek tortu z płonąca świeczką...



KRZYSZTOF FEUSETTE

Dziennikarz Roku: Heil Hitler!

Nikt nie reaguje, oprócz reportera z „GW”, głupiego jak but, więc wypastowanego na brązowo. Falszywy Murzyn odpowiada koleźce nazistowskim pozdrowieniem. Przed trybuną honorową, na której nie ma żywej duszy, przechodzi właśnie grupka byłych prezydentów i premierów: Bronisław Komorowski, Aleksander Kwaśniewski, Lech

Wałęsa, Kazimierz Marcinkiewicz. Dyskutują o faszyzmie, ale coś im się nie zgadza. Być może kolor skóry drugiego heilującego. Wałęsa jest obrażony, bo tunikę z napisem „Auto” założono mu odwrotnie, więc wszyscy czytają „Otua”.

Wałęsa (do Kwaśniewskiego): I znowu żeś tu wlaźł, że ani „be”, ani „me”, ani „POKO, POKO, euro spoko”! Kyszcakowa nie dzwoniła?

Komorowski: Uwaga, panowie – zebra! Nie...

Marcinkiewicz: Zebranie? A w jakiej sprawie?

Komorowski: Jadłem przed przyjściem bigos „na winie”. Zna pan to, panie Kaziu? Anka wrzuca, co się nawinie, więc mówię być może trochę niewyraźnie. Ale chodziło o pasy na jezdni. Apeluję o ostrożność, żebyśmy tym razem nie weszli jakiejś zakonnicy pod koła. Panowie być może czują się przegrani, ale mnie już co niektórzy namawiali do powrotu. (podśpiewuje sobie pod zgolonym wąsem na melodię myśliwską „Pojedziemy na łów”):

Pojedziemy w Unię, w unię,

towarzyszu mój!

Naprzód mój szogunie, w unię,

gdzie pieniędzy w bród!

Janusz Korwin-Mikke (zza znaku drogowego Zakaz skrętu w lewo): Raczej w „brud”. Brudne pieniądze w brudne łapska!

Komorowski: Chyba pan mówi o warszawskim Bródnie. Mnie jest obojętne, jak się co pisze. Ważne, żeby było dużo.

Reporterka TVN: Jak państwo widzą, atmosfera jest radosna, podniosła, ale nie wyniosła, nie licząc oczywiście przypadków łamania ciszy marszowej przez przedstawicieli Zjednoczonej Prawicy. Ci bolszewicy nigdy się nie zmieniają – jak usłyszałam niedawno podczas realizacji jednego z reportaży wcieleniowych, chociaż już nie pamiętam, czy to ja się wcielałam, czy to mnie wcielono. Oczywiście nie zabrakło akcentów nazistowskich. Polscy faszyci śpiewali przed chwilą... sekundkę, bo sobie spisałam... że nie będzie Niemiec pluł nam w płaszcz i dzieci grami mamił. Dostrzegłam także transparent z napisem: „Bóg – coś tam, coś tam – ojczyzna”, pod którym biegały małe dzieci. Bardzo to jest wszystko smutne. Oddaję głos na Tuska, przepraszam bardzo, do studia...

Przed trybuną honorową pojawia się delegacja Prawa i Sprawiedliwości, za nią suną reprezentanci Ruchu Narodowego oraz Kukiz '15.

Mariusz Błaszczak (do Jarosława Kaczyńskiego): I po co nam to było? Pół Polski będzie rżało, żeśmy w takiej paradzie poszli...

Jarosław Kaczyński: A co? Mieliliśmy odpuścić, żeby nas znowu polexitem w żubra kopali? Spokojnie, przed Mariuszem Niepodległości też ci się w głowie kręciło, to znaczy – przed Marszem. A widziałeś, jak nam dobrze poszło...

Robert Winnicki: Nie wam, tylko nam.

Joachim Brudziński: Przecież pan prezes tak właśnie powiedział: „nam”. Bez nas nigdzie byście nie pomaszzerowali. Chyba że na bosaka.

Krzysztof Bosak: Wypraszam sobie! (do Winnickiego): Kolego, co my tu w ogóle robimy?

Winnicki: Reprezentujemy euroceptyków. Idziemy, ale się nie uśmiejemy. Nie śpiewaj.

Bosak: Przecież nie śpiewam.

Winnicki: To kto tak strasznie wyje?

Bosak: Ten muzyk z Sejmu.

Winnicki: Polak?

Bosak: Oczywiście.

Winnicki: Białe?

Bosak: Jak najbardziej.

Winnicki: To czemu wyje?

Paweł Kukiz (odwraca się do niego): Jak ja ci zaraz dam „wyje”, to ci krawata zabraknie. Znalazł się wojs of poland. Znacie Jakubiaka? „O, Hela” mu się nie podobała i gdzie jest teraz?

(wyje na melodię utworu „Całuj mnie” z repertuaru własnego):

A ty całuj mnie,

Mareczku, wiesz już gdzie...

Całuj mnie,

tam gdzie mam teraz cię...

(ref.) *Dam ci jeszcze popalić,*

gdy mnie zechcesz obalić.

A więc całuj mnie... (nagle łapie się za usta)

Kukiz: Kurce blade, ząb mi się rusa, psepraszam, chyba straciłem kontrolę nad piątecką...

Marek Jakubiak (dopowiada):...oraz klubem i całym ruchem.

(śpiewa żwawo na melodię utworu „Pryśły zmysły” z repertuaru Ireny Kwiatkowskiej):

Albowiem prysły zmysły,

zupełnie prysły zmysły

jak polityki wątała nic.

Albowiem prysły zmysły,

totalnie prysły zmysły –

nie łączy mnie z tym klaunem
jednak nic.

Nadciąga delegacja Platformy Obywatelskiej oraz niezawisłych sędziów w koszulkach z napisem „Kasta Tuska”.

Grzegorz Schetyna: Idźmy godnie. I nie gapić się na kamienice! Halicki, odłóż tę racę! (udaje, że nie widzi, iż nikt go nie słucha, gdyż całością steruje przewodniczący Rady Europejskiej niesiony na barana przez Pawła Grasia w kostiumie niemieckiego stróża nieruchomości. Wokół biega Róża Thun, a Elżbietę Bieńkowską podrywa Janusz Lewandowski).

Lewandowski: I wtedy, wiesz, u nas opłatek, a ten zaczął strzelać, rozumiesz?

Bieńkowska: Ale jaja, ale jaja...

Lewandowski: W Warszawie reżim gorszy niż w Aleppo, a tutaj Parlament Europejski zamykają, rozumiesz?

Bieńkowska: Ale jaja, ale jaja...

Lewandowski: Na szczęście my daleko...

Bieńkowska: No coś ty? Ale jaja...

Dyskretnie w stronę Rafała Trzaskowskiego przesuwa się **Hanna Gronkiewicz-Waltz** (śpiewa mu szeptem do ucha na melodię utworu „Rebeka” z repertuaru Ewy Demarczyk):

O mój wymarzony,

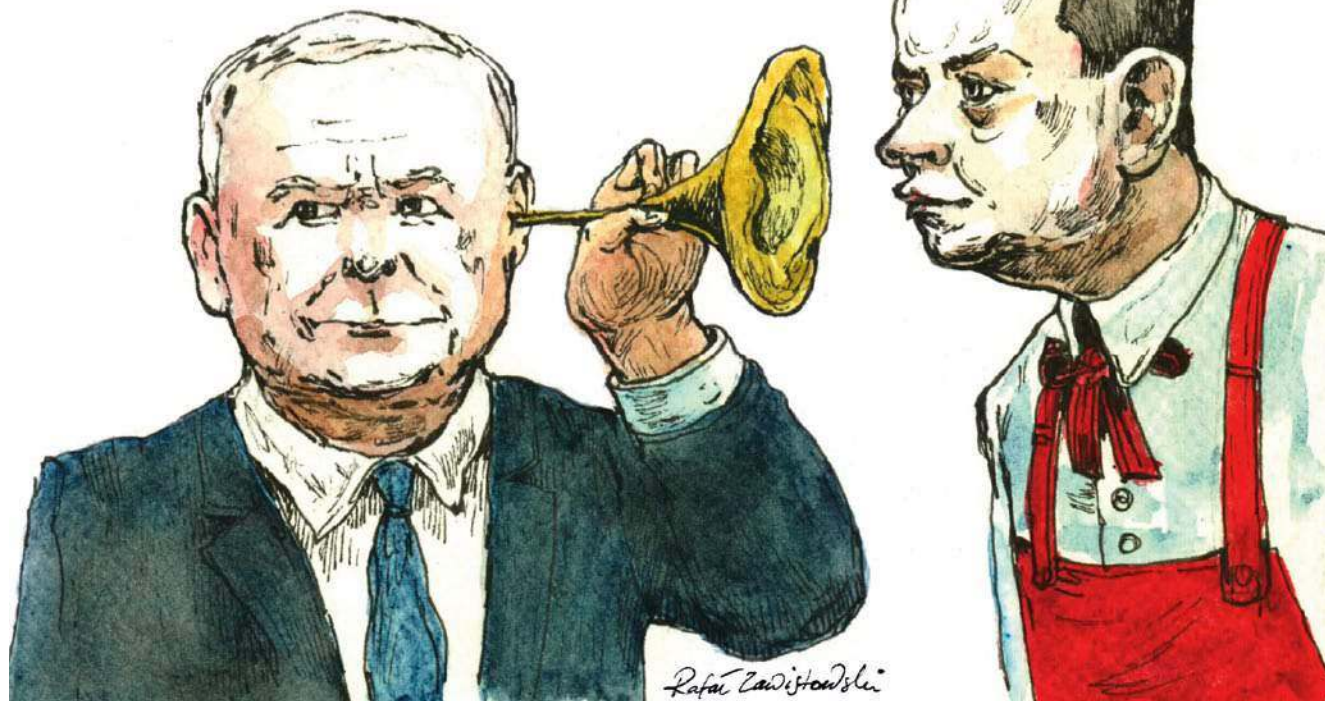
o mój wyteśniony,

czy ktoś kochał cię jak ja?

Lecz byłam bezzębna i to mój sen,

co całe życie trwa...

(ref.) *Ten krzyk, ten gwałt, ten szum*
ja sobie wyobrażam, Boże ty mój,



*w ratuszu dziki tłum, a na mnie błyszczy,
szary, więzienny strój...*

Trzaskowski (odpowiada, równie dyskretnie, na melodię utworu „Jolka, Jolka” z repertuaru Budki Suflera):

*Haniu, Haniu, pamiętasz
ludzi na bruk
wyrzucanych z kamienic stu?
Coś tam jeszcze zostało,
przyjrze się im,
ale nic nie jest proste w te dni...
(ref.) Kandydowałem,
niestety wygrałem,
Grzesiek mnie wystawił,
potem żalowałem.
Dane mi było,
mózgu zaćmienie,
jak w tym Bufecie
przeżyć tyle lat...*

Od tyłu zachodzi go Robert Biedroń.

Biedroń: Zapraszam do siebie. Pan by mi się przydał, pan jest podobno ładny, a jakby już nas było dwóch – a w zasadzie trzech, bo mój partner też rzuca się w wir polityki – tobyśmy mogli założyć bojsbend...

Paweł Rabej: Tak się przysłuchuję i chciałem powiedzieć, że jednak Warszawa różni się od Słupska, a głowa od...

Biedroń: Jak pan śmie?

Rabej: ...serca! A ja całym sercem jestem za panem, panie Robercie. Niestety na razie muszę siedzieć przy panu Rafale, nie mylić z panem Rafalą.

Rabej wprowadza kroczącą tempem jenieckim delegację Nowoczesnej. Miejsca poza nim starczyło jedynie dla Kata-

rzyny Lubnauer i Kamili Gasiuk-Pihowicz, których jednak na krok nie odstępował Ryszard Petru przebrany za Ryszarda Peru, szóstego króla w Bentlejem albo podobnie.

Gasiuk-Pihowicz (do Lubnauer): Co ten Kamerun tu robi?

Lubnauer: Węszy, kogo podebrać.

Ryszard Petru (śpiewa wesoło na melodię utworu „Baśka” z repertuaru Wilków):

*Kaśka miała fajny gust, Paweł – styl, a Kama coś, co lubię.
Aśka całowała cudnie, ale już po swoim ślubie...
(ref.) Piękne jak okręt
pod pełnymi żaglami,
co poszedł pod wodę,
jak jakiś Tajtanik.*

Joanna Schmidt (podbiega do niego jak zawsze w zwolnionym tempie i śpiewa na melodię utworu „Tomaszów” z repertuaru Ewy Demarczyk):

*Ach, może byśmy tak, najmiłszy,
wpadli na dzień choć na Maderę.
Mogliśmy zostać tam na zawsze,
mogliśmy rzucić to w cholerę.
W tym strasznym czasie, w tym reżimie,
gdzie PiS zakopał wszystkie źródła,
musimy w końcu twój plan spisać,
zobacz, jak Kasia bardzo schudła...*

Lubnauer (podchodzi nieśmiało do Schetyny, śpiewa na melodię utworu „Serce” z repertuaru Marka Grechuty):

*Za smutek mój, a pana wdzięk
ofiarowałam panu pęk czerwonych kandydatów.
I lekkomyślnie dałam słowo,
że będę mierni, ale wierni,
a w każdym razie bierni.*

Pan zaś zdziwiony mówi: „»Szczęki«
to przecież film o daniu ręki”.

Tak, rzeczywiście.

Więc coś ci dam?

(ref.)

Dam ci jajka szczerzolute,

dam wyborcę tęczowego.

Weź te jajka, wyjdź na drogę

i nie pytaj się – dlaczego...

Gasiuk-Pihowicz: Dosyć, wystarczy tej zebraniny. Przykro mi, Kasiu, ale ja też muszę ci coś zaśpiewać.

(falszuje na melodię utworu „Ostatni taniec” z repertuaru Lombardu):

To chyba nasz ostatni taniec,

dzisiaj widzisz mnie ostatni raz.

Wyruszę tam, gdzie jest poparcie

i gdzie „jedynekę” każdy ma.

(ref.)

Wierzyłam w N.

i w noc, i w dzień.

Wierzyłam w N.



jak w słońce cień.

Znam na pamięć

wszystkie twoje kłamstwa,

więcej nabrać nie dam się...

Lubnauer (przerywa jej nerwowo, śpiewa na melodię utworu „Przeklnę cię” z repertuaru Barbary Krafftówny):

Przeklnę cię, jeżeli mnie porzucisz.

Przeklnę cię, gdy się do POKO zwrócisz.

Przeklnę cię i już się nie ochronisz,

w Brukseli, w Berlinie,

przekleństwo nie minie...

Przeklnę cię!

Schetyna (na melodię utworu „Kalinka” z repertuaru np. Chóru Aleksandrowa):

Ka-mil-ka, Ka-mil-ka, Ka-mil-ka maja,

taka Mysz-ka, Agresor-ka, Ka-mil-ka maja...

Włodzimierz Czarzasty: To już jest jakiś obłęd. Wy się wyłącznie pożeracie. Kasia pożarła Rysia, Kamilka pożarła Kasię, Kamilkę pożarł Grzesiu, a Grzesia pożre Donek. A fajny biust to miała Baśka, nie Kaśka. Zresztą my jesteśmy nowocześniejsi, dla nas to nie jest warunek bycia kobietą. Towarzyszu Biedroń, zrobicie nam lewe skrzydło, co?

Leszek Miller: Albo koło pióra...

Biedroń: Do Biedronia przyszedł Słupsk, w okieneczko puk, puk, puk... Nie, to się nie rymuje, tego się nie da zaśpiewać!

Frans Timmermans: Przepraszam, czy kolega jest może socjalistą?

Biedroń: W połowie tak.

Timmermans: W dolnej czy górnej? Bo ja jestem socjalistyczny totalnie. Nie uważa pan zatem, panie kolego, z gruntu mając na uwadze, wicie, rozumiecie, że jest nas tutaj o jednego za dużo? I że pan, panie kolego, bardzo przeszkadza naszej, wspólnej z POKO-panymi, ajmsorry, z POKO-nanymi, sprawie? To co – pomożecie?

(śpiewa do Schetyny, jednocześnie mrugając do Tuska, na melodię utworu „Nie opuszczaj mnie” z repertuaru Jacques’a Brela):

Nie opuszczę cię.

Każda twoja łza

szeptze, że co złe,

się zapomnieć da.

Zapomnijmy ten

propisowski czas,

co oddala nas,

co zabija nas.

I pytania złe

i natrętne tak –

Jak? – Dlaczego? – Jak?

Zapomnijmy je.

Nie opuszczę cię.

Schetyna (do Timmermansa, na tę samą melodię):

Nie opuszczaj mnie,

Już nie będzie łez,

już nie będzie słów.

Dobrze jest, jak jest.

Tylko taki kąt,

*mały kąt mi wskaż,
gdzie odzyskam śmiech,
gdzie odzyskam twarz.
Chcę gdy słońca krąg
wzędzie – być co dnia
cieniem twoich rąk,
cieniem twego psa.
Nie opuszczaj mnie...*

Nieoczekiwanie zza krzaków wylania się Jean-Claude Juncker z jakimś zieliskiem na głowie.

Juncker (belkocze na melodię utworu „W Polskę idziemy” z repertuaru Wiesława Gołasa):

W Berlinie to jesteśmy cisi jak ta ćma.

W Paryżu to nam wszystko wisi aż do dna.

*A jak się człowiek przejmie rolę, sam pan wiesz,
to znów wartości go rozbolą – choćby krzyż...*

W Madrycie to jesteśmy szarzy jak ten dym.

W Brukseli nic się nie przydarzy, bo i z kim?

*I życie jak koszula ciasna – pije nas,
aż pocujemy mus i raz na jakiś czas...*

*W Polskę idziemy,
hej, eurokraci.*

*W Polskę idziemy,
nim pierwsza seta
zaszumi w czapie,
Donald mnie złapie!*

*Do dna, jak leci,
za tlen, za śmieci,
za imigrantów.*

*Było, nie było...
w to euro ryło,
banda palantów.*

Świat, jak nam wisiał, tak teraz nie jest nam wszystko jedno.

Kawior się przeje, Putin się śmieje, dziewczyny błędną.

*Świerzbą nas dłonie i oko płonie, łśni jak pochodnia,
aż w nowy tydzień świt nas wygoni, no a w tygodniu...*

*W Polskę idziemy,
w Polskę idziemy,
bracia z Europy!
Tu się, psia nędza,
nikt nie oszczędza,
zwłaszcza jelopy.*

*Jest zagranica,
i jest ulica.*

PiS niech im skoczy!

(PO) Nowoczesna

(PO) targowica

po Polskę kroczy...

Sławomir Neumann (do Junckera): Plosze pana, plosze pana, a oni chcą wyjść z Unii... O, ten mały i ten w okularach...

Krystyna Pawłowicz: Kłamiesz, bucu zafajdany. Żeby cię piorun siarczasty, ognisty w tę plugawą trąbę obezwładnił!

Kaczyński: Krysiu... Krysienko... Pozwól tu na chwilkę...

Pawłowicz: Nie mogę, bo teraz jem sałatkę.

Kaczyński: Jak się je, to się nie mówi, Krysienko...



Pawłowicz (na melodię utworu „A mnie jest szkoda lata” z repertuaru Jerzego Polomskiego):

*A mnie to wszystko lata,
ja jestem jak armata,
ja wcale nie celuję,
to Pan Bóg nosi kule.*

O. Tadeusz Rydzyk: Oj tak, Krysia jest nieoceniona, ja chciałbym na niej oprzeć całą geotermię! (śpiewa na melodię utworu „Anna Maria” z repertuaru Czerwonych Gitar):

*Jakże chciałbym ujrzeć kiedyś
pierwsze miejsce w słuchalności.
Jakże chciałbym móc uwierzyć,
że mam sto częstotliwości.*

*(ref.) Radio Maryja
smutną ma twarz.*

*Radio Maryja
wciąż patrzy w dal...*

Kaczyński: Szczęść Boże, ojciec dyrektorze.

O. Tadeusz: Bóg nie będzie wiecznie dokładał do interesu. Jeszcze sobie porozmawiamy. A teraz kończmy nareszcie tę imprezę. Wszyscy – Alleluja i do domu! Dość już tej szopki.
KURTYNA



A Mój TAURON masz?

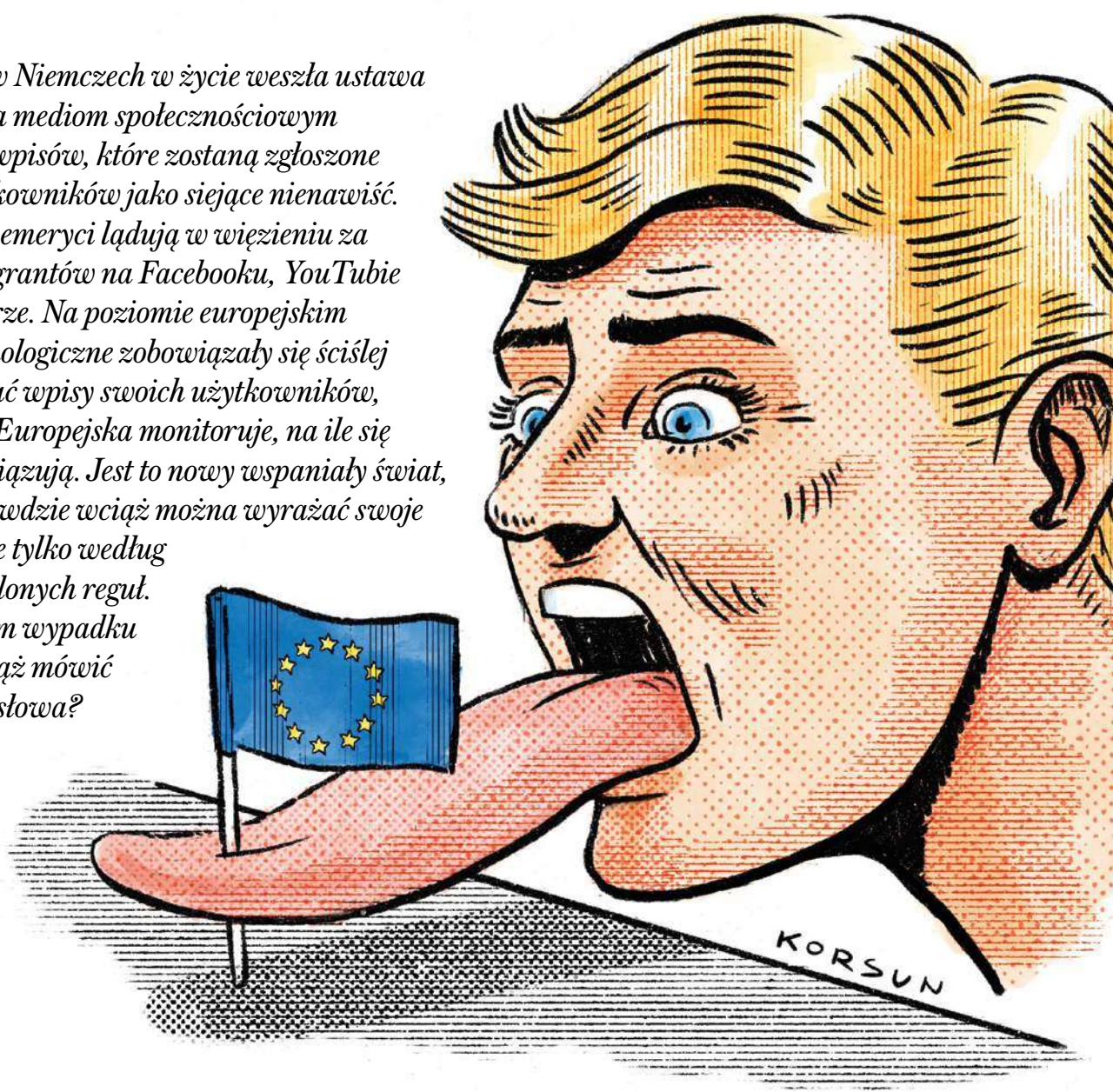
Masz MojTAURON.pl – masz wszystko!

- faktury, terminy i umowy w jednym miejscu
- płacisz wszystko na raz jednym przyciskiem
- korzystasz z różnych bonusów

Aktywuj za darmo na MojTAURON.pl

Europejczyk zakneblowany

W 2018 r. w Niemczech w życie weszła ustawa nakazująca mediom społecznościowym usuwanie wpisów, które zostaną zgłoszone przez użytkowników jako sięjące nienawiść. W Szwecji emeryci lądują w więzieniu za obrazę imigrantów na Facebooku, YouTube czy Twitterze. Na poziomie europejskim firmy technologiczne zobowiązały się ściślej kontrolować wpisy swoich użytkowników, a Komisja Europejska monitoruje, na ile się z tego wywiązują. Jest to nowy wspaniały świat, gdzie wprawdzie wciąż można wyrażać swoje poglądy, ale tylko według ściśle określonych reguł. Czy w takim wypadku można wciąż mówić o wolności słowa?



W Europie Zachodniej szaleje politpoprawna cenzura. Różnymi praktykami ograniczane jest obywatelskie prawo do swobodnego wyrażania opinii. Nie ma przesady w stwierdzeniu, że Europa Środkowa jest dzisiaj ostoją wolności słowa.



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

FRANCJA: POPULISTYCZNA FURIA

Odkąd demonstranci ubrani w żółte kamizelki (gilets jaunes) wylegli na ulice Francji w proteście przeciwko planowanej przez prezydenta Emmanuela Macrona podwyżce akcyzy na paliwa, w anglojęzycznych mediach pojawiła się teza, że „to wszystko wina Facebooka”. Publicysta Leonid Bershidsky pisał na łamach portalu Bloomberg, że w protestach „żółtych kamizelek” „nie chodzi wcale o nikły wzrost akcyzy na paliwa, ale o portale społecznościowe, które radykalizują swoich użytkowników”. Politolog z renomowanej uczelni Sciences Po w Paryżu Frederic Filloux zaś przekonywał, że Facebook „napędza francuską populistyczną furie”. Najczęściej rozpowszechniany był jednak obszerny artykuł umieszczony na portalu BuzzFeed, który wprost obarczył Facebook winą za zamieszki w Paryżu. Czym zawinili Zuckerberg i Co.? Na początku 2018 r. Facebook zmienił sposób wyświetlania postów i zepchnął dyskusje o naturze politycznej do zamkniętych grup na portalu. No i właśnie za pomocą tych grup „żółte kamizelki” się z sobą komunikowały i skrzykiwały kolejne demonstracje. „Jest to bestia zrodzona z Facebooka, napędzana fake newsami i teoriami spiskowymi” – grzmiał BuzzFeed.

Nietrudno zgadnąć, jaka myśl kryje się za tego typu artykułami. Jest to myśl cenzorska. To nie zła polityka Macrona ani społeczna frustracja wywołały protesty, tylko garstka zwolenników teorii spiskowych i rosyjskich trolli, którym pozwala się swobodnie hasać po portalach społecznościowych. Rozwiązanie? Ograniczenie swobody wypowiedzi w sieci i usuwanie z niej wszystkiego i wszystkich, którzy wychodzą przed szereg.

Prezydent Francji od początku swej prezydentury prowadzi wojnę z mediami. Jak podkreślił z okazji afery Benalla, „nie poszukują one prawdy, tylko chcą być sędziami nad polityką”. Chodziło mu oczywiście głównie o jego własną osobę, nie jest bowiem tajemnicą, że Macron krytyki nie lubi. W czasie protestów „żółtych kamizelek” stwierdził, że „połączenie social mediów i telewizji informacyjnych jest trucizną dla demokracji”. Te same media społecznościowe, które z okazji „arabskiej wiosny” były wychwalane pod niebiosa przez zachodnioeuropejskie elity, bo „odegrały tak ważną rolę w organizacji protestów przeciwko tyranom” od Tunezji po Syrię, teraz stały się w ich oczach narzędziem „groźnych populistów”. Jedynym kryterium oceny jest tu słusność. Protestować przeciwko wojskowej juncie w Egipcie należy, a przeciwko Macronowi już nie. Bo jest nasz i ma rację.

Jak dotąd starania Macrona doprowadziły do przyjęcia w listopadzie 2017 r. przez francuski parlament ustawy, która ma umożliwiać walkę z fake newsami w okresie kampanii przedwyborczych. Nowe prawo ma sprawić, że kandydat

w wyborach będzie mógł w trybie pilnym bronić się przed rozpowszechnianymi w internecie i „zagranicznych telewizjach” (chodzi o takie stacje jak Russia Today, nadające nad Sekwaną po francusku) fałszywymi informacjami na swój temat. Rząd Francji zawarł także umowę z Facebookiem, w której ramach przedstawiciele francuskich instytucji regulacyjnych sprawdzą, czy serwis wywiązuje się ze swoich obiet-

nic walki z „mową nienawiści”. Ekspertki będą nadzorować pracę Facebooka w jego centralach w Irlandii oraz w USA. Według zapowiedzi będą one też wspomagać pracowników Facebooka w walce z agresją w serwisie. Macron przyznał, że to pierwszy przykład tak głębokiej współpracy Facebooka z konkretnym krajem i wyraził nadzieję, że „ten eksperyment stanie się w przyszłości standardem”.

SZWECJA: CHCĄ NAS UCISZYĆ

Bardzo możliwe, że się tak właśnie stanie, ale Szwecja w swojej walce z „mową nienawiści” radzi sobie bardzo dobrze i bez współpracy Facebooka. Organizacja pod nazwą Nät hatsgranskaren (śledzący mowę nienawiści w sieci), złożona z byłych policjantów i prawników, przekopuje się tam przez komentarze, rysunki oraz memy na portalach społecznościowych w poszukiwaniu krytycznych wobec mniejszości etnicznych, religijnych czy seksualnych komentarzy.

Media społecznościowe, które z okazji „arabskiej wiosny” były we Francji wychwalane pod niebiosa, teraz dla Macrona stały się narzędziem „groźnych populistów”

Najczęściej ofiarą internetowych cenzorów padają emeryci. Przyzwyczajeni do dawnych norm piszą, co myślą, i lądują w sądzie. Podstawą do ich ścigania jest ustawa Hets Met Folkgrupp (Podżeganie do nienawiści wobec mniejszości). Grozi za nie do dwóch lat więzienia bądź grzywna. Według dziennika „Aftonbladet”, odkąd Nät hatsgranskaren rozpoczęła w styczniu 2017 r. swoją działalność, ponad 750 szwedzkich obywateli usłyszało zarzut podżegania do nienawiści. 14 proc. tych spraw trafiło do sądów, z czego prawie połowa (77 spraw) zakończyła się formalnym wyrokiem. Średni wiek skazanych: 55 lat.

W marcu 2018 r. 65-letnia emerytka z Jönköping – jak donosi lokalna gazeta „Jönköpings-Posten” – musiała się bronić przed sądem. Miała m.in. napisać na swoim profilu

na Facebooku, że „muzułmańscy imigranci to szkodniki”. „Śmierdzą, krzyczą, gwałcą i palą samochody. Jak się ich pozbyć?” – pytała. Kobieta twierdzi, że została przesłuchana aż sześć razy przez policję, a jej mieszkanie zostało przeszukane. Podczas śledztwa dowiedziała się, że Nāthatsgranskaren obserwuje ją od ponad roku, a jejteczka policyjna liczy 150 stron. Początkowo usiłowała się bronić, mówiąc, że „przecież mówi i pisze tylko prawdę o islamie”, ale wobec determinacji prokuratury zmieniła taktykę i odmówiła składania zeznań. Została skazana w październiku na trzy miesiące więzienia (bez zawieszenia) i 6,4 tys. koron (2,6 tys. zł) kary. Na nic zdały się jej tłumaczenia, że padła niedawno ofiarą gangu migrantów i stąd bierze się jej krytyczny stosunek do muzułmanów.

71-letni Denny Abrahamson z Södertörn miał więcej szczęścia. Prokuratura umorzyła śledztwo przeciwko niemu w sprawie podżegania do nienawiści na tle rasowym i religijnym. Bynajmniej nie dlatego, że uznała jego prawo do swobodnego wyrażania opinii, tylko dlatego, że nie była w stanie udowodnić, że to on napisał na Facebooku, iż „Bóg muzułmanów nie jest kochającym Bogiem” oraz że „kazirodstwo praktykowane w islamie powoduje niskie IQ i agresję”. Ostre słowa, a może nawet głupie, ale czy zasługują na sąd i prokuraturę? Unia Europejska najwyraźniej tak uważa, bo przyznała Nāthatsgranskaren niedawno dotację. Lista ściganych przez organizację jest długa. Jest tam 18-letni mężczyzna, który przykleił sobie na zdjęciu profilowym na Skypie wąsy Hitlera i ustawił w tle swastykę. Jak twierdzi, „dla żartu”. Zapłacił 6 tys. koron (2,5 tys. zł) grzywny. Jest też 70-latek z Göteborga, który nazwał muzułmanów „małpami”, oraz rzecznik antyimigranckiej Alternatywy dla Szwecji (AfS) Gustav Kasselstrand, który na jednym z wieców w Malmö mówił o „nieudanej polityce wielokulturowości”.

65-letnia emerytka ze Szwecji po tym, jak napisała na Facebooku m.in., że „muzułmańscy imigranci to szkodniki”, została skazana na trzy miesiące więzienia

Za Nāthatsgranskaren kryje się były policjant Tomas Åberg, który uciekł w 2013 r. ze Szwecji, by uniknąć kary za znęcanie się nad zwierzętami. Zwierzęta, które trzymał w swoim gospodarstwie rolnym, zdechły z głodu i pragnienia. Był policjant dopiero wtedy wrócił do Szwecji, gdy jego czyn się przedawnił. Mimo tego został nominowany za swoją działalność w sieci do tytułu „bohatera Szwecji”. Za to, że denuncjuje swoich współobywateli. W ostatniej chwili, po proteście obrońców zwierząt, jego kandydatura została wycofana.

Szwedzki rząd przyznał Nāthatsgranskaren w 2017 r. 600 tys. koron (250 tys. zł) dotacji. W zamian były policjant dosłownie bombarduje policję skargami, nawet jeśli są one zupełnie bezpodstawne. Zdaniem Denny’ego Abrahamsona, „po to, by wywołać strach”. „Oni chcą nas uciszyć. Nie uda im się to” – przekonuje emeryt w rozmowie z dziennikiem „Expressen”. Åberg uważa, że chroni ludzi „przed nimi samymi”. „Zaczyna się od niewinnych postów na Facebooku czy filmików na YouTube i krytyki imigrantów mieszczącej się w ramach prawa. Ale potem to zazwyczaj degeneruje i kończy się na podżeganiu do nienawiści” – mówił szef Nāthatsgranskaren w rozmowie z dziennikiem „Aftonbladet”. Dlatego Åberg zgłasza także dość niewinne posty policji. Jak dywagacje 64-latkę z Mölndal, który wzywał Szwedów na Facebooku do tego, by „zaczęli uczyć się samoobrony, karate, strzelania, bo dla muzułmanów ścinanie głów to to samo, co dla nas otwieranie puszek z sardynkami”. Jak pisze szwedzki portal FriaTider, mężczyzna nie rozumie, dlaczego to, co napisał, stanowi podżeganie do nienawiści. „Pisałem te posty, ale nie pojmuję, co w tym złego” – mówił w rozmowie z portalem. Podczas procesu przed sądem w Göteborgu namawiał sędziów do tego, „by zajęli się groźnymi islamistami, zamiast ścigać ludzi krytykujących imigrację”. Nadaremnie.

NIEMCY: SPRYWATYZOWAĆ CENZURĘ

Kuriozalny jest także sposób walki z „mową nienawiści” w sieci u naszych sąsiadów za Odrą. W Szwecji zajmuje się tym dręczyciel zwierząt, który o mały włos nie został uznany za „bohatera Szwecji”, a w Niemczech jest to była TW Stasi Anetta Kahane i jej fundacja o nazwie Amadeu-Antonio. Zaprosił ją w 2015 r. do współpracy ówczesny minister sprawiedliwości, a obecny szef MSZ Heiko Maas. Jako minister sprawiedliwości poświęcił się walce z tzw. skrajną prawicą w Niemczech, czyli wszystkimi tymi, których poglądy sytuują się na prawo od Socjaldemokracji. W ramach tej walki Maas wprowadził prawo nakazujące firmom prowadzącym platformy społecznościowe, takie jak Facebook czy Twitter, usuwanie „mowy nienawiści” (Netzwerkdurchsetzungsgesetz- NetzDG) pod groźbą dotkliwych kar. Przewidziane są grzywny do 50 mln euro, jeśli firmy nie usuną „karalnych” treści w ciągu 24 godzin od wpłynięcia zażalenia. Ponadto co trzy miesiące firmy te mają publikować raport na temat skarg. Jeśli tego nie zrobią lub jeśli nie uwzględnią „uzasadnionych” zażaleń, również zapłacą karę. Osoba odpowiedzialna, która nie usunie postu zawierającego karalne treści lub robi to za późno, musi się liczyć z karą do 5 mln euro.

Przepisy dotyczą wszystkich platform społecznościowych mających więcej niż 2 mln użytkowników. Oznacza to, że cenzurę prewencyjną, w celu uniknięcia kar, stosować muszą nie tylko Facebook, YouTube czy Twitter, lecz także Instagram, Pinterest, Xing, WhatsApp oraz Snapchat i wiele innych mniejszych portali. Na dodatek portale społecznościowe same muszą decydować, czy dane treści są karalne. Jest to swoisty outsourcing prawodawstwa i prywatyzacja cenzury.

Fundacja Amadeu-Antonio uczestniczyła w tworzeniu ustawy, zapewne ze względu na bogate doświadczenia byłej

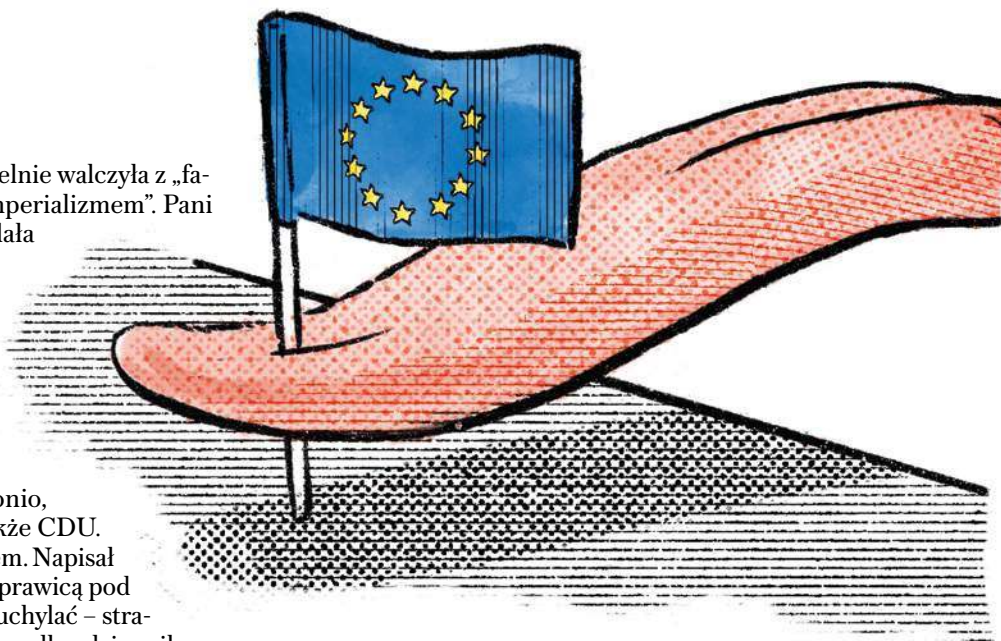
TW Victoria w NRD, gdzie dzielnie walczyła z „faszyzmem” oraz „zachodnim imperializmem”. Pani Kahane wielokrotnie podkreślała w niemieckich mediach, że cenzura internetu jest niezbędna, rozwinął się tam bowiem „nowy wymiar nienawiści” – do imigrantów oraz lewicy. Na liście „nowych, prawicowych ugrupowań, zagrażających państwu”, sporządzonej przez fundację Amadeu-Antonio, znalazła się więc obok AfD także CDU. Ale Maas nie ustępuje jej zapale. Napisał nawet książkę o swojej walce z prawicą pod tytułem „Wstawać, zamiast się uchylać – strategia przeciwko prawicy”, która według dziennika „Die Welt” wylądowała na liście bestsellerów na 253. miejscu, bo działała na czytelników „jak tabletki nasenne”.

Przy okazji jednak wzięto pod lupę przeszłość pani Kahane. Szef Miejsca Pamięci Narodowej Berlin-Hohenschönhausen Hubertus Knabe otwarcie krytykował na łamach tygodnika „Focus” (artykuł został szybko w ramach wolności słowa usunięty) fakt, że była agentka Stasi „kontroluje na zlecenie niemieckiego państwa internet”. Jak pisze Knabe, który studiował akta Kahane, „TW Victoria otrzymywała od Stasi w zamian za swoje usługi m.in. kawę, papierosy, wódkę oraz pieniądze”. „Donosiła na ludzi, a dziś walczy z mową nienawiści?” – pytał zdziwiony historyk.

W Szwecji „mową nienawiści” w sieci zajmuje się dręczyciel zwierząt, a w Niemczech była tajna współpracowniczka NRD-owskiej Stasi

Zakrawa także na ironię, że minister Maas sam padł ofiarą swojej ustawy. Według dziennika „Die Welt” Twitter usunął pochodzący sprzed siedmiu lat tweet Maasa o jego krytycznym wobec islamu koledze z SPD Thilo Sarrazinie. W nim Maas określił Sarrazina jako „idiotę”. Podobny los spotkał polityk Alternatywy dla Niemiec (AfD) Beatrix von Storch, której Twitter zablokował przy okazji na kilka tygodni konto. Wiceszef AfD Alexander Gauland zarzucił Maasowi „stosowanie metod Stasi”, a jego ustawę określił jako „państwową cenzurę”.

Eksperci natomiast zgłaszają wątpliwości co do skuteczności przepisów. Niemieckie ministerstwo sprawiedliwości ogłosiło w połowie grudnia, że rok po wejściu w życie ustawy jest „zadowolone z jej efektów”. „Ustawa jest skuteczna” – podkreślił minister sprawiedliwości Gerd Billen. Według niego mała liczba skarg (704) na dostawców treści w inter-



Fryś: Michael Korsun

netcie pokazuje, że traktują oni swoje obowiązki poważnie i usuwają kontrowersyjne wpisy. Związek Internetowej Gospodarki Eco widzi to inaczej. „Firmy IT rzeczywiście usuwają więcej treści niż kiedyś, ale nie z powodu ustawy, tylko dlatego, że technologia poszła do przodu i dziś łatwiej je wychwycić” – tłumaczy przewodniczący związku Oliver Süme w rozmowie z dziennikiem „Handelsblatt”. Według niego problem jest inny. „Nierzadko firmy muszą rozwiązywać skomplikowane sprawy, które wymagają balansu między prawami podstawowymi jednych a drugich. Rozstrzygnięciem takich spraw powinny się zajmować sądy. Dlatego ustawa stanowi zagrożenie dla wolności słowa w internecie” – uważa Süme. Portale same decydują, co się mieści w ramach konstytucyjnie gwarantowanej wolności słowa, ale wykroczenia nie są karane. „To jest równoległe, prywatnie finansowane orzecznictwo. Tak być nie może” – dodaje.

WOLNOŚĆ SŁOWA VS MOWA NIENAWIŚCI

Podczas gdy we Francji, Szwecji czy Niemczech zostały już wprowadzone i są egzekwowane przepisy regulujące to, co wolno mówić lub pisać w sieci, na Wyspach Brytyjskich toczy się kampania na rzecz „prawa do obrażania” pod wodzą byłego szefa MSZ Borisa Johnsona, skierowana przeciwko „zawodowo obrażonym”. Na łamach dziennika „The Daily Telegraph” Johnson lobbuje za społeczeństwem, w którym „wolno mówić, co się chce”. „Musimy mieć prawo opowiadać żarty, uprawiać satyrę bez ograniczeń, nawet jeśli to kogoś obraża. Ekstremizm kwitnie właśnie wtedy, gdy knebluje się ludzi i zabrania im mówić” – przekonuje. Przeciwnicy Johnsona zaś argumentują, że gdy chodzi o „mowę nienawiści”, ograniczanie wolności słowa jest uzasadnione. I nie chodzi przy tym o to, że ktoś coś usłyszy, co jest dla niego nieprzyjemne czy co uważa subiektywnie za obraźliwe. Tylko kto miałby dokonać odróżnienia między jednym a drugim? W jaką kategorię wpadłyby słowa Johnsona z lipca 2017 r. o tym, że „muzułmanki w burkach przypominają skrzynki pocztowe”? Mowa nienawiści? Obraza, krytyka, a może żart? Niech każdy sam sobie odpowie na to pytanie.



*Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z **profesorem Piotrem Glińskim**,
wicepremierem, ministrem kultury i dziedzictwa narodowego, laureatem nagrody
Człowiek Wolności tygodnika „Sieci” za rok 2018*

Jestem demokratycznym republikaninem

Jako minister kultury mam obowiązek obalać rozmaite przeszkody
duszące wolność, i to robię. Mam ambicję otworzenia kultury
dla wszystkich, spluralizowania jej



Zdjęcie: Andrzej Wilk

Zacznijmy od pytania, które w roku 2019 będzie najważniejsze: przedłużyć swój mandat do rządzenia?

Piotr Gliński: To oczywiście zależy od Polaków. Zrobimy wszystko, by tak się stało.

Jakie są na to szanse?

Uważam, że duże. Ale zwycięstwo samo nie przyjdzie. Intensywnie pracujemy nad tym, co należy zmienić w naszym obozie, które elementy programowe wzmocnić, jakie wnioski wyciągnąć z ostatniej kampanii samorządowej. I jak wykorzystać nasz najważniejszy atut: wiarygodność rządu. Nigdy nie było formacji rządzącej w Polsce tak bardzo dotrzymującej danego słowa.

Co pan przez to rozumie?

To, że jak coś zapowiadamy, to wdramy. Od programów społecznych, rozwojowych, po walkę z patologiami. To, że jesteśmy przeciwieństwem naszych konkurentów, którzy kilka dni po ponownym objęciu władzy w stolicy wycofali się z tego, co obiecali w sprawie bonifikat w opłatach za przekształcenie użytkowania wieczystego w prawo własności. I jeszcze zrobili to w stylu sugerującym pogardę dla wyborców. Nie da się tego racjonalnie wytłumaczyć.

Ależ da: można mieć 1,7 mld zł do wydania na różne miłe rzeczy albo nie mieć. Uznali, że chcą je mieć.

Wciąż mnie to nie przekonuje. Na drugiej szali leżała wiarygodność, z którą Platforma Obywatelska ma po swoich rządach olbrzymi problem. Nawet jeżeli za chwilę się z tego wycofa, to za takie błędy słono się płaci.

Nałogowcy oszustwa?

Jesteśmy w okresie świątecznym, nie chcę używać mocnych określeń, ale na pewno coś w tym jest.

Nie chodzi chyba o święta, ale o to, że w obozie władzy ma być teraz bardzo grzecznie. Prof. Krystyna Pawłowicz właśnie ogłosiła, że odchodzi z polityki. Interpretowane jest to w ten sposób, że wymuszono na niej zakaz wypowiadania się w mediach społecznościowych.

Każdy z nas jest w polityce dobrowolnie, każdy sam dokonuje wyborów i nie można na nas niczego wymusić. Oczywiście obowiązują zasady lojalności, wspólnotowości. Ale nie ma tutaj żadnego cenzorskiego elementu. Pani profesor jest znana z tego, że jest wyrazista, emocjonalna we wszystkim, co robi i co mówi. I to jej oświadczenie o wycofaniu też traktuję w tych kategoriach. Myślę, że pozostanie ważnym elementem naszego obozu, jak nie w dotychczasowej, to innej formie. Sama zresztą sugeruje, że na jesieni wróci.

Wielu komentatorów dostrzega w tym przedwyborczą korektę kursu, zakładanie jakiejś maski.

Taka operacja się dokonuje?

Jesteśmy formacją działającą racjonalnie, na pewno w perspektywie wyborów – jak w każdej partii – szuka się sposobów na wyrównanie szeregów, na większą spójność przekazu. Ważne, by nie zgubić przy tym różnorodności. Wierzę, że pani profesor jest nadal członkiem naszej ekipy, cennionym przez wielu wyborców politykiem, który był bardzo nieuczciwie atakowany. Sam niedawno kolejny raz doświadczyłem, jak takie kampanie przebiegają.

Chodzi o reakcję na pana słowa, że „język, którym mówi się o PiS, ma wykluczać, unicestwiać, ma nas odczłowieczać, delegitymizować, mamy być tak traktowani, jak Żydzi przez Goebbelsa. Ma wzbudzać do nas obrzydzenie”?

Tak. Mówilem o języku, a dowiedziałem się, że mówię o Holokauście. Próbowano nawet zrobić ze mnie antysemitę i człowieka, który nie zna historii. Szaleństwo i próba zabicia wolności słowa. W żadnym elemencie nie porównywałem naszej sytuacji do losu ofiar niemieckiego ludobójstwa. Odnosiłem się jedynie do porównania technik propagandowych, technik wykluczania, dehumanizacji, budowania kordonów sanitarnych wobec części społeczeństwa.

„Pisowska szarańcza” jest takim przykładem?

Tak, to dobry przykład. Niech zwróca panowie uwagę, że chyba nikt z komentatorów mainstreamowych nie zająknął się nawet na temat tej frazy, tego przykładu – ja tak uważam – języka pogardy. A takich przykładów, jeszcze bardziej drastycznych, jak mówienie o „kordonie sanitarnym”, jest przecież więcej. Jak widać, jednym nie wolno niczego, innym wolno wszystko.

Popelnił pan błąd, używając tego porównania?

Merytoryczny na pewno nie, ale polityczny – być może. Mimo zrozumiałych emocji musimy zrobić wszystko, by nie dać się wciągnąć w takie medialne przepychanki. Nie dawać

pretekstu, bo nasi przeciwnicy walczą głównie przez emocje. Nie przedstawiając żadnych właściwie poważnych propozycji programowych, przenoszą normalny w demokracji spór w obszar skrajnych emocji. Wszystko jest redukowane do ekstremalnie radykalnych potępień, mamy ciągle stosowanie technik manipulacyjnych, jak kreowanie sytuacji tzw. paniki moralnej.

Czyli?

To polega na tym, że każde normalne działanie naszej strony, które zagraża ich interesom, choć w innym kontekście jest całkowicie neutralne i akceptowalne, może być traktowane jako atakujące najświętsze, najważniejsze, niepodważalne wartości. Cokolwiek zrobimy, jest uznawane za atak na wolność, demokrację, prawość, przyzwoitość. Prosty wybór nowego dyrektora teatru, muzeum, zwykła demokratyczna procedura czy korekta programów ministra, który ma do tych decyzji demokratyczny mandat, gwarantowany konstytucyjnie, opisywana jest jako skandaliczny zamach na świętości i autorytety. Jest „haniebna”, „bezczelna” i nawet, gdy ktoś bierze udział w normalnym konkursie na dyrektora instytucji kultury, to „popelnia niedozwolenie”. To jest oczywiście straszne kłamstwo i manipulacja.

Czy zatem te wysiłki w celu przekonania drugiej strony to ciągle wyciąganie ręki, pokorne prośby o współpracę, mają jakikolwiek sens?

Tak uważam. Po pierwsze, jako chrześcijanie zobowiązani jesteśmy, by w każdym widzieć bliźniego, szukać porozumienia. Po drugie, jako politycy zobowiązani jesteśmy do realizacji etyki odpowiedzialności – za całą wspólnotę, a więc także za tych, którzy myślą inaczej. Po trzecie, ten opis dwóch bloków stojących w zwarciu nie jest pełny. Pośrodku, obok, jest wiele środowisk i osób, które zostały w ten konflikt wciągnięte niejako automatycznie, zapisane bez zrozumienia, o co tu naprawdę chodzi. Jest naszym obowiązkiem rozmawiać z każdym, każdego przekonywać, dla każdego mieć ofertę współpracy na

rzecz wspólnoty. I często przynosi to dobre efekty. Musimy też pamiętać, że w tym sporze wartości podnoszone w debacie nie zawsze są prawdziwą przyczyną ataków na nas.

Co pan przez to rozumie?

Między innymi interesy. Rządy Prawa i Sprawiedliwości oznaczają złamanie monopolu wielu środowisk, naruszenie bardzo wygodnych, trwałych układów korporacyjnych, niemal kastowych. Spotykam się z tym czę-

Niezależnie od tego, czy ktoś nas atakuje, czy nie, ministerstwo jest dla wszystkich. I dla pani Krystyny Jandy, i dla pana Wojciecha Pszoniaka, i dla pana Jerzego Radziwiłowicza

sto. Np. nie rozumiałem początkowo, skąd takie straszne opory wobec propozycji, by otworzyć nową ścieżkę finansowania polskiej kinematografii – wprowadzić tzw. fundusz zachęt audiowizualnych. A to po prostu naruszało dotychczasowy wygodny układ, w którym pewien zamknięty krąg twórców sam siebie ocenia; wprowadzało może zbyt otwartą dla nich konkurencję ofert artystycznych. A my uważamy, że poszerzenie rynku filmowego, dopuszczenie młodych twórców i konkurencji zagranicznej będzie dobre dla polskiej kultury, nad którą wciąż unosi się duch układu peerelowskiego. I w III RP też trochę tak to wyglądało: kochana władza i jej dwór. Ten aspekt tworzy ważne tło dzisiejszych konfliktów. W wielu miejscach wciąż mamy do czynienia z różnymi wersjami postkomuny.

Oni odpowiadają: PRL często ledwo pamiętamy.

Wielu urodzonych później albo w ostatnich latach PRL weszło w po-

rozumienie z tak zwanymi ludźmi honoru. Dlaczego premier Jarosław Kaczyński mówił kiedyś: „Stoicie tam, gdzie stało ZOMO”? Bo mówili i mówią, że szefowie ZOMO to ludzie honoru. Bo budowali i budują więzy ekonomiczne i towarzyskie z tymi, którzy kazali ZOMO pałować robotników i studentów. To skrót, ale uprawniony (notabene tę moją uwagę, wyjaśniającą słynną frazę Jarosława Kaczyńskiego, dwukrotnie bardzo starannie wygumkowano z dwóch wywiadów, których udzieliłem w ostatnich latach w tzw. prasie mainstreamowej). Dziś to się wszystko wymieszało z radykalną kontrkulturą, postmodernizmem niosącym relatywizm moralny, wymianę wartości, znaczeń. I zostało związane bardzo silnymi więzami interesów: korporacyjnych, wewnątrzpaństwowych i zagranicznych.

I nikt się nie wyłamuje? Nikt nie chce rozmawiać?

Tak źle nie jest. Mam np. doskonałe kontakty ze środowiskiem muzealników, archiwistów, muzyków, pedagogów z uczelni artystycznych, konserwatorów zabytków czy przecież także z wieloma ludźmi filmu i teatru. Może większość tych ludzi nie głosuje na PiS, ale nie odbiera im to rozumu, nie zamyka na współpracę. Tu widać efekty: tworzymy nowe muzea, wzmacniamy już istniejące, realnie wspieramy wiele instytucji kultury, współpracujemy.

Zatrzymajmy się jeszcze przy twórcach: czy był zatem sens przywrócenia 50-procentowej stawki kosztów uzyskania przychodów dla tej grupy, co oznaczało obniżkę podatków, która jest dużym przywilejem? Nikt nawet nie powiedział: „Dziękuję”.

To prawda, że chyba nie powiedział, ale to nieważne. Polityk nie jest po to, żeby mu dziękować, ma służyć ludziom. Tu nie chodziło o ulgi dla celebrytów, najbardziej znanych. Oni sobie doskonale radzili i radzą, zakładają własne firmy, agencje. To jest skierowane do żyjących często skrom-

nie ludzi kultury i wolnych zawodów niebędących w świetle reflektorów. To rozwiązanie wprowadzono przed wojną, było utrzymane w okresie PRL, zlikwidowały je rządy PO-PSL. My to przywróciliśmy i uważam, że to był dobry ruch. Artysta musi w sobie inwestować, kupić instrument, płótno, farby, by móc wykonywać zawód. I tę inwestycję trzeba mu jakoś zrekomensować. Ale czy nikt w ogóle nam nie dziękuje? Nie jest tak źle, bo to bardzo zróżnicowane środowisko. Mam dwie szuflady pełne podziękowań za różne działania. I chcę powiedzieć jasno: niezależnie od tego, czy ktoś nas atakuje, czy nie, ministerstwo jest dla wszystkich.

Dla pani Jandy też?

I dla pani Krystyny Jandy, i dla pana Wojciecha Pszoniaka, i dla pana Jerzego Radziwiłowicza. Namawiam zresztą, by politycznych wypowiedzi aktorów czy innych ludzi sztuki nie brać tak całkiem poważnie. One są często emocjonalne, zmienne, nie zawsze spójne. Warto mieć do tego pewien dystans. Jak mawiał Dejmek: aktor jest od grania. Drugiej części jego znanej frazy tu nie przytoczę. Można tylko dodać, że za to aktorów kochamy i oceniamy... Oczywiście są pewne granice. Jeśli ktoś za publiczne pieniądze chce zrobić twardy pornograficzny spektakl, to ja będę protestował, do tego ręki nie przyłożę, nawet jeżeli ściągnę sobie z tego powodu na głowę przemysł pogardy. Zresztą pod wpływem krytyki z tamtego pomysłu – mówię o Wrocławiu – się wycofano.

W „Kłątwie” w ohydnym scenach aktorzy jednak wzięli udział.

Niestety tak. Może moda na antyreligijny przekaz to ułatwiła. Ale to nie zmienia tego, że w tym przypadku też uważam, iż pieniądze publiczne nie powinny być w takie przedsięwzięcia angażowane. Bo to prowokuje w bardzo złym – moim zdaniem już pozaartystycznym – sensie tego słowa. Dzieli i dramatycznie rani innych. Wszędzie tam, gdzie mogłem, finansowanie publiczne na takie prowokacje wycofałem. Bo to nie jest sztuka. Są pewne zasady. Mamy np. uznany festiwal teatralny



Malta w Poznaniu. We wniosku Fundacja Malta zapewniała, że to „inkluzywne wydarzenie społeczno-artystyczne, włączające odbiorcę w dialog i działanie, otwierające go na doświadczenie sztuki”. Tymczasem organizatorzy jak gdyby nigdy nic zapraszają autora „Kłątwy” Olivera Frłjcia, który trzykrotnie zrobił w Polsce przedstawienia świadomie dzielące i nakręcające nienawiść. Musiałem zareagować.

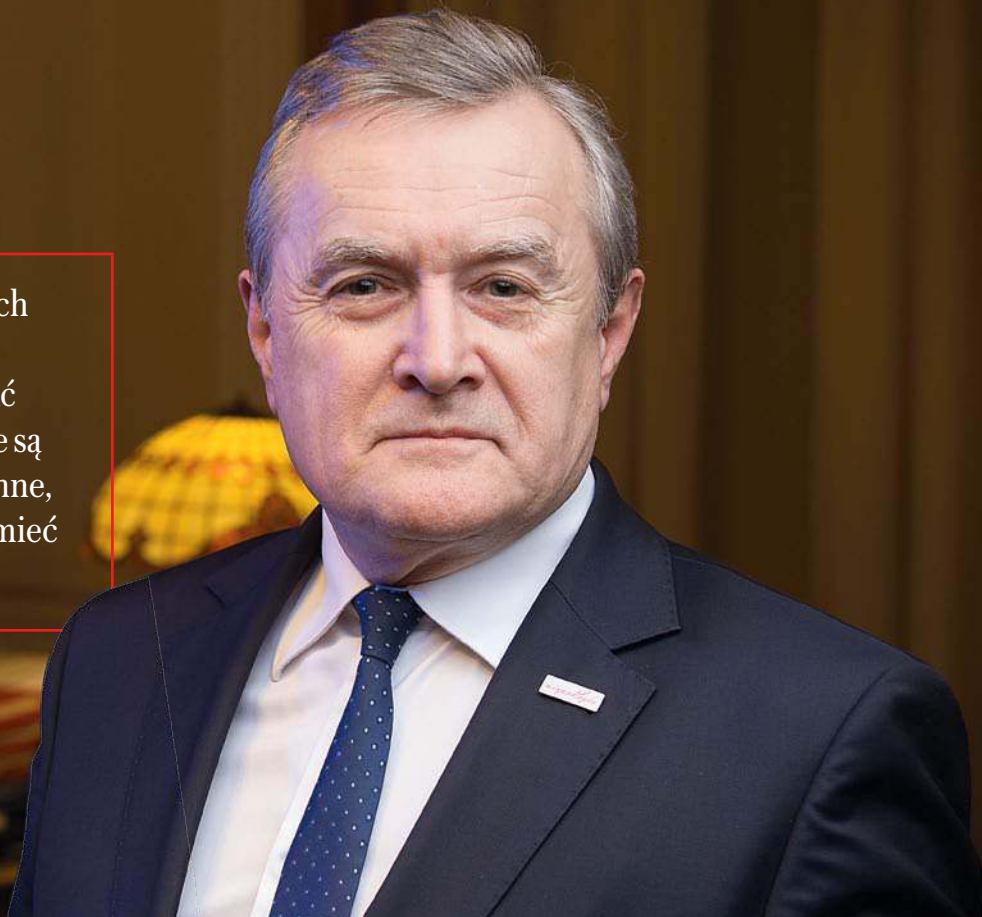
Na drugim biegunie mamy film „Kler”, który powstał ze wsparciem Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej.

Nie dałem na to ani złotówki. Wsparcia udzieliła poprzednia dyrektor PISF, która już nie pełni swojej funkcji. Dyrektor PISF jest niezależny w swoich decyzjach.

Wtedy też pojawiły się zarzuty o chęć ręcznego sterowania kulturą. Ma pan takie ambicje?

Absolutnie nie. To jest zresztą niemożliwe ze względów techniczno-organizacyjnych. Ale także dlatego, że od końca 2015 r. żyjemy w żywej, pluralistycznej demokracji. Opozycja – w przeciwieństwie do naszej sytuacji

Namawiam, by politycznych wypowiedzi aktorów czy innych ludzi sztuki nie brać tak całkiem poważnie. One są często emocjonalne, zmienne, nie zawsze spójne. Warto mieć do tego pewien dystans



sprzed kilku lat – ma dostęp do wszelkich narzędzi kontroli władzy. Ma media, ma władzę w samorządach, ma RPO, sądy, potężne organizacje pozarządowe, wsparcie zagranicy, sprzyjających oligarchów i wiele innych zasobów, których my byliśmy pozbawieni... Ale przede wszystkim nie „sterujemy ręcznie” kulturą ani społeczeństwem obywatelskim dlatego, że tego nie chcemy. Jestem demokratycznym republikaninem. Moim obowiązkiem jako ministra kultury i przewodniczącego Komitetu ds. Pożytku Publicznego jest tworzenie warunków dla rozwoju polskiej kultury i polskiego społeczeństwa obywatelskiego. Jeżeli mówimy w tym wywiadzie o wolności, to ja zgodnie z berlińskim rozumieniem wolności pozytywnej i negatywnej mam obowiązek z jednej strony stwarzać ludziom warunki do realizowania „wolności”, czyli ich różnych wartości, interesów, koncepcji twórczych, marzeń; z drugiej zaś mam obowiązek obalać rozmaite przeszkody duszące wolność, i to robię. Mam ambicję otworzenia kultury dla wszystkich, spluralizowania jej. Bo wykluczone to dotychczas były raczej

środowiska konserwatywne, lokalne, patriotyczne.

Jakieś przykłady?

To film o Pileckim, który nie mógł otrzymać dofinansowania publicznego, to Muzeum Żołnierzy Wyklętych w Ostrołęce, które właśnie kończymy budować, a które dostało odmowę finansowania od ministra Zdrojewskiego, bo – jak donosiły media – według pana ministra nie było zapotrzebowania społecznego na tego rodzaju inicjatywę i była ona niezbyt ważna z punktu widzenia polityki kulturalnej państwa. To nasi poprzednicy przez dziewięć lat blokowali budowę Muzeum Historii Polski. Przykładów są tysiące. Przypominam: to ci ludzie dążą teraz do odzyskania władzy w Polsce! Jedna opcja żyła jak pączki w masle. A proszę mi teraz wskazać jeden przykład, gdy kogoś ocenzurowałem. W Polsce jest pełna wolność słowa i sztuki. Trzeba powiedzieć jasno, że tej wolności jest więcej niż kiedykolwiek. Żadne środowiska nie są wykluczane z możliwości dofinansowania ich twórczości. Muszą jedynie startować w transparentnych konkursach. Natomiast ograniczyli-

śmy możliwość arbitralnych decyzji różnego rodzaju grupom interesu, korporacjom, które miały niekiedy pełną kontrolę nad wszystkimi strumieniami finansowymi. Także w mediach mamy pełną, dostępną w każdym pilocie, paletę poglądów, wrażliwości, przekonań. To w czasie poprzednich rządów było tylko mrzonką – wszystkie najważniejsze media mówiły wtedy dokładnie to samo i tak samo. Doświadczyłem tego mocno, kiedy zdecydowałem się wejść do polityki. Pamiętam to jako zderzenie z pędzącym pociągiem. Zakłamanie, manipulacje, pogarda i cenzura w ówczesnej debacie publicznej były szokujące. Tak wyglądały wtedy wolność i demokracja.

Dziś to pana oskarżają o wyrzucanie dyrektorów teatrów.

Czysta propaganda. W dwóch czy trzech drastycznych przypadkach na dziesiątki instytucji kultury zwolniłem kogoś w trakcie kadencji, tylko w jednym przypadku sąd stwierdził, że zrobiłem to w sposób nieuzasadniony. Jeden z moich bliskich współpracowników, za czasów gdy PiS było w opozycji, wygrał konkurs, a ówczesny

minister po prostu go nie zatrudnił. Decyzja czysto polityczna. Czy ktoś o tym słyszał?

Może na niektóre z nich warto machnąć ręką, może lepiej budować nowe instytucje, nowe teatry?

Mamy w Polsce 800 teatrów, w tym 121 publicznych. Powoływanie nowych ma w tej sytuacji średni sens, ale na każdą inicjatywę jestem otwarty. Wiele nowych instytucji powstało. Powołaliśmy Polską Operę Królewską, świetnie funkcjonującą, tworzoną przez ludzi, którzy zostali wyrzuceni z Warszawskiej Opery Kameralnej. Główną sceną POK jest Teatr Stanisławowski w Łazienkach Królewskich, wspaniałe miejsce. Teraz szykują premierę „Strasznego dworu” Moniuszki. Powołaliśmy kwartalnik literacki „NAPIS”, powstaje Instytut Literatury. Powstał Instytut Architektury i Urbanistyki. Utworzyliśmy Instytut Polskiego Dziedzictwa Kulturowego za Granicą POLONIKA. Uratowaliśmy PIW i Polskie Wydawnictwo Muzyczne przed śmiercią na rynku. Powołaliśmy Instytut Pileckiego. Trwają ogromne inwestycje, z najważniejszą – Muzeum Historii Polski na Cytadeli Warszawskiej.

Potężne przedsięwzięcie.

Niczego takiego w sferze kultury nie zbudowano od 1989 r. To będzie wreszcie godne, piękne, całościowe muzeum o naszej przeszłości. Główny budynek będzie miał 200 m długości. Dalej: kończymy Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku, udało się to przedsięwzięcie uratować, choć zastaliśmy tam masę problemów. Wydatki na ochronę zabytków zwiększyliśmy o 50 mln zł. 12 najlepszych regionalnych instytucji kultury i kilkanaście muzeów uzyskało trwałe wsparcie ministerstwa, co oznacza często ratunek dla danej placówki lub środków na jej znaczący rozwój. Powstały trzy nowe konkursy muzyczne: Konkurs Chopinowski na Instrumentach Historycznych, Konkurs im. K. Szymanowskiego w Katowicach i Konkurs Muzyki Polskiej im. S. Moniuszki w Rzeszowie. Stworzyli-

śmy nowy Festiwal Muzyczny Europy Środkowo-Wschodniej „EUFONIE”, budujemy Europejskie Centrum Muzyki w Żelazowej Woli. Każde takie przedsięwzięcie to kilka milionów złotych; inwestycje – często kilkadziesiąt lub kilkaset. To możliwe, bo nasz rząd zwiększył wydatki na kulturę o ponad 20 proc. Podjęliśmy właśnie decyzję, że w podziemiach katedry katowickiej, w 2022 r. powstanie Panteon Śląski na stulecie III powstania śląskiego. Aż

Nie rozumiałem początkowo, skąd takie straszne opory wobec propozycji, by otworzyć nową ścieżkę finansowania polskiej kinematografii. A to po prostu naruszało dotychczasowy układ

80 mln zł przeznaczyliśmy w sześciolletnim Programie Wieloletnim „Niepodległa”, który bardzo przyczynił się do sukcesu głównych obchodów stulecia odzyskania niepodległości, na wsparcie oddolnych działań organizacji pozarządowych i lokalnych instytucji kultury. Produkcja filmowa – 30 bardzo różnorodnych filmów historycznych – jest w trakcie realizacji. Mam nadzieję, że będą udane. Współfinansowaliśmy film dokumentalny „Niepodległość”, który okazał się wielkim sukcesem. Z TVP współtworzymy nowy serial „Młody Piłsudski” itd., itp. Zastanawiam się czasami, czy ci najgłośniejsi celebryci, którzy wszyscy – i bardzo dobrze – wciąż pracują w polskiej kulturze, za publiczne pieniądze, to wszystko widzą? Czy to dla nich ważne? Nie wiem. A może właśnie dlatego, że tego nie widzą, nie wiedzą, tak czasami krzyczą?

Ten krzyk ma sparaliżować działania. Zbudować kordon sanitarny. Uniemożliwić aktywność.

Zapewne tak, ale to się nie udaje. Robimy swoje, skupiamy się na pozytywnych projektach, pracujemy z tymi, którzy chcą pracować. Wiele środowisk twórczych jest zupełnie poza tym sporem. Słowem – nie przejmujemy się tym krzykiem. Poprzednie pokolenia, pracując dla Polski, miały znacznie trudniejsze warunki. Stawką jest Polska, jej kultura, duchowość, jej przyszłość. Choć chcę podkreślić, że czasami i z tej strony padnie słowo prawdy. Nawet zmarły niedawno wybitny reżyser Kazimierz Kutz, choć politycznie nam zupełnie niezżyliwy, przyznał, że to my znaleźliśmy pieniądze na cyfryzację jego śląskich filmów. A poprzednicy nie umieli tego zrobić. Czasem ktoś nie da się na nas napuścić w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” czy „Polityki”. Czasami milczy, ale docenia, że pomogliśmy rozwinąć działalność jego teatru, jak pan Andrzej Seweryn.

Na koniec chcieliśmy panu pogratulować, bo decyzyjczytelników tygodnika „Sieci” i kolegium redakcyjnego został pan wybrany na Człowieka Wolności roku 2018. Czy przyjmie pan ten tytuł?

Oczywiście, bo szanuję instytucję, którą panowie prowadzą, choć każda nagroda publiczna dla polityka to sytuacja nieco krępująca. Bardzo dziękuję za to wyróżnienie. Traktuję je jako wyróżnienie dla moich współpracowników i dla całej naszej formacji, bo rzeczywiście jesteśmy ludźmi wolności. Ale powiedziałbym nawet więcej: ludźmi wolności są nasi wyborcy. To jest nagroda dla nich. I cieszę się, bo to dobra okazja, by jeszcze raz podkreślić zasady, którymi się w swojej pracy kierujemy, by wskazać, że to właśnie my zwiększamy w Polsce przestrzeń wolności. Także przestrzeń do autentycznego dialogu i sporu. Zarówno pod względem ideowym, jak i pod względem finansowym. Każdy obywatel Polski ma prawo do korzystania ze środków, które polski podatnik przeznacza na kulturę czy wsparcie dla organizacji społecznych.

2019: świat ciekawszy, ale rozchwiany

*Wyborcza rywalizacja o wszystko w Polsce i Unii Europejskiej,
ostra konfrontacja Stanów Zjednoczonych i Chin
oraz ideologiczna ofensywa libertynów
– to nas czeka w nowym roku*



JAN ROKITA

Cala polska polityka w 2019 r. będzie się kręcić wokół wyborów. W maju obie walczące z sobą na śmierć i życie strony przeprowadzą ostatnie wielkie manewry, w których stawką nie będzie tak naprawdę to, kto ugra kilku więcej europosłów na posadach Brukseli, ale raczej to, komu uda się zająć lepszą pozycję startową przed jesiennym starciem o prawdziwą władzę. Jeżeli Prawo i Sprawiedliwość poprawi o 4–5 pkt swój 34-procentowy wynik z niedawnych wyborów regionalnych, na jesieni wystąpi w roli zdecydowanego faworyta. Jeśli zaś Platforma Obywatelska zmniejszy 7-procentowy dystans dzielący ją w tamtych wyborach od PiS, jesiennie głosowanie może się okazać dreszczowcem o nieznanym rezultacie. Poza granicami Polski panuje przekonanie, że PiS utrzyma władzę przez następne cztery lata. Tak prognozuje pod koniec roku 2018 redakcja „The Economist”. Dlatego nie powinno dziwić, że wiosną presja zagraniczna na Polskę będzie się zapewne zwiększać.

WYSOKA STAWKA

Zarówno obóz rządowy, jak i opozycja będą przekonywać, że w tych wyborach decyduje się ostatecznie los Polski, że cho-

dzi w nich o wszystko etc. Warto pamiętać, że to nie całkiem prawda. Owszem, dla Kaczyńskiego i Tuska (a także ich „zastępców” – Morawieckiego i Schetyny) stawka jest bardzo wysoka, gdyż ci, którzy tym razem przegrają, nie będą już mieć szansy na powrót do władzy. Obaj prawdziwi liderzy będą już na taki powrót za starzy i nazbyt anachroniczni w obliczu dziejącej się właśnie wielkiej zmiany pokoleniowej. A ten z dwóch „zastępców”, który tym razem poniesie porażkę, zostanie po prostu karnie odsunięty. Nawet jeśli PiS utrzyma władzę na następne cztery lata, to i tak zapewne odda ją w roku 2023, a całkowity odwrót od wielu reform, choćby w szkolnictwie, ściąganiu podatków czy socjału, już dziś nie jest przecież możliwy.

W trwającej niemal cały rok kampanii obie strony będą się starać zasłonić tę swoją twarz, której wyborcy najbardziej nie lubią. Platforma będzie się więc dwoić i troić z najdziwniejszymi obietnicami finansowymi (ostatnio 500 zł państwowego dodatku do niskich pensji!), bez zważania na polskie finanse. PiS zaś będzie się uśmiechało do wszystkich i fałszywie wychwalało Europę, chcąc zatrzeć reputację antyunijnego awanturnika. W tym udawaniu PiS będzie jednak trudniej, gdyż będzie musiało się zmierzyć twarzą w twarz z bezcere-



monialną próbą zmuszenia Polski do wycofania się w całości z reform wymiaru sprawiedliwości. Głównym narzędziem presji będzie luksemburski trybunał, który od marca zacznie ogłaszać wyroki demontujące kolejne segmenty reform. Jeśli PiS ulegnie, to przed wyborami straci swoją wiarygodność, a jeśli będzie się bić, to upadnie jego taktyka europejskiej przymilności.

GLOBALIŚCI KONTRA LOKALIŚCI

Natomiast w Europie majowe wybory będą pasjonującym starciem pomiędzy starymi a nowymi elitami politycznymi. Albo – inaczej mówiąc – między globalistami a lokalistami. Globaliści mają dziś pełnię władzy w Unii Europejskiej, więc skazani są na strategię obrony swoich pozycji. Lokalisci są natomiast w natarciu, licząc na odwojowanie większości w Parlamencie Europejskim. Będą walczyć przede wszystkim o osłabienie nadzoru Brukseli nad suwerennymi państwami, o poluzowanie sztywnych reguł strefy euro, o zamknięcie Unii Europejskiej dla obcej kulturowo imigracji oraz o wycofanie się instytucji europejskich z podjazdowej walki przeciw religii. Chociaż w kampanijnej retoryce będzie to wyglądać

na swoistą „wojnę światów”, to realna rywalizacja polityczna będzie mieć bardziej skomplikowany wymiar.

Rządzący dziś Unią chadecy z EPP muszą się przeciwstawić zagrażającym im liberalom i macronistom, a niektórzy spośród lokalistów będą w wyborach wzmacniać siłę bloku chadeckiego (jak węgierski Fidesz) albo rywalizować z nim (jak PiS czy włoska Liga). Dość prawdopodobne, że choć siła chadeków po tych wyborach będzie mniejsza, to Komisja Europejska dostanie się jednak Niemcowi Manfredowi Weberowi. O następcach Maria Draghiego (szefa Europejskiego Banku Centralnego) i Donalda Tuska (szefa Rady Europejskiej) zaś zdecydują zapewne Merkel i Macron. Na posadę po Tusku pewne szanse ma litewska prezydent Grybauskaitė, co – biorąc pod uwagę jej wyraźny ostatnio zwrot w stronę Polski – byłoby rozwiązaniem dużo lepszym od premiera Holandii albo byłej premier Danii.

Nowy Parlament Europejski będzie wyglądać całkiem inaczej niżli obecny. O ile bowiem teraz dominacja globalistów jest tam absolutna, o tyle po maju 2019 r. stanie się on forum prawdziwej politycznej konfrontacji pomiędzy w miarę równoważnymi starymi i nowymi europejskimi elitami. Jest więc jakaś szansa, że skończy się obecna nuda obrad Parlamentu Europejskiego.

SŁABA WIELKA BRYTANIA

Na początek europejskiej kampanii wyborczej nałoży się dreszczowiec odpływania/nieodpływania Brytanii od Europy. Jeszcze wszystko może się zdarzyć. Jeśli premier May nie przekona Izby Gmin do kształtu wynegocjowanej przez siebie umowy brexitowej, to pozostanie Anglików w Unii może się stać nader realną perspektywą. Oczywiście dość upokarzającą dla Anglików po tym wszystkim, co zdarzyło się do tej pory.

Jeśli zaś jakimś cudem May skłoni torysowskich posłów do poparcia umowy, Brytania odpłynie na bardzo dla siebie niekorzystnych warunkach. Będzie bowiem faktycznie musiała pozostać à la longue w europejskiej unii celnej, by uniknąć „awaryjnego” rozwiązania, jakim byłby podział kraju wzdłuż Morza Irlandzkiego (tzw. backstop). A skoro tak, to nie tylko będzie musiała być na zawsze posłuszna brukselskim regulacjom handlowym, ale nawet nie będzie mogła zawrzeć żadnej zewnętrznej, korzystnej dla kraju umowy handlowej, np. z USA (co Anglikom proponuje Trump). Ze swoim potężnym deficytem handlowym w relacjach z Unią (67 mld funtów w 2017 r.) Brytania wyjdzie na takim dealu jak Zabłocki na mydle. Mówią to otwarcie posłowie torysowscy, ale zdaje się, że świadomi pułapki, w jaką May wepchnęła kraj, nie umieją wymyślić żadnego wyjścia z sytuacji.

Każdy z trzech wariantów rozwoju zdarzeń jest więc dziś możliwy (jak mówi May: „My deal, no deal or no brexit”), ale stawiałbym raczej na to, że Brytania z poczuciem klęski i w atmosferze przymusu pogodzi się z fatalną umową pani May. Po takiej porażce polityczna rola Wielkiej Brytanii na jakiś czas wyraźnie osłabnie.

ROK ŚWINI

Dla przyszłych losów świata najważniejsza będzie w roku 2019 zaostrzająca się powoli rywalizacja amerykańsko-chińska, której stawką jest gospodarcze oraz technologiczne, a w konsekwencji także polityczne, przywództwo nad światem. W roku poprzednim stało się jasne, że USA pod wodzą Donalda Trumpa w końcu zdały sobie sprawę ze skali chińskiego zagrożenia dla swoich interesów i miały biernie przypatrywać się nowemu rywalowi (jak za Baracka Obamy), zaczęły go intensywnie zwalczać.

Wygląda na to, że mimo podjazdowej wojny waszyngtońskiego establishmentu z Trumpem następny rok będzie manifestacją jedności całej amerykańskiej elity politycznej w konfrontacji z Chińczykami. Można się spodziewać, że Kongres Stanów Zjednoczonych obetnie fundusze dla amerykańskich uniwersytetów, które biorą pieniądze od Instytutu Konfucjusza i technologie od Huawei. I wraz z rządem Trumpa naciskać będzie na wycofywanie z Chin tych firm amerykańskich, które operują nowoczesnymi technologiami. Na Kapitolu mówi się o ustawie, która wprowadziłaby ostre restrykcje na zakup akcji amerykańskich firm przez Chińczyków. A prawdziwy miecz Damoklesa, jaki Trump zawiesił nad Pekinem, to groźba ceł praktycznie na cały ogromny chiński eksport do USA. Już w tym roku było

widać, że Xi Jinping nie ma dobrej odpowiedzi na nową politykę Trumpa, a kontrretorsje chińskie są nieporównywalnie mniej dotkliwe dla USA. Nic w tym dziwnego, skoro w 2017 r. amerykański eksport do Chin był mniejszy od importu aż o 375 mld dol.

Wygląda więc na to, że w Roku Świni, który Chińczycy rozpoczynają w lutym, nie tylko urośnie wzajemny mur nieufności pomiędzy dwoma mocarstwami, lecz że twarda polityka Trumpa przyniesie nawet chińskie ustępstwa. A to dla prezydenta byłoby ważnym dowodem jego politycznej skuteczności.

„TRZECIA PŁEĆ” W NATARCIU

Niestety wszystko wskazuje na to, że w 2019 r. obóz libertynów zamierza rozwinąć kolejną wielką kampanię ideologiczną, tym razem o powszechne uznanie tzw. trzeciej płci. Tym samym wojna ideologiczna, dzieląca świat zachodni coraz ostrzej na dwa wrogie obozy, zostanie podniesiona na jeszcze wyższy poziom. Celem libertynów jest wymuszenie

Na posadę po Tusku pewne szanse ma litewska prezydent Grybauskaitė, co byłoby rozwiązaniem dużo lepszym od premiera Holandii albo byłej premier Danii

na parlamentach uchwalenia takich ustaw, które zagwarantowałyby nowe prawo człowieka do „samookreślenia płciowego” („gender self-identification”). Przy czym nie chodzi już tylko o to, aby każdy wedle własnych mniemań mógł się swobodnie określać jako mężczyzna, kobieta albo osoba transpłciowa, ale o to, aby wymusić akceptację takiego „samookreślenia” przez instytucje państwa, biznes i opinię publiczną, pod groźbą sankcji za przestępstwo transfobii. Transfobia – czyli odmowa uznania, że mężczyzna jest kobietą albo kobieta „trzecią płcią”, miałaby być wprowadzona do katalogu zachowań zakazanych przez prawo, podobnie jak stało się to już w wielu aktach prawnych w odniesieniu do tzw. homofobii.

Na początku roku prawa o „trzeciej płci” wejdą w życie w Niemczech i Kalifornii (jako pierwszym stanie USA) mimo krytyki ze strony administracji Trumpa. Można więc przewidywać, że mimo silnego oporu, nie tylko zresztą w środowiskach konserwatywnych, bariery zdrowego rozsądku będą pękać w kolejnych krajach, a pod presją oskarżeń o transfobię obyczajowe anomalie będą sankcjonowane przez przepisy. Dowodzi to tylko tego, że ciągle nie znamy granic myślowego rozchwiecia naszego świata.

Wesołych Świąt



Świąt Bożego Narodzenia pełnych rodzinnego ciepła
oraz wszelkiej pomyślności w nadchodzącym Nowym Roku
czytelnikom Sieci życzy
Bank Gospodarstwa Krajowego



STANISŁAW JANECKI

Najważniejsze są wybory: 26 maja do Parlamentu Europejskiego oraz pod koniec października lub w listopadzie do Sejmu i Senatu. Ta perspektywa wpływa na strategię partii, na walki frakcyjne w nich, na kwestie przywództwa i sojuszy, sprawy taktyki na linii władza-opozycja czy pozycjonowanie się nowych ugrupowań. Przy czym w wyborach do europarlamentu nie ma jeszcze wielkiej presji na jednoczenie się wszystkich ze wszystkimi po stronie opozycji, gdyż będą one rodzajem wpisowego do ewentualnych koalicji w wyborach do Sejmu i Senatu. Bez tego wpisowego mniejsze ugrupowania nie miałyby nic do gadania w konfrontacji z Grzegorzem Schetyną i Platformą Obywatelską.

W wyborach do europarlamentu znaczącą rolę może odegrać czynnik negatywny, bo wystartują w nich także przeciwnicy Unii Europejskiej i naszego w niej członkostwa. Ten czynnik istniał zawsze, ale w 2019 r. może mieć większą wagę ze względu na kryzys samej UE, na dochodzenie do głosu w kolejnych państwach partii wyraźnie eurosceptycznych.

Zmiana kalendarza wyborczego, np. przesunięcie wyborów do Sejmu i Senatu przed wybory do europarlamentu, wydaje się grą opozycji i sprzyjających jej mediów na sprowokowanie do takiego kroku Zjednoczonej Prawicy, jednak z małymi szansami na realizację takiego planu.

EUROWYBORY

W wyborach do europarlamentu chodzi głównie o to, jaki wkład polskie ugrupowania wniosą do frakcji w nim funkcjonujących. Obecnie Platforma jest drugą siłą (razem z francuskimi Republikanami) pod względem liczby posłów w grupie EPP (chadecy), mając 16 na 218 mandatów. PO wyprowadza



Nadchodzący rok zapowiada się wyjątkowo burzliwie. To będzie najważniejsze polityczne starcie od trzech lat

Polityka na wybory

tylko CDU/CSU (34 posłów). PiS z kolei jest drugą po Brytyjczykach z Partii Konserwatywnej (18 mandatów) partią w grupie ECR (konserwatyści) – ma 16 na 72 posłów. Z tym że brytyjskich posłów już w przyszłym europarlamencie nie będzie, ale może zastąpią ich Włosi z Ligi, ewentualnie także z Ruchu Pięciu Gwiazd oraz deputowani z mniejszych ugrupowań z innych państw. Znaczenie trojga (czworga, gdy doliczyć formalnie bezpartyjną Lidę Geringer de Oedenberg) posłów SLD w 191-osobowej grupie PES (socjaliści) jest żadne, podobnie jak czworga posłów PSL w 218-osobowym klubie EPP. Gdyby Teraz! Ryszarda Petru lub nie-dobitki Nowoczesnej Katarzyny Lubna-

uer startowały samodzielnie, zapewne aspirowałyby do grupy ALDE (liberałowie), mającej obecnie 68 mandatów w europarlamencie. Raczej nikt z Polski nie zasili grup GUE/NGL (lewica i zieloni) – 52 mandaty, G/EFA (zieloni) – 52 mandaty oraz ENF (eurosceptycy, nacjonaliści) – 34 mandaty. Idący wspólnie do wyborów endecy i korwinowcy w razie sukcesu chcieliby się zapewne znaleźć w grupie EFDD (eurosceptycy) – 43 mandaty.

O dużą stawkę powalczą w eurowyborach PO i PiS. Partia Schetyny ma ambicje być drugą siłą w EPP, PiS zaś stara się o to, by nie tylko dominować w grupie ECR, lecz także doprowadzić do powiększenia jej stanu posiadania



Fot. Andrzej Wiktor

(negocjacje w tej sprawie PiS prowadzi już od kilku tygodni). Dla obu partii wynik wyborów do europarlamentu ma znaczenie wizerunkowe, gdyż pokaże, kto słabnie, a kto się wzmacnia, a to może być bardzo ważne przed wyborami do Sejmu i Senatu.

Pod wspólnym szyldem z PO mogą pójść niedobitki z Nowoczesnej, ewentualnie SLD i pod pewnymi warunkami PSL, ale żaden wielki blok opozycyjny raczej nie powstanie. Katarzyna Lubnauer pójdzie na każde warunki Grzegorza Schetyny, gdyż samodzielnie nie ma w eurowyborach najmniejszych szans. A Schetyna postawi jej warunki upokarzające. W SLD do wyborczej koalicji z PO będą przeciw starsi działacze i nie przeszkodzi im chadecki szyld EPP. Tym bardziej że gładko się pod nim odnaleźli tacy dawni aktywiści PZPR, a potem SLD, jak Danuta Hübner i Dariusz Rosati. Zmieści się więc pod nim także Włodzimierz Cimoszewicz, mający wielką ochotę na mandat europosła. SLD nie dostanie od Schetyny dobrych miejsc na listach, więc wprowadziłby zapewne mniej posłów, niż ma obecnie. PSL może wejść w koalicję, obawiając się, że samodzielnie nie wprowadzi żadnego posła. Ale najbardziej prawdopodobne jest to, że Koalicja Obywatelska będzie w tych wyborach jeszcze mniej koalicyjna niż podczas wyborów samorządowych. Dlaczego? Bo partia Teraz! oraz tworzone właśnie ugrupowanie Roberta Biedronia będą chciały pokazać swoją odrębność i możliwości, więc wspólny blok byłby dla nich ograniczeniem.

PiS i PO za sukces uznałyby zapewne zdobycie 25 mandatów przez każdą z partii, co reszcie nie zostawiałoby wiele miejsca, skoro obecnie Polska ma do obsadzenia 51 mandatów (po brexicie nasz kraj zyskałby jeden mandat). Lepszy od konkurentów wynik będzie wykorzystywany propagandowo i marketingowo, szczególnie gdyby PiS pokonało PO mimo konfliktów z Komisją Europejską i sporów w TSUE oraz mimo donosów opozycji i oskarżeń o polexit.

WYBORY DO SEJMU I SENATU

Skłonność opozycji do tworzenia jednego wielkiego bloku na wybory do Sejmu i Senatu będzie zależała od wyniku wyborów do europarlamentu oraz od walk o przywództwo w poszczególnych partiach. W PO próba zastąpienia Grzegorza Schetyny Rafałem Trzaskowskim może być podjęta już w marcu lub kwietniu 2019 r., ale najprawdopodobniej stanie się tak po wyborach do PE. Podobnie może być w PSL i SLD. Słabnie szczególnie pozycja Włodzimierza Czarzastego jako lidera SLD. Nowoczesna raczej nie przetrwa, więc sprawa zamiany kimś Katarzyny Lubnauer sama się rozwiąże. Gdyby od kierowania PO odsunięto Grzegorza Schetynę, na partię największy wpływ miałby nie jej nowy szef Rafał Trzaskowski, lecz jego patron Donald

Tusk. A z tym tandemem wzrosłyby szanse na stworzenie dużego wspólnego bloku przed wyborami do Sejmu i Senatu, nawet z Teraz! Petru i nową partią Roberta Biedronia, nie mówiąc o PSL i SLD. Paradoksalnie więc opozycja miałaby większe szanse wygrać z PiS po wymianie liderów (może poza PSL, bo Władysław Kosiniak-Kamysz odpowiada Donaldowi Tuskowi) i otwarciu na wielką koalicję.

Grzegorz Schetyna zrobi jednak wszystko, żeby nie dać się wysadzić z siodła przewodniczącego, więc scenariusz wielkiej koalicji ma ten słaby punkt. Schetyna już zresztą wygrał małą bitwę z Trzaskowskim, zmuszając go do ustąpienia w sprawie wielkości bonifikat w Warszawie przy zamianie wieczystej dzierżawy we własność. Trzaskowski na tym stracił wizerunkowo i pod względem wiarygodności. Przyparty do muru Schetyna będzie jeszcze mocniej uderzał w Trzaskowskiego. Jeśli obecny przewodniczący PO się obroni, wielki blok raczej nie powstanie, a Platforma straci na rzecz przede wszystkim partii Roberta Biedronia, a trochę głosów uszczknie mu też Ryszard Petru. PSL raczej nie będzie skłonne do wielkiej koalicji, w przeciwieństwie do SLD. Tyle że Grzegorz Schetyna narzuci SLD bardzo trudne warunki, a to może oznaczać rozłam w Sojuszu (szczególnie po ewentualnej wymianie lidera), i ta część, która znajdzie się w Koalicji Obywatelskiej, w małym stopniu wpłynie na jej wynik wyborczy. Ze Schetyną Koalicja Obywatelska raczej znacząco nie poprawi wyniku PO z wyborów w 2015 r. (24,08 proc.), a jeśli, np. po wejściu SLD do wspólnego bloku, to o 4–5 pkt proc. (maksymalnie do 30–31 proc.)

Prawo i Sprawiedliwość w 2019 r. nie będzie miało tak sprzyjających okoliczności, żeby przy 37,58 proc. głosów zyskać samodzielną większość w Sejmie. Do takiej większości będzie potrzeba ok. 42 proc. głosów. W dodatku PO będzie mogła zawrzeć koalicję ze wszystkimi, może poza Kukiz '15 (jeśli ruch wejdzie do Sejmu), w tym z nową partią Roberta Biedronia (o ile ta znajdzie się w Sejmie, na co ma szanse). Na rzecz PiS działaby rozdrobnienie po stronie opozycji, czyli np. wejście do Sejmu pięciu opozycyjnych ugrupowań. Wtedy wymagany

próg 42 proc. głosów do samodzielnego rządzenia można by obniżyć.

Obecnie PiS może „na twardo” liczyć na 35–37-procentowe poparcie. Chodzi więc o poszerzenie tego poparcia w skali 5–7 proc. 2–3 proc. można zyskać, maksymalnie mobilizując zwolenników, nawet tych rozczarowanych rządami PiS. Na więcej mobilizacja nie wystarczy, więc tu pojawia się problem, kogo można pozyskać.

Plan PiS, żeby rok 2019 upłynął pod znakiem „dobrobytu i bezpieczeństwa”, ma zwiększyć poparcie w elektoracie socjalnym. Otwarcie na klasę średnią ma z kolei sprawić, że jej część dotychczas na Zjednoczoną Prawicę niegłosująca ma zmienić swoje nastawienie. Do tego potrzebne jest przekonanie możliwych do pozyskania wyborców, że PiS będzie rządziło dłużej niż jedną kadencję, nie jest tylko partią grup roszczeniowych, zapewnia w Polsce pokój społeczny, wycisza konflikty z instytucjami Unii Europejskiej oraz uspokaja się wewnętrznie, czyli wycisza walki frakcyjne i podchody o schedę po Jarosławie Kaczyńskim. Ta ostatnia sprawa ma być uciętą powrotem lidera Zjednoczonej Prawicy do roli osoby sprawującej rzeczywistość, a nie tylko polityczną władzę. To wszystko wpłynie na decyzje o twarzach PiS w kampaniach wyborczych, czyli także o ewentualnej rekonstrukcji rządu oraz jej głębokości, mogącej obejmować nawet premiera. Zjednoczona Prawica chce mieć pewność, że lider/liderzy kampanii zagwarantują jej optymalny wynik wyborczy.

BURZLIWY ROK

W wyborczym roku 2019 najważniejszymi narzędziami walki opozycji z władzą będą kampanie wokół praworządności: zarzuty o łamanie konstytucji, kwestie sądów i sędziów, sprawy przestępczości, w którą uwikłani są politycy, działania prokuratury w sprawach korupcyjnych, ściganie „swoich” przez CBA, przywileje władzy. Paradoksalnie opozycji, w tym Platformie, opłaca się porównywanie PiS do PO, gdyż o grzechach partii Schetyny i tak

już wszyscy wiedzą, więc jej porównanie z PiS zaszkodzi mniej, a nawet jej politycy mogą twierdzić, że uczą się na swoich błędach, podczas gdy PiS – odwrotnie. Równie ważne będą kampanie wokół polexitu napędzane kolejnymi decyzjami TSUE w sprawie Polski oraz stanem relacji z Komisją Europejską w związku z procedurą z art. 7 traktatu o UE. Opozycja wykorzysta prounijne nastawienie Polaków i będzie ich straszyć niezamierzonym, ale faktycznym wyjściem z UE, tak jak to było w przypadku brexitu. Można się spodziewać kampanii opartych na fake newsach o ograniczaniu praw Polski w ramach grupy Schengen, o nierespektowaniu

W 2019 r. Zjednoczona Prawica musi być spokojna jak nigdy. I jak nigdy wcześniej zjednoczona oraz skupiona na pozytywnym programie. Jeśli da się wciągnąć w przygotowywane awantury i pułapki – przegra

wyroków polskich sądów, szczególnie w sprawach gospodarczych, o zagrożeniu pozycji złotego, o eliminowaniu Polaków z unijnych instytucji czy o ograniczeniu polskiego eksportu i zagranicznych inwestycji w naszym kraju. Wszystkie te kampanie mają w roku wyborczym wystraszyć Polaków perspektywą rządów PiS na kolejne cztery lata, szczególnie w kontekście tego, jakie korzyści (realne i mniemane) Polacy mają w związku z członkostwem w UE.

Ważnym narzędziem walki opozycji z rządem ma być w 2019 r. oskarżanie Zjednoczonej Prawicy o ograniczanie swobód obywatelskich, np. wolności mediów, prawa do zrzeszania się i manifestowania, wolności kultury, oskarżenia o klerykalizację życia społecznego i poszerzanie wpływów Kościoła, o za-

ostrzanie regulacji dotyczących aborcji, praw mniejszości, w tym mniejszości seksualnych. W tych kampaniach będzie chodziło nie tylko o to, żeby takie tematy zdominowały debatę publiczną, lecz także żeby PiS nie miało czasu na złapanie oddechu zmuszone do reagowania na narracje i tematy wymyślane i podsuwane przez antypis. Opozycji będzie chodziło o odebranie PiS inicjatywy, a nawet o jej przejęcie. Z tego powodu Zjednoczona Prawica musi wyciszyć spory wewnętrzne, nie dostarczać pretekstów do ataków i skupić się w 2019 r. na narzucaniu własnych narracji i agendy. A to oznacza także bezwzględne respektowanie zakazu atakowania osób z własnego obozu, szczególnie za pomocą opozycyjnych mediów.

Wobec słabnięcia ulicy media będą najważniejszym terenem walki ze Zjednoczoną Prawicą. I niepomniernie wzrośnie rola fake newsów w tej walce, skoro okazały się one tak użyteczne w 2018 r. Ulica będzie oczywiście nadal wykorzystywana, podobnie jak zagranica, ale tylko kilka razy w roku, najprawdopodobniej krótko przed wyborami do europarlamentu (na początku maja 2019 r.), a potem we wrześniu i w październiku. Mniej liczne działania na ulicy mają zagwarantować lepszą frekwencję, a więc także większe możliwości ogrania tego w mediach. Media odegrają pierwszorzędą rolę, już nie tylko sympatyzując z opozycją, lecz wręcz będąc filarem jej propagandy. Z tego powodu doraźne sojusze części obecnej władzy z tymi mediami, do jakich dochodziło w 2018 r., wydają się samobójcze.

Jeśli rok 2016, szczególnie w końcówce, był chyba najbardziej burzliwy po przejęciu władzy przez PiS, to rok 2019 zapowiada się jeszcze bardziej burzliwie, bo chodzi o bardzo wysoką stawkę: albo PiS będzie znowu tylko epizodem, albo trwale zmieni Polskę. I w takim roku Zjednoczona Prawica musi być spokojna jak nigdy. I jak nigdy wcześniej zjednoczona oraz skupiona na pozytywnym programie. Jeśli da się wciągnąć w przygotowywane awantury i pułapki – przegra.

Tankuj i kupuj na stacjach ORLEN, zbieraj punkty i **wygrywaj w wielkiej loterii Programu VITAY!**



Telefon
Samsung
Galaxy S9

x 100

hot dog
standard

x 5 000



x 1 000



x 300 000



x 5 000

gorący napój
210 ml

Odbierz Los za 200 pkt VITAY

**Rabat 10 gr/l* paliwa VERVA
do każdego odebranego Losu**

**Wejdź na vitay.pl
i weź udział w loterii**

**CLUB
VITAY**

Do Promocji można przystąpić wymieniając 200 pkt VITAY na Los na vitay.pl w okresie 03.12.2018-10.02.2019 r.
lub do wyczerpania puli Losów. Promocja składa się z Loterii i Sprzedaży Promocyjnej i jest przeznaczona
dla Zarejestrowanych Uczestników Programu VITAY. Szczegóły Promocji w Regulaminach dostępnych na vitay.pl
* Rabat jest rabatem minimalnym. Stacje franczyzowe mogą stosować własny rabat, nie niższy niż rabat minimalny
wskazany w niniejszym materiale. Rabat obowiązuje przy jednorazowym zakupie maksymalnie
50 litrów paliwa VERVA. Rabat można zrealizować do 31.03.2019 r.


ORLEN

Wyrwać się z kąta

Frans Timmermans

To liberalna oligarchia określa dziś margines dopuszczalnej swobody w Unii Europejskiej. W Polsce jest on wyjątkowo wąski. Dlatego każda próba poszerzenia własnej suwerenności wywołuje konflikty. Czy jesteśmy skazani na presję z zewnątrz?



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Niedawna nowelizacja ustawy o Sądzie Najwyższym, która cofa część zmian wprowadzonych rok wcześniej przez PiS, była zimnym prysznicem dla rządzącej prawicy i wielu jej zwolenników. Prezydent Andrzej Duda w swoim przedświątecznym wystąpieniu w Trybunale Konstytucyjnym przyznał, że podjął decyzję o podpisaniu nowelizacji, „kierując się zapisami konstytucji” nakazującymi mu respektowanie orzeczeń wydanych przez unijny Trybunał Sprawiedliwości.

Przy tej okazji gorzko zauważył, że antypisowska opozycja oraz część sędziów sprzeciwiających się zmianom w Sądzie Najwyższym nie kierują się tymi samymi kryteriami i ignorują – z przyczyn politycznych – istniejące procedury prawne, pomijając Trybunał Konstytucyjny i odwołując się bezpośrednio do instytucji unijnych. „Jest to daleko nie w porządku, jest to nie-

uczciwe i jest to tak naprawdę robienie publicznie polityki” – mówił prezydent.

I choć krytyczna uwaga prezydenta jest całkowicie uzasadniona, to ujawnia jednocześnie pewną bezradność. Bo to trochę tak, jakby apelować do kota, aby – w imię odpowiedzialności za dom – nie drapał pazurami kanapy. Kot ma pazury i będzie nimi drapał, chyba że zostaną mu spiłowane. Tak samo jest z antypisem, jego pazurami – pozostając przy porównaniu z kotem – jest liberalna oligarchia stojąca na czele Unii Europejskiej. Problem w tym, że Polska nie ma mocy, by te pazury spiłować i tym samym złośliwego kota unieszkodliwić.

GRANICE SWOBODY

Burzliwa historia wprowadzanej przez PiS reformy sądownictwa jest doskonałą ilustracją tego, na co możemy sobie jako państwo pozwolić, a na co nie. Podobnie było z innymi projektami, choćby z ideą dekoncentracji mediów czy z opodatkowaniem sklepów wielkopowierzchniowych albo polityką energetyczną. Tam, gdzie naruszane są żywotne interesy polityczne czy ekonomiczne głównych państw Unii, tam pojawia się bariera trudna lub wręcz niemożliwa do pokonania.

Wniosek z tego płynie taki, że to Unia Europejska – czy też bardziej precyzyjnie – sprawująca w niej władzę liberalna oligarchia wyznacza margines dopuszczalnej swobody. W Polsce, która jest rządzona przez PiS, jest on wyjątkowo wąski. Dlatego każda próba poszerzenia własnej suwerenności i uzyskania większej podmiotowości wywołuje konflikty. Być może ich skala byłaby mniejsza, gdybyśmy nie mieli do czynienia z tak silnym sporem politycznym w Polsce.

Antypis – zdając sobie sprawę z własnej słabości – już od chwili przegranej w wyborach 2015 r., usilnie wciągał w nasz wewnętrzny konflikt instytucje



Donald
Tusk

czenie przez Polskę Unii Europejskiej. Tyle że wbrew kłamliwym sloganom opozycji o rzekomym polexicie PiS nigdy nie dążyło i nie dąży do realizacji takiego scenariusza, będąc formacją zdecydowanie proeuropejską i zdając sobie sprawę z jego oplakanych konsekwencji geopolitycznych dla Polski. Ustępstwa poczynione przez obóz rządowy pod presją Unii są najlepszym dowodem na determinację PiS, aby – mimo wszystko – pozostać we wspólnocie.

GASNĄCY ENTUZJAZM

Zaangażowanie Unii Europejskiej w polski konflikt wewnętrzny ma jak każdy kij dwa końce. Z jednej strony wzmacnia siły antypisowskie, ale z drugiej – odbiera Unii immunitet chroniący ją dotąd przed krytyką. Korozja autorytetu Unii postępuje szczególnie szybko po prawej stronie sceny politycznej, gdzie coraz silniej narasta rozczarowanie wynikające ze zderzenia realnej Unii z wcześniejszym wyobrażeniem o niej jako o wcieleniu najlepszych demokratycznych wartości.

To rozczarowanie przejawia się zresztą nie tylko na poziomie instytucjonalnym, lecz również aksjologicznym. Na ten ostatni zwrócił niedawno uwagę na naszych łamach Piotr Skwieciński, recenzując esej Ivana Krasteva i Stephena Holmesa zamieszczony w „Journal of Democracy”. Jak piszą Krastev i Holmes: „Nagle Polacy odkryli, że zachodnia normalność oznacza laicyzm, wielokulturowość i homoseksualne małżeństwa. Czy powinniśmy być zaskoczeni tym, że Polacy i ich sąsiedzi poczuli się oszukani, odkrywając, że społeczeństwa, według wzoru których chcieli się przekształcić, znikły?” – pytają autorzy eseju.

Dziś Polacy ciągle są jednym z najbardziej prounijnych społeczeństw, jednak – przynajmniej po prawej stronie – ich entuzjazm wobec Unii coraz częściej zastępowany jest przez po-

czucie realizmu, po prostu większość zdaje sobie sprawę z bezalternatywności członkostwa w Unii, nic dobrego poza wspólnotą nie może nas przecież spotkać.

Nikt jednak nie może zagwarantować, że przy utrzymaniu dotychczasowego zaangażowania Unii w wewnętrzne sprawy Polski to poczucie realizmu w perspektywie kilkunastu, 20 lat nie zostanie wyparte przez coraz bardziej otwarte kwestionowanie naszego uczestnictwa we wspólnocie. Byłby to – powiedzmy otwarcie – fatalny scenariusz dla Polski. Już dziś, na razie na marginesie polityki, próbując grać na tej nucie grupki związane z ruchem narodowym. Osłabianie PiS jest więc jednocześnie działaniem prowadzącym do wzmocnienia tych grup. To bardzo krótkowzroczna strategia.

Trzeba tu podkreślić, że nie tylko Polska czerpie korzyści z członkostwa w Unii, zyski są bowiem obopólne. W interesie Polski i Unii byłoby zatem odejście od eskalowania wzajemnych konfliktów i zaakceptowanie – w ustalonych wspólnie granicach – odmienności naszego regionu. A wśród nich pogodzenie się z istnieniem formacji, które pozostając odległe od liberalnej ortodoksji, są jednocześnie – tak jak PiS w Polsce – zwolennikami integracji europejskiej i domagają się, aby ich państwa miały w niej czynny udział. Do osiągnięcia takiego porozumienia potrzeba jednak polityków zupełnie innego formatu niż Jean-Claude Juncker, Donald Tusk czy Frans Timmermans. Trudno również oczekiwać podobnej refleksji po politykach niemieckich czy francuskich, wstydliwie ukrywających swój nacjonalizm pod zasłoną ostentacyjnego liberalizmu.

SOLIDARNOŚĆ OLIGARCHII

Unię Europejską rozrywają dziś liczne konflikty interesów. Dawną ideę solidarności zastąpił brutalny darwinizm, w którym zawsze wygrywa ten, kto ma większe zasoby. A w Unii najwięcej zasobów ma sprawująca władzę liberalna oligarchia. Ta międzynarodówka oligarchów tworzy – jak to trafnie określił Dariusz Karłowicz – rodzaj funkcjonalnej arystokracji, ponadnarodowy sojus

unijne, co ostatecznie zostało zwieńczone sukcesem w chwili, gdy Komisja Europejska uruchomiła przeciwko Polsce procedurę z art. 7 traktatu unijnego. Tym samym antypisowska opozycja zyskała silnego sprzymierzeńca, a rząd został zmuszony do stawienia czoła już nie garstce tupiących pod Sejmem demonstrantów, lecz ogromnej instytucji dysponującej wieloma instrumentami nacisku politycznego, prawnego i gospodarczego. W tym starciu proporcje sił odwróciły się zdecydowanie na niekorzyść PiS.

Oczywiście teoretycznie istnieje wyjście z tej sytuacji – byłoby nim opusz-

progresywnej ideologii i wielkiego kapitału.

Nic zatem dziwnego, że każdy, kto próbuje kwestionować istniejące status quo, staje się natychmiast publicznym wrogiem. Przy czym linie podziału nie idą wzdłuż granic, ale w ich poprzek. W Polsce na cenzurowanym jest PiS, ale jego oponenci są już „po właściwej stronie”.

Doskonale widać to na przykładzie Francji, która stała się w grudniu widowiskiem wielotysięcznych gwałtownych demonstracji zwoływanych przez spontaniczny ruch „żółtych kamizelek”.

Kłęczący licealiści z założonymi na tył głowy rękami, aresztowani demonstranci siedzący jeden za drugim na chodniku: te obrazy bardziej przywoływały na myśl jakąś latyno-amerykańską dyktaturę z lat 70. niż współczesną europejską demokrację.

Niektórzy w Polsce byli zaskoczeni. Przypominali fotografie z antypisowskich demonstracji, podczas których nasza policja nie tylko unikała jakiegokolwiek fizycznej interwencji, lecz wręcz wykazywała anielską cierpliwość w obliczu nierzadko chamskich prowokacji tłumu. Tyle że te porównania nie miały większego sensu. Nie wiem, czy polska policja jest z natury łagodniejsza (skądinąd francuska zawsze słynęła z brutalności), czy też nie jest, ale to bez znaczenia. Po prostu nie ma dziś w Polsce politycznego przyzwolenia na brutalne pacyfikowanie politycznych przeciwników. Oczywiście druga strona wielokrotnie próbowała to podważyć, sprowokować awanturę, ale ta taktyka nie przyniosła rezultatów.

„Pisowska policja” bijąca demonstrantów to niespełnione marzenie antypisu. Echa tego marzenia pojawiły się niedawno na falach radia Tok FM, gdzie zastanawiano się, czy możliwa byłaby powtórka Paryża w Warszawie. Bo szkopał tkwi w tym, że gdyby doszło w Polsce nawet nie do powtórki z Paryża, ale do jakiegś jej żalostnej namiastki, to cała Unia Europejska – tak ślepa na uliczne bijatyki we Francji – zagrzemiałaby z oburzenia nad brutalnością polskiego reżimu. Bo problem nie leży w tym, że biją, tylko w tym, kto bije.

Francuskiej policji wolno tuc demonstrantów. Demonstranci to roszczeniowa hołota z prowincji (skąd my to znamy?), która ośmieliła się podnieść rękę na liberalną władzę. Co innego, gdyby postępowi demonstranci walczyli z „anachronicznym reżimem”, tak jak w Polsce. Wówczas racje byłyby po stronie demonstrantów. I wtedy Europa zawyłaby głośno z gniewu.

Ta funkcjonalna arystokracja, do której w Polsce aspirują środowiska antypisowskiej opozycji z PO na czele, wykazuje wewnętrzną solidarność w interesie całej grupy. Dlatego Emmanuel Macron, będący prominentnym przedstawicielem tego środowiska, może sobie pozwolić na wiele. Jego upadek byłby

Niewykluczone, że majowe wybory do Parlamentu Europejskiego staną się jaskółką zwiastującą zmiany. Dają bowiem szansę na wprowadzenie nowych nurtów do europejskiej polityki

dużym wyzwaniem dla liberalnych elit, bo nie mogą one dopuścić do utraty tak ważnego ogniwa, jakim jest Francja.

Z tego samego powodu antypisowska opozycja może dziś skutecznie paraliżować politykę PiS. O skuteczności antypisu decyduje bowiem parasol ochronny rozłożony przez liberalną Unię, a nie poparcie wyborców i liczba uzyskanych miejsc w Sejmie. W ten sposób wybory, parlament i inne instytucje państwa demokratycznego przegrywają w walce z interesem liberalnej oligarchii. Takie standardy promuje dziś w Polsce Unia.

WIOSNA NASZA?

Czy oznacza to, że jesteśmy już skazani na rządy oligarchii? Zbyt wcześnie na wyciąganie tak pesymistycznych wnio-

sków. Bo choć demokracja w Europie nabiera coraz bardziej rytualnego charakteru, to przecież ciągle jest furtką prowadzącą do zmian. Furtką coraz węższą, czego dowodzą demonstracje bezsilnego tłumu we Francji, ale nadal istniejąca.

Dlatego tak duży niepokój wewnątrz liberalnych elit wywołują ruchy polityczne kwestionujące obecny układ sił. W tym kontekście znacznie łatwiej nam zrozumieć, dlaczego grillowanie pisowskiej Polski jest dla instytucji unijnych ważniejsze od debaty nad zamieszkami we Francji. Bo we Francji władza znajduje się we właściwych rękach, a w Polsce – wręcz przeciwnie.

Wszechwładzę liberalnej oligarchii mogłyby naruszyć nadchodzące wybory do Parlamentu Europejskiego, pod warunkiem że społeczeństwa Europy – w tym polskie – solidarnie wyraziłyby swój sprzeciw przy urnach. Wielką nadzieję na zmiany w Europie ma współrządzająca Włochami koalicja Ligi i Ruchu Pięciu Gwiazd. Sekunduje im z Węgier Viktor Orbán. Na razie jednak trudno mówić o ogólnoeuropejskiej fali sprzeciwu, unijna arystokracja broni się przed nią skutecznie, dążąc do zwiększenia kontroli nad przepływem informacji i mocno tłukąc pałką, zarówno tą prawdziwą – tak jak we Francji – jak i tą ideologiczną, zaostrzając rygory politycznej poprawności.

Niewykluczone jednak, że majowe wybory do Parlamentu Europejskiego staną się jaskółką zwiastującą przyszłe zmiany. Każde zwycięstwo kandydatów sprzeciwu daje bowiem szansę na wprowadzenie nowych nurtów do europejskiej polityki, ośmielając tym samym kolejnych wyborców do udzielenia im wsparcia w przyszłości. A to może z kolei prowadzić – w dalszej perspektywie – do powstania w Unii całkiem nowego otoczenia politycznego wokół Polski.

W tym sensie wybory europejskie są wielkim wyzwaniem i nadzieją dla polskiej prawicy. Nawet jeśli ich rezultaty nie zatrzymają całkiem recydywy antypisu, to z pewnością mogą ją osłabić. Wszystko jednak będzie zależało od wyborców – nie tylko polskich.

POLSKIE LINIE LOTNICZE

LOT

A STAR ALLIANCE MEMBER



Nowy Jork
Statua Wolności



Los Angeles | Venice Beach



Chicago | Panorama miasta



Miami | South Beach

Ameryka - po prostu zachwycająca!

Leć do Stanów z Warszawy, Krakowa
oraz Rzeszowa i odkryj wyjątkowe
amerykańskie miasta.



lot.com



Lotniskowiec
„Ronald Reagan”



Chińczycy trzymali się mocno

– *Mister President, code red. Agent Secret Service, który wyszeptał te słowa w ucho Donalda Trumpa, nie był do końca pewien, jak ten zareaguje, bo w przypadku tego prezydenta nigdy nie można przecież być niczego pewnym*



Foto: U.S. Navy photo by Mass Communication Specialist 2nd Class Kella

Może go zrużga, a może nie zrobi zupełnie nic, no bo przecież jemu, Trumpowi, nikt nie będzie mówił, co ma zrobić, a już zwłaszcza jakiś tam funkcjonariusz, z definicji podejrzany o związki z „głębokim państwem”...?

Ale nie. Prezydent zachował się tak, jak przewidywała procedura sytuacji alarmowych, z którą musiał, jak wszyscy jego poprzednicy, zapoznać się w dniu zaprzysiężenia. Mimo że przemawiał właśnie główny organizator konferencji „Amerykańscy homoseksualiści na rzecz reelekcji Trumpa w 2020 r.,” która przywiodła go do Saint Louis, wstał, kiwnął głową w stronę prezydium i skierował się do wyjścia.

Trzasnęły drzwiczki pancерnej limuzyny, zwanej „Bestią”. Dowódca aktywnej zmiany ochrony, milcząc, włączył teleprzekaznik. Na ekranie ukazał się sekretarz obrony James Mattis.

– Panie prezydencie, przed kwadrantem na Morzu Południowochińskim...

DZIEŃ X

Nikt się nie spodziewał, że Shenyang J-31 okaże się tak diabelsko skuteczny. Że naprawdę przeniknie, niedostrzeżony, przez zaporę radarową amerykańskiej Task Force, ochraniającej podmorskie pola naftowe, będące przedmiotem sporu między Chinami a Wietnamem. I wpakuje dwie rakiety w jej flagowy okręt, lotniskowiec „Ronald Reagan”.

Teraz „Reagan” szedł na dno, a wraz z nim gros możliwości przeciwlotniczej obrony VII Floty. Rakiety, wystrzelone przez Chińczyków z wyspy Hajnan, zniszczyły krążowniki „Antietam” i „Shiloh”. Płonął „Blue Ridge”, okręt dowodzenia całej floty. Ba, ciężko uszkodzony został pierwszy wprowadzony do służby superniszczyciel typu Zumwalt, który podobno miał być niewidzialny.

Nowe Pearl Harbor.

Był to wprawdzie, teoretycznie, tylko odwet. Dwa dni wcześniej niszczyciel „Curtis Wilbur” położył ogień przed dziobami chińskich fregat, zmierzających w stronę platformy wiertniczej numer 17. Rozkaz wydał osobiście Trump, mimo sprzeciwu sekretarza spraw zagranicznych Mike’a Pompeo.

Miała to być tylko demonstracja, ale coś poszło nie tak i fregata „Jingzhou” zainkasowała pięciocalowy pocisk. Poległo czterech Chińczyków, Pekin oficjalnie ogłosił, że jest ofiarą agresji. Ale choć prezydent Xi Jinping powtórzył wówczas publicznie swoją ulubioną frazę: „Na Zachodzie macie powiedzenie, że jeśli ktoś uderzy cię w lewy policzek, powinienes nadstawić drugi, natomiast my w naszej kulturze oddajemy cios”, to nikt nie przypuszczał, że w odwecie zdecyduje się pójść na całość.

A już na pewno nie przypuszczał tak Trump.

DZIEŃ X MINUS 14

Nie przypuszczał, bo też ani CIA, ani Departament Stanu nie dotarły do informacji, że dwa tygodnie wcześniej pod Irkuckiem w najściślejszej tajemnicy Xi Jinping spotkał się z Putinem. Ten sekretny szczyt był oczywiście uwieńczeniem długiego procesu równie sekretnych negocjacji.

Tajny protokół, podpisany w równie tajnej, przeglądającej się w toni jeziora Bajkał rezydencji prezydenta Rosji, brzmiał: „Na wypadek przekształcenia terytorialno-politycznego obszaru należącego do państw Azji Południowo-Wschodniej i Wschodniej Rosja oświadcza, że ten teren pozostaje poza strefą jej zainteresowania. Na wypadek przekształcenia terytorialno-politycznego obszaru, należącego do państw Bliskiego i Środkowego Wschodu Chin oświadcza, że ten teren pozostaje poza strefą ich zainteresowania. Jeśli chodzi o Europę, Rosja podkreśla swoje zainteresowanie obszarem dawnego ZSRR, a także terenem między obszarem dawnego ZSRR a Niemcami, oraz cieśninami czarnomorskimi. Ze strony Chin stwierdza się zupełny désintéressement odnośnie do tych terytoriów. Jeśli chodzi o Tajwan, obie strony podkreślają, że jest to prowincja państwa chińskiego, a sposób przywrócenia jej pełnej jedności z kontynentalnymi Chinami pozostaje wewnętrzną sprawą Chin. Jeśli chodzi o Azję Środkową, obie strony deklarują, iż wszelkie związane z tym obszarem kwestie będą rozwiązywane drogą przyjacielskiego porozumienia”.

Był też drugi protokół – gospodarczy. Przewidywał, że w ciągu najbliższych lat Chiny otrzymają, po bardzo dogodnych cenach, w zasadzie nieograniczony dostęp do potrzebnych im rosyjskich surowców, zwłaszcza tych o militarnym znaczeniu. I że w wypadku zablokowania prowadzących do Chin dróg morskich Moskwa udostępni Pekinowi swoje lądowe trasy komunikacyjne, na Zachód, a także wiodącą wokół wybrzeży Syberii Północną Drogę Morską.

I podpisano też trzeci protokół – wojskowy. Uzgodniony przez przybyłych nad Bajkał razem z prezydentami szefów sztabów generalnych obu państw, a także głównodowodzących ich wojsk kosmicznych.

DZIEŃ X, CDN.

„Operation Room”, położony dwie kondygnacje pod wschodnim skrzydłem Białego Domu, wrzał.

– Jak, jak do cholery, oni zdołali to zrobić?! – Trump wałnął pięścią w poręcz fotela.

– Panie prezydencie – siedzący obok Trumpa Mattis schylił się w jego stronę – proszę spojrzeć na monitory numer 4, 6 i 16.

Trump spojrział. Jakieś migoczące punkciki.

– Panie prezydencie, to rosyjskie satelity. Współdziałają z chińskimi. Cały ich system zwiadu kosmicznego i cały ich system radarowy pracuje teraz pełną parą dla Chińczyków. W powietrzu są ich samoloty A-100, odpowiednik naszych AWACS-ów. Działają też ich okręty rozpoznania radioelektronicznego.

– Russian bastards! – krzyknął Trump. – Ich trzeba zniszczyć, zestrzelić, zatopić! Mattis! Jestem głównodowodzącym sił zbrojnych!

Mattis schylił się w prawo jeszcze bardziej i teraz odległość między jego prawą skronią a lewą skronią Trumpa wynosiła chyba mniej niż pięć centymetrów.

– Oczywiście, panie prezydencie – niemal wyszeptał. – Oczywiście możemy to zrobić. Ale...

– Jakie „ale”?! –

– Panie prezydencie – odezwał się z prawej strony Mike Pompeo. – To by oznaczało pełną wojnę już nie tylko z Chinami, lecz i z Rosją.

– Temu – to głos doradcy ds. bezpieczeństwa Johna Boltana, zza pleców – już możemy nie podolać.

Prezydent przejechał rękoma po swojej bujnej fryzurze i podparł brodę rękami.

DZIEŃ X PLUS 20

Po zniszczeniu VII floty wiele rzeczy było już dziecinnie proste. Ogromny desant zajął Tajwan, który, pozbawiony amerykańskich sojuszników, nawet nie bardzo się bronił. Jednocześnie południowa armia inwazyjna przekroczyła granicę Wietnamu. Armia tego kraju walczyła dzielnie, wręcz rozpaczliwie. Ale siły były nierówne. Po tygodniu padło Hanoi, a Wietnam poprosił o rozejm.

Rządy Filipin, Laosu, Kambodży, Tajlandii, Malesji i nawet Indonezji błyskawicznie zmieniły swoją politykę. Na wyścigi zapewniały Pekin o swojej lojalności.

Drugiej takiej szansy nie będzie – powiedział prezydent Putin. – A ta potrwa bardzo niedługo, wojna amerykańsko-chińska przecież się skończy. Teraz finalizujemy jednoczenie russkiego mira, ale żeby naprawdę wrócić do roli światowego supermocarstwa, musimy stanąć mocną nogą w sercu Europy

Władze Australii i Nowej Zelandii poinformowały Waszyngton, że choć wiąże je z USA sojusz ANZUS, to nowe okoliczności zupełnie zmieniają sytuację, a więc zgodnie z zasadą rebus sic stantibus nie uważają się już za zobowiązane do wypełnienia zapisanych w nim swoich wojskowych powinności.

U boku Ameryki trwała już tylko Japonia. Bo nawet południowa Korea, przerażona widmem inwazji z północy, poprosiła Pekin o coś w rodzaju protektoratu.

Gdy ambasador z Canberry, spełniwszy niemiły obowiązek zawiadomienia swego dotychczasowego Wielkiego

Brata o tym, że Wielkim Bratem już nie jest, opuścił Departament Stanu, a Pompeo poinformował o tym prezydenta, ten znów wezwał go do Operation Room. Już nie tego pod Białym Domem, tylko tego wojennego, w prezydenckiej kwaterze głównej, wykutej w skale kilometr pod Górą Skalistymi.

– Mike – powiedział, kiedy tylko Pompeo wyłonił się z windy, mogącej podobno wytrzymać bez zatrzymania się eksplozję o sile kilku kiloton – natychmiast leć, domyślasz się gdzie.

Pompeo istotnie się domyślał.

DZIEŃ X PLUS 31

Siódma dywizja powietrznodesantowa wysadziła desant na zachodnich przedmieściach Kijowa, kiedy czołgi dywizji Tamańskiej i Kantemirowskiej przerwały ukraińską obronę między Sumami a Czernihowem i rwały co sił w dieslach na naddnieprzańską stolicę. Rosjanie wtargnęli na jej ulice

trzeciego dnia po rozpoczęciu operacji. Zaczęło się piekło, bo nieoczekiwany opór stawili w mieście bataliony ochotnicze, zasilane rwącą się do walki młodzieżą i co bardziej patriotycznymi rozbitekami ze zniszczonych jednostek wojskowych. Ludność cywilna zachowywała się różnie – w jednych miejscach stawiała barykady, w innych była całkowicie bierna. Ta druga postawa nie pomagała; rosyjskie czołgi strzelały do przypadkowych domów, a piechota wyganiała z nich cywilów i urządziła wśród nich „zaczistki”, szukając partyzantów albo po prostu okazji do rabunku i gwałcenia.



Shenyang J-31

Fot. Shutterstock

W tym samym czasie na Pacyfiku Amerykanie wreszcie zdolali się ogarnąć. Chińczycy nagle jakby oślepli, przynajmniej na jedno oko, a wzrok w drugim oku pogorszył im się bardzo. To był oczywisty efekt nagłego urwania się potoku danych z rosyjskich sputników, okrętów, łodzi podwodnych.

– Cała historia Państwa Środka mówi jedno: nigdy nie należy ufać białym. Żadnym białym – powiedział Xi, ale reszta członków Biura Politycznego nie wydawała się uznawać jego słów za wystarczające usprawiedliwienie.

Ukraina, wspierana przez Polskę, usiłowała rozpaczliwie kołatać o pomoc u Niemców i Amerykanów. W obu wypadkach na próżno. Przed ukraińskim ambasadorem w Waszyngtonie nagle zamknęły się wszystkie drzwi. Sytuacja jego polskiego kolegi była niewiele lepsza. Udało mu się wprawdzie w końcu zyskać możliwość rozmowy telefonicznej z jednym z zastępców sekretarza stanu, ale usłyszał tylko tyle, że Polska „powinna się starać jakoś dogadać z Rosją” i że Ameryka może służyć w tej sprawie jako pośrednik.

Za rosyjskimi liniami na terenach, na których w powszechnym użyciu ukraiński przeważał nad rosyjskim, pojawiało się coraz więcej oddziałów partyzanckich, Rosjanie odpowiadali terrorem, ale nie wstrzymywali ofensywy. Najwidoczniej czuli się pewni siebie.

Kiedy ich czołówki znalazły się w okolicach Tarnopola, Węgry, kierując się, jak głosił komunikat rządu w Budapeszcie, „koniecznością zapewnienia stabilności na terenach zamieszkałych przez mniejszość węgierską”, wprowadzili wojska na Ukrainę Zakarpacką.

DZIEŃ X PLUS 42

Gdy Władimir Putin wkroczył na niewielką, kremłowską salę, wszyscy wstali. Wszyscy, czyli bardzo niewielu. To było grono naprawdę najważniejszych. Formalnie nieoficjalne, więc jeszcze kilka lat temu by siedzieli, znali przecież Wowkę jeszcze z Leningradu. Ale przez ostatnie lata tyle się zmieniło, i on w ich oczach też, że już od pewnego czasu zaczęli w tym momencie wstawać.

Zwłaszcza że wiedzieli, co powie.

– Drugiej takiej szansy nie będzie – rozpoczął prezydent. – A ta potrwa bardzo niedługo, wojna amerykańsko-chińska przecież się skończy. Teraz finalizujemy jednoczenie russkiego mira, ale żeby naprawdę wrócić do roli światowego supermocarstwa, musimy stanąć mocną nogą w sercu Europy. Nie możemy się zatrzymać na Bugu, historia by nam tego nigdy nie wybaczyła.

Dzień później telewizja Rossija! poinformowała, że na zachodniej Ukrainie pojawiły się oddziały polskie, które wspierają „banderowskie band-formowania”. Warszawa zdementowała tę wiadomość, ale następnego dnia w teście telewizji pokazano zwłoki w polskich mundurach, a także jakiegoś ubranego w takiż uniform człowieka, który po polsku, choć polszczyzną dosyć dziwną, zeznawał, że jest żołnierzem „polskiego specnazu”, rzuconego do walki i rozbiętego gdzieś w okolicach Lwowa.

„Obecny polski rząd, przepojony zwierzęcą rusofobią, przekroczył cienką czerwoną linię. Dopóki on będzie rządził, nie dopuści do stabilizacji

sytuacji na Ukrainie. I Rosji, i Polakom potrzebny jest inny rząd w Warszawie, taki, który potrafi sprowadzić swój kraj z szaleńczej ścieżki” – powiedział w swoim programie Dmitrij Kisielow.

– Nasze oddziały są już bezpośrednio ostrzeliwane przez artylerię z polskiego terytorium, w okolicy Przemyśla! – obwieścił parę godzin później, również w swoim programie, Władimir Solowiow.

„Armia Rosyjska rozpoczyna ograniczoną operację, mającą na celu zabezpieczenie terytorium Rosji i Ukrainy poprzez zneutralizowanie części terytorium Polski” – poinformowała po jeszcze kilku godzinach, w nocy, agencja TASS. Już rano trwały walki o Przemyśl, które rozstrzygnął wspólny desant najbardziej znanych oddziałów specnazu – „Alfa” i „Wypieł”.

I jeszcze wieczorem tego samego dnia poinformowano, że w Przemyśle ukonstytuował się nowy polski rząd. Składał się głównie z działaczy Polskiego Stronnictwa Ludowego i mniej znanych postaci, kojarzonych z dawną Samoobroną. Ale premierem został polityk kiedyś naprawdę znany, potem raczej zapomniany, wielokrotny minister, światowiec, przed 20 czy 15 laty postać z samego rdzenia polskiego liberalizmu. Deklaracja „rządu” mówiła, że „Polskę trzeba wyprowadzić z fatalnej sytuacji, w jaką wpędziła ją władza PiS”. Ministerstwo Spraw Zagranicznych w Moskwie natychmiast uznało ów „rząd”.

Obecne w Polsce oddziały amerykańskie otrzymały rozkaz wycofania się za Wisłę. Rosyjskie czołówki parły na Warszawę.



Budujmy wspólnotę poprzez kulturę

Wielu ludzi ma problem z funkcjonowaniem we współczesnym świecie. Wynika to w moim przekonaniu z tego, że pozwalają się wyizolować, nie żyją we wspólnocie. A właśnie wspólnotowe przyjmowanie kultury – muzyki, teatru, filmu – jest tym, co nas wzmacnia i spaja

Z *Julią Przylebską*, prezes Trybunału Konstytucyjnego, rozmawia Rafał Kotowski

Kończy się wyjątkowy rok dla Polaków, w którym świętowaliśmy stulecie powrotu Niepodległej. Jakie intelektualne i kulturowe wartości możemy w tak wyjątkowej chwili przekazać Europie oraz światu?

Julia Przylebska: Stulecie to znakomita okazja, by w różnych zakątkach świata zaprezentować nasze dziedzictwo kulturowe i historyczne. Warto prezentować je np. poprzez polską sztukę. To najlepsza forma komunikacji. Bardzo się cieszę, że odbyło się mnóstwo koncertów, wystaw, spektakli, wykładów. Żałuję, że zbyt małym echem odbiło się wydarzenie, w którym uczestniczyłam w Berlinie. Koncert, o którym myślę, zorganizowano w wielkiej sali Konzerthaus, w samym sercu Berlina. Widownia była wypełniona po brzegi, a koncertu polskiej muzyki wysłuchało ponad 2 tys. osób. Zainteresowanie było tak wielkie, że ci, którzy się spóźnili, po prostu nie weszli do środka. Wspaniale grali filharmonicy poznańscy pod dyktando Marka Pijarowskiego, a solistami byli polski pianista Szymon Nehring i koreańska skrzypaczka Bomsori Kim. W koncercie uczestniczyli prezydenci Polski i Niemiec wraz z małżonkami. A to wspaniałe wydarzenie zostało zaplanowane przez ambasadora RP w Berlinie Andrzeja Przylebskiego z takim przesłaniem, by pokazać polską twórczość. Stąd w programie muzyka Paderewskiego, Wieniawskiego, Tansmana i Kilara. Wszystko jednak zaczęło się gestem w stronę gospodarzy – wykonaniem dzieła Beethovena, które ten wielki artysta dedykował księciu Antoniemu Radziwiłłowi, prowadzącemu w Berlinie, a później w Poznaniu, otwarty salon kulturalny.

Jak koncert przyjęła niemiecka publiczność?

Owacjami na stojąco, które zresztą zainspirował prezydent Frank-Walter Steinmeier. Uważam, że koncert został świetnie ułożony i dał piękny obraz polskiej kultury, polskiej

historii, ale też polskiej tolerancji i otwartości na inne inspiracje kulturowe. W Berlinie takich wydarzeń było więcej, a wszystkie z nich – wykorzystując nasz kulturalny potencjał – miały uświadomić starszemu i młodszemu pokoleniu Niemców, czym jest polski patriotyzm. Nie ma on niczego wspólnego z nacjonalizmem. Dzięki silnemu poczuciu wspólnoty udało nam się przetrwać i po ponad 100 latach niewoli odzyskać niepodległość. Choć w ciągu minionych 100 lat różnie, jako społeczeństwo, tę niepodległość „konsumowaliśmy”, to jednak obecna rocznica udowodniła światu, że jako wspólnota trzymamy się i czerpiemy z naszego bogatego dziedzictwa kulturowego. Bo przecież to ono buduje naszą tożsamość.

Powinniśmy o tym przypominać Niemcom, Francuzom czy Włochom?

Oczywiście, a dotychczas jakby za mało o tym mówiliśmy. Pozwoliliśmy się spychać w cień wielkich kultur. Ostatnio staram się często podkreślać, że dziedzictwo kulturowe Europy jest dziedzictwem wszystkich narodów. To nie tylko Francja, Niemcy czy Włochy, lecz również Macedonia, Litwa, Węgry czy Polska. Każdy z nas wnosi swoje wartości w europejskie dziedzictwo kulturowe. To nasze „życie w cieniu” sprawiło, że np. w muzyce był najczęściej Chopin, a przecież mamy Paderewskiego, Góreckiego, Kilara... Nie tylko wspaniałe Konkursy Chopinowskie, lecz również Konkurs im. Henryka Wieniawskiego, który dla młodych skrzypków z całego świata jest znakomitą przepustką do wielkich, międzynarodowych karier.

Nasze stulecie to także stulecie praw wyborczych Polek – tym też chyba warto przed światem się chwalić.

Rola kobiety w polskim społeczeństwie była zupełnie inna niż na Zachodzie. Uzyskanie praw wyborczych przez Polki

w 1918 r. dla naszego społeczeństwa było wówczas oczywiste. A wcale nie było takie dla Włochów, Amerykanów czy Szwedów... W Polsce kobiety bardzo aktywnie uczestniczyły w procesie utrzymania tożsamości poprzez religię, pielęgnowanie polskiego języka, prowadzenie domu, który był centrum naszej kultury. Kobiety partycypowały w walce o utrzymanie polskości i odzyskanie państwowości. Wszystko to stanowiło niezwykle ważny element wspólnotowy, a potem – gdy niepodległość już odzyskaliśmy – było całkiem naturalne, że Polki staną się pełnoprawnymi uczestniczkami życia publicznego, społecznego, kulturalnego.

Ma pani wielu przyjaciół i znajomych w Niemczech. Czy oklaski po koncercie, o którym rozmawialiśmy, to tylko kurtuazja? Słowem: czy sądzi pani, że zachodnie elity są zainteresowane naszym dziedzictwem kulturowym i naszą historią?

Oczywiście forma odbioru naszej kultury, tak zresztą jak każdej innej, zależy od poziomu wrażliwości. Nie sądzę jednak, by oklaski na berlińskim koncercie były tylko kurtuazyjne. Bo to nie były oklaski, lecz owacja. Choć gdy mówimy o polsko-niemieckiej wymianie kulturalnej, współpracy itd., to tym, czego mi najbardziej brakuje, jest równowaga. Wciąż odczuwam niedosyt zainteresowania Polską ze strony niemieckiego społeczeństwa. A przecież jesteśmy bezpośrednimi sąsiadami. Niemcy za mało oglądają polskiego kina, za rzadko słuchają polskiej muzyki. A np. filmy francuskie w kinach czy na antenie stacji telewizyjnych pokazywane są niemal na okrągło. Bardzo bym chciała, byśmy mieli o wiele więcej takich przykładów ekspansji polskiej kultury jak kariera basistki jazzowej Kingi Głyk, która dziś jest w Niemczech bardzo popularna. Szkoda, że nasi zachodni sąsiedzi czytają (rzadko) wielką polską literaturę albo rzeczy popularne bez większej wartości. A coś pośredniego, co dawałoby obraz współczesnego polskiego społeczeństwa, jest zbyt mało znane i zbyt mało promowane.

Po prostu brakuje mi takiego zwykłego zainteresowania, zaciekawienia dzisiejszą Polską.

Ala to z pewnością zadanie dla nas samych i powinniśmy mocno pracować nad taką promocją oraz tworzeniem zainteresowania, na jakie rodzima kultura chyba zasługuje.

Dobrze by było, by każdy, kto ma takie możliwości, nad tym pracował. Staramy się to robić z mężem i podczas weekendów w rezydencji ambasadora RP w Berlinie organizujemy wieczory polskiego kina. Pokazujemy filmy, niekoniecznie z pierwszych stron gazet, ale takie, które pozwalają zrozumieć współczesną Polskę i jej historię. Na przykład znany mi film kryminalny „Uwikłanie”, jak sądzę niedoceniony w kraju i za mało dostrzeżony, a jednocześnie świetnie pozwalający zrozumieć proces transformacji ustrojowej w Polsce. Po berlińskich pokazach organizujemy też rozmowy o filmie, o Polsce i zauważamy, że każdy następny wieczór cieszy się większym zainteresowaniem ze strony niemieckiej publiczności. Bardzo się również cieszę, że niemieckie kino pokazuje świetny film Pawlikowskiego „Zimna wojna”, który cieszy się sporą popularnością.

Co zrobić, by nasza ofensywa kulturalna nie było akcją „od święta” – nawet gdy okazja jest tak szacowna jak stulecie odzyskania niepodległości?

Po pierwsze, powinniśmy sobie uświadomić, że każdy z nas jest swoistym nośnikiem kultury. Starajmy się śmiało i bez kompleksów brać udział w tej prezentacji. Każdy z nas może się stać ambasadorem polskiej kultury, polskiego dziedzictwa historycznego, polskiego patriotyzmu. Nie mamy się czego wstydzić. Sądzę, że Europa jest tym zainteresowana, i to nie tylko w sposób stereotypowy, z uwzględnieniem wyłącznie najbardziej znanych, wielkich postaci, jak Chopin czy Jan Paweł II. Powinniśmy też zabiegać o to, by na liczących się uniwersytetach europejskich była filologia polska. Dziś ten kierunek jest niszowy, a dominują literatura i język rosyjski. To zadanie dla naszych literaturoznawców, by pomyśleć o ekspansji naszej literatury, a tym samym naszego języka. To doskonały nośnik kulturowy. Czytając książki włoskie czy francuskie, jednocześnie poznajemy kulturę tych narodów. Nieco innym nośnikiem jest muzyka, ale też warto ją propagować, tak jak dzieje się to w berlińskiej rezydencji ambasadora. Odbývają się tam regularnie koncerty polskiej muzyki, połączone z prezentacją naszych tradycji, naszej kultury. Niemcy ze zdziwieniem odkrywają, jak wiele jest wspólnych obszarów kulturowych, choćby w polskiej i niemieckiej kuchni. Jednocześnie przyznam, że to dla mnie fenomen, iż w Berlinie, leżącym niecałe 100 km od polskiej granicy, tak mało o nas wiedzą. Powinniśmy walczyć ze stereotypami na temat Polski i z pewną agresywną narracją ze strony niemieckiej, sprowadzającą nas do roli ucznia, którego należy dopiero kształtować. W myśl takiego schematu ów uczeń jest dobry, gdy naśladuje swoich nauczycieli, albo zły, kiedy ma własne, odmienne poglądy. A przecież my nie jesteśmy żadnymi uczniami, lecz równoprawnymi partnerami, i nie możemy o tym zapominać. Nie jesteśmy



Fot. Tomasz Toloczko/Trybunał Konstytucyjny

– jak niesłusznie stwierdził jeden z moich niemieckich znajomych – społeczeństwem śmierci i cierpienia. Nie zgadzam się z tym. Odpowiedziałam mojemu rozmówcy, że jesteśmy społeczeństwem głębokiej refleksji, otwartym na drugiego człowieka i posiadającym olbrzymią empatię.

Czy sami nie dokładamy się do tych szkodliwych stereotypów?

Myślę, że niestety w jakiejś mierze sami jesteśmy temu winni. Nasi badacze zajmujący się np. kulturą niemiecką nie zestawiają z nią wybitnych osiągnięć kultury polskiej. A warto je porównywać, prezentować np. dorobek Maxa Webera i Floriana Znanieckiego. Polska ekspansja kulturalna i kulturowa jest w Europie bardzo potrzebna.

Wciąż odczuwam niedosyt
zainteresowania Polską ze strony
niemieckiego społeczeństwa.
A przecież jesteśmy sąsiadami. Niemcy
za mało oglądają polskiego kina,
za rzadko słuchają polskiej muzyki

A nie powinno być więcej kultury w nas samych, nie powinniśmy traktować jej poważniej, nie oszczędzać na niej, jak to często robią np. samorządy wszelkich szczebli? Gdy się szuka oszczędności w budżecie, kultura idzie pierwsza pod nóż...

Inwestując w kulturę, inwestujemy jednocześnie w nas samych. Nie ma jakiejś uniwersalnej kultury, tak jak nie ma uniwersalnego języka. Ale niewątpliwie określamy się kulturowo poprzez język. Jeśli będziemy czuli się mocni kulturowo, nie będziemy mieli problemu z kulturowym punktem odniesienia, to będziemy mogli funkcjonować w Europie poprzez to nasze poczucie więzi kulturowej. Będziemy też czuli się pełnoprawnymi obywatelami Europy, gdy nauczymy się dostrzegać w sobie jej część kulturową. Kultura kształtuje człowieka i trzeba w nią inwestować. Daje nam szansę na przetrwanie, a jednocześnie zapobiega intelektualnej pauperyzacji społeczeństwa. Poprzez kulturę człowiek potrafi wyciszyć swoje negatywne emocje niesione przez codzienność. Sama mam taką metodę, że agresywny, negatywny przekaz mediów wyciszam dobrym filmem czy dobrą muzyką. Idę do kina albo do teatru, a więc w miejsce, które mnie nie tylko chroni, lecz również wzmacnia. To niezwykle potrzebne w dzisiejszym świecie, który jest zmonopolizowany przez media, a te agresywnie przecież ingerują w nasz odbiór rzeczywistości, historii, kultury. Od mediów dostajemy już zmodyfikowany przekaz, co sprawia, że brakuje nam często wrażliwości w ocenie czegoś nowego,

ale również w odkrywaniu tego, co było. Wielu ludzi ma problem z funkcjonowaniem we współczesnym świecie. Wynika to w moim przekonaniu z tego, że pozwalają się wyizolować, nie żyją we wspólnocie. A właśnie wspólnotowe przyjmowanie kultury – muzyki, teatru, filmu – jest tym, co nas wzmacnia i spaja. Wspomnieliśmy o samorządach – wyobrażam sobie, że ich obowiązkiem powinno być posiadanie pewnej wizji kulturowej. Tworzenie oferty dla różnych grup społecznych, ale również uczenie młodego człowieka wrażliwości i odbioru kultury. I właśnie na tym polega społeczeństwo obywatelskie. Obserwuję to w Niemczech, gdzie nawet w najmniejszych ośrodkach życie kulturalne jest istotą ich funkcjonowania, istotą społeczeństwa obywatelskiego. Dla przeciętnego Niemca społeczeństwo obywatelskie to nie jest rywalizacja ani walka polityczna, ale z całą pewnością konsumpcja kultury. Dlatego czują się silni we wspólnocie i nie bardzo rozumie pojawianie się w Niemczech opinii o wyzbywaniu się czy oddawaniu suwerenności. Żyjąc w tym społeczeństwie, widzi się, jak silna jest tam więź kulturowa, wspólnotowa, językowa.

W Polsce wciąż brakuje takiego mądrego spojrzenia na kulturę. W mniejszych ośrodkach nie jest ambicją, by stworzyć i utrzymać w mieście teatr lub filharmonię. Ambicją jest zbudowanie kolejnej galerii handlowej.

Zgadzam się, że tego nam brakuje. Niedawno odwiedziliśmy z mężem Heidelberg, który jest uniwersyteckim miastem średniej wielkości. To bliskie nam miasto, bo mój mąż był tam stypendystą Fundacji Humboldta i jednym z ostatnich uczniów słynnego niemieckiego filozofa Hansa-Georga Gadamera. Heidelberg jest miastem wręcz magicznym. Pełnym kultury, z dużą liczbą księgarń, w których można przysiąść i porozmawiać o książkach, z pięknymi antykwariatami. I z teatrem, który był 30 lat temu i działa do dzisiaj. To coś niesamowitego.

Przykre, ale w centrach naszych niewielkich miast mamy banki, sklepy z używaną odzieżą i lombardy. Księgarń jak na lekarstwo.

Mam wrażenie, że u nas zbyt wiele kultury przeniosło się do internetu. A przecież e-book nie zastąpi nam książki w księgarni, płyta ze ściągniętego pliku nie zastąpi tej prawdziwej, w której podziwiamy szatę graficzną, możemy poczytać o artystach i poznać teksty piosenek.

Nie zapominajmy też o wielkiej roli państwa we wspieraniu i propagowaniu kultury.

Ostatnimi czasy to się bardzo zmieniło. Z pewnością zastrzymano modną wcześniej pedagogikę wstydu, która rozciągała się również na obszar kultury. Teraz jest dużo więcej kultury dostępnej dla wielu, niekoniecznie tej dla celebrytów czy elit. Politycy, którzy chodzą na koncerty albo do teatru – to też jest ważne – dają przykład innym i budują wspólnotowość, o której tyle tutaj mówimy. Dzielenie się tym, że czytamy książki, chodzimy do teatru i na koncerty, kształtuje postawy innych. Osoby publiczne powinny o tym szczególnie pamiętać.



Wielkopolska w ogniu

27 grudnia 1918 r. wybuchło powstanie wielkopolskie. Zaczęło się od słów i po prawie dwumiesięcznej serii chaotycznych potyczek zbrojnych na słowach skończyło. Te pierwsze wypowiedział Ignacy Paderewski w Poznaniu, te zaś, które doprowadziły do zwycięstwa Polaków, Roman Dmowski w Wersalu



WOJCIECH ŁADA

Początkowo nikt nie rozumiał, co się właściwie dzieje. Polakami targaly euforia i entuzjazm po niedawnym odzyskaniu niepodległości,

ale też niepewność – co właściwie będzie dalej z Wielkopolską? U Niemców stan podenerwowania dochodził jednak do stanu katastrofalnego. Rewolucja, która obaliła monarchię, i przegrana wojna sprawiły, że w tym momencie nie mieli pojęcia, jakiego kraju są obywatelami. Niemiec bolszewickich? Czy Niemcy będą istnieć jako całość, czy też rozpadną się znów na luźno z sobą związane republiki? I wreszcie, co z Wielkopolską, w której większość z nich się urodziła i odchowała dzieci, a nawet

wnuki? I chyba tylko tym psychologicznym chaosem da się wytłumaczyć wydarzenia z 27 grudnia 1918 r.

PADEREWSKI W BAZARZE

26 grudnia, w drodze do Warszawy, zatrzymał się w Poznaniu Ignacy Paderewski. Był wielkim muzykiem, ale jeszcze większym symbolem. Wszyscy wiedzieli, że jest w tym momencie najważniejszym ambasadorem sprawy polskiej w USA, a jeśli w Ameryce, to

praktycznie na całym świecie. Nic też dziwnego, że witały go tłumy, a przemówienie, jakie wygłosił przed hotelem Bazar, przyjęto owacyjnie. A przecież nie był tego dnia w formie, która porwałaby masy. Podczas rejsu do Europy przeszedł hiszpankę, wciąż jeszcze ledwo się trzymał na nogach, mówił słabym głosem, z pewnością nie był tego dnia charyzmatycznym oratorem. „Polska po wielu latach niewoli odbudowuje się – starał się mówić donośnie. – W Warszawie powstaje nowy rząd, pod kierownictwem naczelnika Józefa Piłsudskiego. Niech żyje Polska, od morza do Tatr!” – to wystarczyło, by zgromadzonych, mimo deszczowej pogody, Polaków ogarnął patriotyczny szal.

Wystarczyło też, by Niemców ogarnęła wściekłość. Następnego dnia organizowali oni spontaniczne demonstracje, połączone z aktami brutalnego wandalizmu. Dewastowano polskie sklepy, zrywano symbole narodowe – nie tylko zresztą polskie.

Nazajutrz Naczelna Rada Ludowa (NRL) wydała komunikat (opublikowany 29 grudnia w „Kurierze Poznańskim”) opisujący przebieg zdarzeń: „Wczoraj po południu, na krótko przed czwartą, nadciągnęły do miasta z koszar na Jeźyczach oddziały uzbrojonych żołnierzy niemieckich z 6. pułku grenadierów, w liczbie około 200, z oficerem na czele; śpiewając niemieckie pieśni, wtargnęli do gmachu NRL, zrywając tamże sztandary angielskie, amerykański i francuski. W dalszym pochodzie przez Św. Marcin, ul. Wiktorii, Berlińską i plac Wilhelmski czynili to samo, wdzierając się, zwłaszcza na Berlińskiej, do domów prywatnych i zrywając tamże z balkonów chorąg-

wie koalicyjne, amerykańskie i polskie, które deptano nogami. Prowokacyjne zachowanie się gwałtowników niemieckich zważyło nieprzygotowaną na napasć i prowokację ludność polską, która wyległa na ulice”.

O 17 padł pierwszy strzał. Nie wiadomo, kto i do kogo go oddał, ale to wystarczyło, by rozpętała się strzelanina. Przez pierwsze dwie godziny najzupełniej chaotyczna. Nikt nie objął formalnego dowództwa, a raczej spontanicznie pojawiło się wielu dowódców pomniejszych oddziałów. Jednym z nich był zapewne Jan Andrzejewski, członek „Sokoła”, który wspominał: „W walce tej (ja), jak i Maksymilian Szymkowiak, zdobyliśmy 1 ckm, podrywając do walki szeregi powstańcze okrzykiem naszym: »Sokoli nie cofać się! Bić Niemców! Strzelać!«”.

BITWA O POZNAŃ

Nie jest do końca prawdą, że Polacy nie byli gotowi do podjęcia walk. Świadczy o tym już choćby cytowana relacja Andrzejewskiego. W czasie gdy pochód niemieckich żołnierzy ciągnął ulicami miasta, polscy członkowie mniej lub bardziej tajnych organizacji paramilitarnych gromadzili się w okolicach hotelu Bazar, teoretycznie do ochrony Paderewskiego. Skądinąd słusznie – Niemcy ustawili tam 2 ckm-y, z których ostrzelano m.in. okno pokoju, w którym mieszkał pianista. Na miejscu byli nie tylko członkowie „Sokoła”, wówczas włączeni do szeregów Polskiej Organizacji Wojskowej (nie mylić z POW Piłsudskiego), lecz także częściowo uzbrojeni członkowie Straży Ludowej i Służby Straży i Bez-

pieczeństwa. Jak szacuje historyk Marek Rezler, w momencie rozpoczęcia walk Polacy mieli do dyspozycji 6–7 tys. uzbrojonych i częściowo przeszkolonych żołnierzy.

Siły niemieckie były zbliżone, ale ich morale nieporównywalnie niższe, nie wspominając o tym, że w niemieckich szeregach znajdowali się też Polacy, których zachowania nie sposób było przewidzieć. Nie tylko w tym tkwił problem. „Oddziały wracające z frontu miały w szeregach już innych żołnierzy niż w 1914 r. Formalna dyscyplina była znacznie niższa, w rewolucyjnych realiach autorytet oficerów bardzo zmalał – w zasadzie zachowali go ci dowódcy, którzy byli przez żołnierzy akceptowani niezależnie od wymogów dyscypliny wojskowej” – pisze Rezler. I nie przesadza – nieprzewidywalność niemieckich żołnierzy można było zobaczyć wcześniej choćby na ulicach Warszawy. Niekiedy całe oddziały oddawały broń niemal z uśmiechem, inni jednak podejmowali wielogodzinne, otwarte bitwy z chcącymi rozbroić ich Polakami. Do takich starć doszło 11 listopada choćby na stolicznych Nalewkach, a bitwa o ratusz trwała całą noc.

W Poznaniu było podobnie. Niektóre gmachy powstańcy zajmowali bez jednego wystrzału – jak choćby arsenał – o inne, jak budynek Prezydium Policji, walczone wiele godzin. Mniej więcej do godz. 20 Polacy opanowali większość kluczowych obiektów, w tym związanych ze środkami łączności, dzięki czemu jeszcze tego dnia informacje o wybuchu walk dotarły do większości wielkopolskich miejscowości, uaktywniając natychmiast lokalną konspirację. O tym, jak powstanie było wyczekiwane, wiele mówi to, że już dwie godziny później, ok. godz. 22, na poznański dworzec przybył 100-osobowy oddział z Kórnik. Rzecz jasna, również Niemcy wezwali posiłki – wkrótce na ten sam dworzec przybył kilkusetosobowy oddział niemiecki, który jednak sprawnie rozbrojono, zdobywając m.in. kilkadziesiąt karabinów maszynowych.

Morale Niemców było istotnie katastroficznie niskie. Wszystkie poznańskie forty poddawały się powstańcom niemal bez walki, ogniska oporu były pojedyncze i nieskoordynowane, a jedyna

Brytyjski publicysta Emile Joseph Dillon o wystąpieniu Romana Dmowskiego w Paryżu

„Na ogół największym powodzeniem w bronienu spraw cieszyli się prawnicy, chociaż jeden z delegatów mniejszych krajów, który zrobił największe wrażenie na przedstawicielach mocarstw większych, nie należał do palestry. Kierownik delegacji polskiej Roman Dmowski, obrazowy, przekonujący mówca, zwięzły polemista i pomysłowy obrońca, któremu nigdy nie brakło słów, porównania, argumentu ad hominem lub szybkiej i ciętej odpowiedzi, zjednał sobie arbitrów, pomimo że z początku zaliczali się do jego przeciwników – fakt znamieny, jeśli zważymy, że działo się to w zgromadzeniu, gdzie potężne wpływy sprzeciwiały się niektórym żądaniom zmartwychwstającej Polski”.

poważniejsza bitwa rozegrała się na Jeżycach, gdzie mieściły się koszary 6. pułku grenadierów. Świadomi swojej izolacji Niemcy bronili się zaciekle i skutecznie. Mimo ponawianych ataków koszar nie udało się Polakom zdobyć w walce. 28 grudnia miasto znalazło się w zasadzie w rękach polskich. W zasadzie, bo peryferyjne punkty oporu trwały w rękach niemieckich jeszcze kilka dni – dopiero 6 stycznia zdobyto ostatni z nich, stację lotniczą w Ławicy.

Drugiego dnia powstania w hotelu Bazar odbyła się konferencja polskich sił politycznych. Wszyscy mieli świadomość, że dotychczasowe sukcesy są zasługą słabości Niemców i determinacji Polaków, ale wciąż nosiły znamiona spontanicznego chaosu. O ile taka strategia sprawdziła się w ciągu pierwszych godzin, o tyle teraz należało działaniom nadać bardziej uporządkowaną formę. W tym m.in. celu konferowano z Warszawą odnośnie do osoby naczelnego wodza, o jego wyborze zdecydował jednak przypadek. W Poznaniu, w celach czysto towarzyskich, przebywał wówczas kapitan Stanisław Taczak ze Sztabu Generalnego Wojsk Polskich. Po krótkich pertraktacjach i kilku zastrzeżeniach zgodził się on przyjąć okresowo tę funkcję.

Powstańcza bitwa o Poznań była jednym z najbardziej cywilizowanych tego rodzaju starć. Obie strony poniosły zbliżone straty – jak na skalę walk dość niewielkie, bo łącznie zginęło lub zostało rannych 30–40 osób. Jak zauważa Marek Rezler: „Podczas walk powstańczych, w wirze tworzenia polskiego wojska, wszystkie podstawowe instytucje, urzędy, administracja, banki, poczta, funkcjonowały bez większych utrudnień, choć pod kontrolą władz powstańczych. Nie było przeszkód w wysyłaniu korespondencji, prowadzeniu rozmów telefonicznych, nikogo nie aresztowano ani nie internowano bez potrzeby. Powstanie jakby toczyło się na uboczu zwyczajnego, codziennego życia”.

ZASKAKUJĄCA SKUTECZNOŚĆ CHAOSU

Poza Poznaniem wydarzenia rozgrywały się równie szybko. W wielkopolskich miastach nie było bardzo

Rzeczpospolita Ostrowska

„Ponad tysiąc żołnierzy i obywateli wszystkich stanów ustaliło dzisiaj jednomyślnie, że w myśl uznanego przez wszystkie walczące narody planu Wilsona jest miasto i powiat Ostrów polskim terytorium, które należy do Państwa Polskiego”. Odezwę tej treści ogłoszono 10 listopada 1918 r. w Ostrowie Wielkopolskim. W mieście powołano polski Komitet Ludowy, w którym znaleźli się adwokat Michał Lange i hrabia Bogdan Szembek, zaś z polskich żołnierzy służących w niemieckim garnizonie utworzono I Pułk Piechoty. Proklamowanie w Ostrowcu niepodległej Polski odbiło się głośnym echem, zwłaszcza w Berlinie. Poznańska NRL uznała jednak, że ruch taki jest jednak przedwczesny, i nakazała połączenie polskich i niemieckich władz miasta w jeden dwunarodowy organ, który sprawowałby kontrolę nad powiatami: ostrowskim, odolanowskim, ostrzeszowskim i kępińskim. Umowa scaleniowa weszła w życie 25 listopada 1918 r.

rozbudowanych struktur konspiracyjnych, ich polscy mieszkańcy mieli jednak inne atuty bojowe. Większość zdolnych do walki mężczyzn właśnie wróciła z frontów I wojny światowej – często wciąż nawet chodziła w mundurach, komu tylko się udało, ukrywał też broń. Niemal wszędzie istniały oddziały Straży Ludowej i Służby Straży i Bezpieczeństwa, gdzie zaś ich nie było, powstawały różnego rodzaju straże obywatelskie. Byli wreszcie najmłodsi – skauci i członkowie „Sokoła” – bez doświadczenia, ale z energią. Byli to ludzie palący się do walki, choć zasadniczo pozbawieni sprawnego dowództwa nawet na poziomie oddziałów, nie mówiąc o jakiegokolwiek strategii ogólnopowstańczej. Tworzyli początkowo po prostu zaimprovizowane grupy uzbrojonych ludzi, które zebrały się w określonym celu – zdobycia miasta czy obiektu – po czym często z oddziałów znikali i wracali do domu. Nikt ich nie rejestrował, nie byli skoszarowani, dowódców traktowali po koleżeńsku, nie zaś jak przełożonych. Rezler przytaczał nawet przykład oddziału, który po zdobyciu miasta wy-

maszerował z niego, nie pozostawiając żadnego posterunku. Po wymarszu powstańców Niemcy po prostu weszli i zajęli je z powrotem.

A mimo to cały ten chaos okazywał się piekielnie skuteczny. Jeszcze 27 grudnia Polacy opanowali Szamotuły, Pniew, Opalenicę, Buk, Trzemeszno, Wrześnię i Gniezno. Do 29 grudnia w rękach powstańców były też Grodzisk Wielkopolski, Klecko, Kórnik, Wielichowo, Witkowo i Wronki. Do listy tej trzeba doliczyć Środę Wielkopolską i Śrem – gdzie Niemcy sami przekazali władzę Polakom jeszcze przed wybuchem walk – oraz Ostrów Wielkopolski, gdzie już 10 listopada proklamowano Rzeczpospolitą Ostrowską. 30 grudnia zajęto Wągrowiec.

Jednocześnie z tymi spontanicznymi sukcesami w Poznaniu zaczęto sobie zdawać sprawę z potrzeby uporządkowania kwestii dowódczych. Major Stanisław Taczak robił, co mógł, i to ze sporym powodzeniem. Podzielił zajęte przez Polaków tereny na dziewięć odcinków, do każdego wyznaczył dowódcę. Stworzył też zręby sztabu i dopracował system komunikacji między dowództwem a oddziałami. Praca, jaką wykonał w ciągu kilkunastu zaledwie dni, oceniana jest bardzo wysoko – jego następcą, przysłany przez Józefa Piłsudskiego z Warszawy, gen. Józef Dowbor-Muśnicki pod wieloma względami przyszedł na gotowe, choć rzecz jasna to jego zasługą jest stworzenie z luźnych grup powstańczych jednolitego wojska – skoszarowanego, związanego przysięgą, a także znacznie rozrośniętego, dzięki wydanemu formalnie rozkazowi mobilizacyjnemu, obejmującemu trzy ostatnie XIX-wieczne roczniki poborowych.

SŁOWA WYPOWIEDZIANE, FAKTY DOKONANE

W terenie walki nie ustawały ani na chwilę. Polacy zasadniczo byli nieustannie w natarciu, skutecznie też powstrzymywali ofensywy Niemców, którym udawało się odbijać najwyżej pojedyncze miasta, nie zyskując jednak wyraźnej przewagi na froncie. W lutym zaczęto zdawać sobie sprawę, że sytuacja może przyjąć zły obrót. Powstanie



100 lat temu zagrzewała
Powstańców do walki.

Myśl o Niepodległości.



ORLEN

stawalo się walką na wykrawienie, bez widoków na jednoznaczne zwycięstwo którejs ze stron. Polacy potrafili brawurowo pokonać Niemców pod Kcynią – choć mieli oni silne wsparcie artyleryjskie, ale nie byli w stanie zdobyć takich miast jak Rawicz czy Leszno. Było jasne, że jeśli strona niemiecka sprowadzi posiłki z głębi kraju i przeprowadzi silną ofensywę z północy, powstańcy będą bez szans. Zdawano sobie sprawę, że zrewoltowana armia niemiecka i panujący w Niemczech chaos ułatwiają Polakom zadanie, ale w dalszych planach nie można było na to liczyć.

Już 14 stycznia przedstawiciele NRL poprosili Romana Dmowskiego o pomoc w zawarciu rozejmu i istotnie – zrobił, co mógł. Podczas swojego słynnego wystąpienia na konferencji pokojowej mówił: „W obecnej chwili Niemcy zachowują janusowe, podwójne oblicze: na zachodzie mówią o pokoju, a na wschodzie przygotowują wojnę. Wojsko na froncie zachodnim uznaje swoją porażkę, ale oddziały, które są skoncentrowane na froncie wschodnim, marzą jeszcze o podbojach; zdają sobie doskonale sprawę z tego, co utracili na zachodzie, ale chcą utrzymać – jeśli to możliwe – pójść dalej na wschód, aby zabezpieczyć sobie penetrację Rosji”.

Polityk wspominał też o obecności niemieckiej w Gdańsku, poruszał kwestię niemieckiego wpływu na Ukrainie i Białorusi, sporo miejsca zajęła też sprawa sytuacji w Wielkopolsce. Zapytany wprost o oczekiwania względem zaboru pruskiego odparł, że w tym momencie Polska domaga się zapewnienia wstrzymania wszelkich walk w tym rejonie. Dmowski wywołał duże wrażenie – już choćby tym, że przemówienie było improwizowane, a wygłosił je płynną francuszczyzną, którą sam tłumaczył następnie na angielski. Być może pod wpływem jego słów o powstaniu wielkopolskim w tym właśnie momencie zaczęła sporo pisać prasa europejska. Wkrótce doszło też do pierwszych rozmów polsko-niemieckich w Berlinie, zerwanych jednak już 6 lutego ze względu na nieustępliwość Niemców.

Po wystąpieniu Dmowskiego zaczął się jednak wyraźnie zmieniać klimat wokół Wielkopolski. Nie na polu bitwy – bo tu wciąż trwały walki, toczone ze



Fot. Zbiory Fundacji narodowej im. Romana Dmowskiego w Warszawie

Część polskiej delegacji na paryską konferencję pokojową złożona głównie z działaczy KNP. Stoją od lewej: Henryk Tennenbaum, dr Roman Rybarski, Bolesław Bator, Bolesław Winiarski, Gustaw Szura, Jan Rozwadowski. Siedzą od lewej: Leon Łubieński, Władysław Grabski (przyszły premier), Roman Dmowski, Joachim Bartoszewicz, prof. Jan Czekanowski

zmiennym powodzeniem, ale sporymi sukcesami Polaków. Nawiasem mówiąc, gen. Dowbor-Muśnicki dokonał cudu. W tak krótkim okresie stworzył zdyscyplinowaną armię, która nie tylko skutecznie odpierała niemieckie ofensywy, lecz potrafiła walczyć nawet z tak potężną wówczas bronią, jaką były pociągi pancerne. To już nie było zajmowanie urzędów przez uzbrojone grupki cywili, lecz regularnie i skutecznie prowadzone starcia. Dość zresztą wspomnieć, że siły wielkopolskie rozrosły się już wówczas do ok. 70 tys. żołnierzy.

Było jednak jasne, że losy Wielkopolski nie rozstrzygną się na polu bitwy, lecz w gabinetach. Strona polska działała metodą faktów dokonanych. Przede wszystkim już w samym Poznaniu praktycznie zlikwidowano ostatnie ślady niemieckiej administracji. W Warszawie zaś Józef Piłsudski wyraził oficjalną zgodę na udział 16 posłów wielkopolskich w pracach Sejmu, który już na drugim posiedzeniu, 14 lutego, wybrał pochodzącego z tych stron Wojciecha Trąpczyńskiego na marszałka – tym samym Polska formalnie stwierdziła polskość Wielkopolski. Jednocześnie w Wersalu niemiecki minister spraw zagranicznych Ulrich von Brockdorff-Rantzau – niewątpliwie pod wpływem nacisków mocarstw – stwierdził, że

Niemcy zgadzają się, by tereny należące do Rzeszy, a będące z pewnością polskie, stały się częścią odrodzonej Polski. Przy czym uznanie, jakie to tereny, pozostawił do rozstrzygnięcia podczas konferencji. Dosłownie dwa dni później, 16 lutego, w Trewirze podpisane zostało przedłużenie rozejmu na frontach I wojny światowej – tym razem rozszerzone na teren Wielkopolski.

„Niemcy powinni niezwłocznie zaprzestać wszelkich działań ofensywnych przeciwko Polakom w Poznaniu i we wszystkich innych okręgach” – zapisano w układzie, dalej, bardzo precyzyjnie wytyczając linię, której zakazywano przekraczać wojskom niemieckim. Formalnie był to koniec powstania, w praktyce potyczki zdarzały się jeszcze do końca lutego.

Sytuację zmieniło dopiero przybycie Misji Międzysojuszniczej państw alianckich, z francuskim ministrem Josephem Noulensem na czele. Mimo fiaszka rozmów trójstronnych Polacy uzyskali zapewnienie, że w przypadku jakichkolwiek incydentów ze strony niemieckiej mogą oczekiwać natychmiastowej reakcji sił alianckich. 28 czerwca oficjalnie ogłoszono postanowienia traktatu wersalskiego, zgodnie z którymi Wielkopolska formalnie wróciła do Polski.

Bohaterowie Niepodległej

SIECI

Odc. 12 / 12

*Cykl dodatków
o niezwykłych ludziach,
którym Polska zawdzięcza
niepodległość*

Tryumf sprawy polskiej

niepodległa

POLSKA
STULECIE ODZYSKANIA
NIEPODLEGŁOŚCI

MECENAS DODATKU

PARTNERZY DODATKU



Bank Pekao



Ostatnie akordy

Tomasz Łysiak

Było Boże Narodzenie roku 1918. Polska wstawała z grobu po ponad 100 latach niewoli. Pierwsza Gwiazdka w wolnej ojczyźnie niosła z sobą nadzieję, ale trzeba jeszcze było wiele wysiłku, by Polska uzyskała stabilny byt. Na Wschodzie toczyły się walki z Ukraińcami w obronie Lwowa, a kształt naszych granic miał być dopiero ustalony w trakcie paryskich negocjacji. I oto 25 grudnia, w ten symboliczny dzień Narodzenia Pańskiego, gdy wszyscy na świecie radowali się z pojawienia Dobrej Nowiny, do portu w Gdańsku przyłynął angielski okręt H.M.S. Concord. Na jego pokładzie znajdował się światowej sławy pianista, kompozytor i bojownik sprawy polskiej, Ignacy Jan Paderewski. Jakiż to moment! Ile w nim symboliki!

Oto mamy Gdańsk – miasto, które potem będzie nie tylko jednym z ognisk zapalnych II wojny światowej, lecz i redutą walecznego wrześnieowego oporu, czy też dekady później – kolebką ruchu robotniczego sprzeciwu wobec narzuconej obcej władzy. Stamtąd znowu wykielkuje niepodległość. Do tegoż właśnie Gdańska przypływa Paderewski na statku, którego nazwę można przetłumaczyć jako „Zgoda”. Jakże nam w tamtej trudnej chwili dziejowej brakowało owej zgody, owej harmonii w działaniach, którą trzeba było dopiero na przełomie lat 1918/1919 wykuć.

Najważniejszym wówczas wyzwaniem było ustalenie granic i uznanie ich przez społeczność międzynarodową. Gdy patrzyliśmy na początek drogi ku niepodległości, nasz wzrok skupiał się na Józefie Piłsudskim i jego środowisku politycz-

nym – Legionach, działaczach PPS czy POW. Teraz, na końcu cyklu Bohaterowie Niepodległej, spojrzmy na zwycięstwo, jakie odnieśli Polacy żyjący w mateczniku Dmowskiego – w Wielkopolsce, i na ostatnie akordy na drodze do odzyskania wolnej ojczyzny. Jeszcze mieliśmy się bić z bolszewikami, jeszcze mieliśmy się bić o Śląsk, ale w dużej mierze kluczowe było przełomowe pół roku – od 11 listopada 1918 po 28 czerwca 1919 r. i koniec negocjacji paryskich zwieńczony podpisaniem traktatu wersalskiego.

Od dawna powtarzamy, że tak jak kiedyś rozpisywało się polską politykę na osi Piłsudski–Dmowski, tak później „ich trumny” rządziły Polską, prowokując do dalszej, zapiekłej walki oba zwaśnione obozy: piłsudczyków i endeków. Konflikt obu mężów stanu był siłą niszczącą, ale też mógł, paradoksalnie, otwierać różne drogi i zwiększać możliwości nacisku czy dyplomatycznych działań. Weźmy choćby reakcję cara na Akt 5 listopada – oto

już 10 dni później nie tylko zaprotestował on przeciwko zarządzaniu Królestwem Polskim przez Austriaków i Niemców, lecz również powtórzył swoje wcześniejsze (cóż, że mgławicowe i z praktycznego punktu widzenia stojące na poziomie deklaracji) przyrzeczenia. To oświadczenie poparły znowuż Francja i Anglia, wysyłając potwierdzenie telegraficznie do rosyjskiego premiera Borisa Stürmera. Następnego dnia uczyniły to Włochy. Czy zatem – nawet jeśli widzimy pewne działania jako uczynione „na kontrze” – oba obozy nie napędzały wzajemnie swoich sojuszników do stawiania na forum międzynarodowym sprawy polskiej?

Paderewski – punkt wspólny

Prof. Krzysztof Kawalec w biografii Dmowskiego pisze: „Wbrew opiniom współczesnych, akcentujących przeciwstawność obu orientacji, »prorosyjskiej«



Ignacy Jan Paderewski

i »niepodległościowej«, miały one wiele punktów stycznych. I Piłsudski, i Dmowski uważali Rosję za kolosa na glinianych nogach, obaj budowali swoje nadzieje na wybuchu wojny europejskiej, obaj też dążyli do niepodległości. Różnice taktyki, którą obrali, wynikały nie tylko z różnic w sposobie myślenia, ale i z odmiennych warunków działania. Jednym z takich punktów wspólnych między oboma politykami był Ignacy Jan Paderewski.

Ten wielki pianista i gorący patriota, gdy w USA najpierw namawiał płk. House'a, a następnie prezydenta Wilsona do poparcia sprawy polskiej, nie ukrywał, że stoi po innej stronie politycznej barykady niż Piłsudski – wyrażał się krytycznie o wyborze sojusznika przez Komendanta. Od 1917 r. Paderewski był ważnym członkiem Komitetu Narodowego Polskiego (założonego w Lozannie, a działającego w Paryżu) i to on w trakcie wybitnie trudnych prób powołania w styczniu 1919 r. takiego rządu, który byłby jakąś formą kompromisu między głównymi graczami ówczesnej sceny politycznej, stanął na jego czele. Ale to jeszcze przyszłość. Na razie, w grudniu 1918 r., Ignacy Jan Paderewski wyjechał z Wielkiej Brytanii do Paryża. W stolicy Francji byli już prezydent Wilson i płk House. Z tym drugim spotkał się nasz kompozytor na zorganizowanej wraz z Dmowskim konferencji. Po tych rozmowach pojechał z powrotem do Londynu, gdzie znowu rozmawiał z Balfourem, który żegnał go słowami: „Wierzę Panu”. Następnie artysta udał się do portu Harwich. Podobno, gdy zobaczył czekającego na niego statek, wzruszył się, zauważając, że jego nazwa może być dobrym omenem. Że ta właśnie Zgoda jest symbolem pojednania narodowego i budowania nowej Polski.

Niemcy nie pozwalają

H.M.S. Concord wyruszył do Kopenhagi 19 grudnia. Tam na pokład weszli oficerowie brytyjscy – płk Wade i kmdr Rawlings – którzy mieli założyć w Polsce brytyjską misję wojskową. Poza nimi na pokład Zgody zaokrętowano grupę lekarzy wojskowych. W stolicy Danii pojawił się także młody Polak, Sylwin Strakacz, który chciał się zabrać do kraju. Został potem se-

Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród.

Nie damy pogrześć mowy.

Polski my naród, polski lud,

Królewski szczep piastowy.

Nie damy, by nas gnębił wróg.

Tak nam dopomóż Bóg!

Tak nam dopomóż Bóg!

kreтарzem Paderewskiego, który napisał we wspomnieniach: „Z miejsca nabrałem do niego sympatii”. Strakacz poza tym, że pracował dla pianisty, był dziennikarzem i dyplomata, w latach 1923–1925 pełnił funkcję redaktora naczelnego „Rzeczpospolitej”, a jesienią 1939 r. został konsulem w Genewie. W Kopenhadze statek musiał poczekać na zmianę pogody, a gdy wreszcie ruszył na mroźny i najeżony mianami Bałtyk, to z pewnością podróż nie należała do najprzyjemniejszych. Paderewski był mocno przeziębiony. Nadeszła Wigilia. Świąteczny wieczór roku 1918 Paderewski spędził w kabinie oficerskiej, gdzie – jak pisał w biografii artysty Adam Zamoyski – „zabawiał ich grą na starym pianinie z brakującym pedałem”. W końcu statek dobił do gdyńskiego portu. Na nabrzeżu – czytamy dalej u Zamoyskiego – udekorowanym „w złowróżbne czerwone flagi Niemieckiej Rady Rewolucyjnej wiało chłodem i milczeniem. Na przystani powitała Paderewskiego grupka Polaków pod wodzą Wojciecha Korfanteo i wszyscy razem wsiedli do pociągu udającego się do Poznania. Nie zdążyli jednak ujechać daleko, kiedy pociąg zatrzymano”. Do środka wsiedli niemieccy oficerowie i zaczęły się „negocjacje”. Niemcy upierali się, że Paderewskiemu nie wolno jechać do Poznania, który jest miastem niemieckim. Wtedy Brytyjczycy, Wade i Rawlings, zagrozili, że sprawa oprze się o najwyższe władze alianckie, gdyż podróż odbywa się z ich polecenia. Dopiero groźba surowych konsekwencji poskutkowała.

Szum skrzydeł

I oto w naszym opowiadaniu o grudniu roku 1918 pojawił się kolejny ojciec niepodległości, czyli Wojciech Korfanty.

Członkowie Naczelnej Rady Ludowej



Skąd nagle tutaj ta postać, kojarząca się niemal jedynie z powstaniami śląskimi? Cofnijmy się trochę, do 9 listopada, kiedy władza nad Poznaniem trafiła w ręce rad żołnierskich pułków niemieckich. W wyniku tajnych obrad podjęto decyzję, by do owych rad „dopraszać” Polaków, co miało być taki gestem wyprzedzającym spodziewane wypędzenie Niemców z miasta. Na początku grudnia zwołano w Poznaniu Sejm Dzielnicowy, na który zjechali delegaci z Poznańskiego, Pomorza i Śląska, a tenże sejm powołał do życia Radę Ludową, czyli coś w rodzaju rządu dzielnicowego.

Korfanty dotarł do Poznania najprawdopodobniej już 11 listopada i wziął udział w spotkaniu posłów polskich w poznańskim Bazarze. Wyjeżdżając z Berlina, zabrał z sobą rodzinę – zamieszkali w centrum miasta, przy ul. Fredry 8a. Był więc w stolicy Wielkopolski, gdy powstała Rada Ludowa i wszedł w jej skład razem z Władysławem Seydą. Właściwie od początku pobytu w stolicy Wielko-



polski Korfanty działał bardzo aktywnie w nowych strukturach, a także brał udział w wiecach i przemawiał. Tuż po przyjeździe powiedział: „Przed naszymi oczami rodzi się wolna i niepodległa Rzeczpospolita Polska i słyszymy szum skrzydeł orla białego. Ale wolności myśmy nie pragnęli od militarysty pruskiego. Uzyskaliśmy wolność tę na skutek wymiaru sprawiedliwości dziejowej”.

Symbol idei

Nocą 26 grudnia Paderewski, Korfanty i inni dotarli do Poznania. Na dworcu witały ich tłumy. Wszyscy czekali na wielkiego kompozytora, który był ucieleśnieniem polskości. Lokomotywa wyrzucała kłęby pary, a ponad ludźmi powiewały sztandary – polskie, francuskie i angielskie. Tak wspominał przybycie artysty jeden z późniejszych powstańców, Franciszek Nogaj: „Już z samego rana we wszystkich domach powiewały polskie flagi. W hotelu Bazar powieszono

flagi państw koalicyjnych [...], głoszone bowiem, że z Paderewskim mają przyjechać przedstawiciele misji koalicyjnej”. Młodzieńcy, bo zaledwie 15-letni wówczas poznaniak, Franciszek Sós te same chwile opisał tak: „Posłaliśmy z wujkiem na dworzec kolejowy, gdzie miał przyjechać wielki człowiek. Polski pianista i kompozytor Ignacy Paderewski. Ludzi było bardzo dużo, cywilnych i wojskowych. [...] Ignacy Paderewski wsiadł do sześciokonnej karocy. Zrobiło się wielkie zamieszanie i ścisk. [...] Wtem jeden z cywilów spojrzał na mojego orzelka i uderzył mnie w twarz. Byłem tym wypadkiem wstrząśnięty. [...] Wujek powiedział: »To był przeklęty Szwab«”. Sam mistrz tak zapamiętał wydarzenia z 26 grudnia: „Zapadł już wieczór i mnóstwo ludzi trzymało w rękach pochodnie. [...] Wszyscy mnie pozdrawiali. Nie chodziło tu oczywiście o moją osobę, ale o okoliczności, które uczyniły mnie przez chwilę symbolem idei. To wielki zaszczyt. [...] w hotelu Bazar zebrało się całe ziemiaństwo, kupcy,

robotnicy i chłopci, mężczyźni i kobiety. Musiałem przemawiać nie wiem ile razy. Prawie każda delegacja, która przybywała, domagała się mojej odpowiedzi. Musiałem wreszcie wyjść na balkon [...] i przemówić do tłumu, który wypełniał już nie tylko olbrzymi plac przed Bazar, ale i przyległe ulice”. Właśnie owo płomienne przemówienie Paderewskiego uważa się za iskrę, która wzniciła powstanie wielkopolskie.

Polska woła

Niemcy nie próżnowali. Przez miasto przemaszerowało kilkuset Szwabów pod bronią, zrywając, gdzie się dało, polskie i koalicyjne flagi. Wrzeszczeli do Polaków, że Poznań jest niemiecki. Na to my odpowiadaliśmy im: „Raus nach Deutschland!”. W swoich wspomnieniach powstaniec wielkopolski Józef Andrzejewski tak opisał tamte wydarzenia: „W pobliżu

fol. NAC



*Grupa żołnierzy niemieckich
przed zamkiem w Poznaniu*

hotelu Continental zaskoczyła nas grupa wyrostków, którzy żądali oddania broni i amunicji, podejrzewali bowiem, że jesteśmy Niemcami. Na to wezwanie jeden z moich żołnierzy odpowiedział gwarą: »Idź, bo jak ci lujnę w tramwaj, to ci konduktor nosem wyleci«. Jeden z młodzików zaczął nas przeproszać i mówił, że oni przypuszczali, iż my jesteśmy szwaby, po czym zamierzali uciec, ponieważ zbliżał się policjant i chciał ich aresztować za napast na żołnierzy. Skończyło się na tym, że policjant wezwał przygodnych gapiów do rozejścia się, a my udaliśmy się do lokalu Jarockiego, obok cukierni Bręczewskiego [...]».

Kilka godzin później na ulicach zrobiło się już bardzo gorąco: „W ten sam piątek po południu byliśmy w mieszkaniu rodziców przy ulicy Kórnickiej. Około godziny wpół do czwartej po południu wpadł sąsiad, Stangierski, i zawołał w stronę ojca: »Panie Andrzejewski, Niemcy biją Polaków na placu Wolności«. Na to ojciec wstał i wyszedł na balkon, a ja się odezwałem: »Dokąd ojciec chce pójść?«. Ojciec odrzekł: »Przecież słyszałeś«. Więc mówię dalej:

»Czy ojciec myśli, że Niemcy będą grochem strzelać?«. Na to matka zareagowała i powiedziała: »Niemiec wołał, toście szli, a teraz Polska woła, to nie chcecie iść«.

Powstaniec Marian Klis tak opisał zachowanie Niemców: „Około godziny szesnastej spotkaliśmy się w umówionym miejscu. Poznań był rojny. W pewnej chwili wzrosło podniecenie i doszły nas głosy, że Niemcy szykują jakiś pochód. Ciągną prawdopodobnie z Jeżyc. Stanęliśmy na chodniku przy zbiegu ul. Berlińskiej i Rycerskiej i po kilku minutach posunęliśmy się w górę, w kierunku

Teatru Polskiego. Przystanęliśmy, gdyż istotnie nadchodził pochód. Na czele, jak się zorientowałem, szedł pluton żołnierzy z bronią na ramieniu, z jednostki 20. pułku artylerii polowej, stacjonującej na ul. Magazynowej. Za plutonem w zwartym szyku kroczyli Niemcy w cywilu, w części umundurowani. Na domach wisiały sztandary polskie i koalicyjne. Na jednym z domów przy ul. Berlińskiej był na pierwszym piętrze zakład krawiecki Czerwińskiego. Z balkonu tego zakładu zwisały też chorągwie. W pewnym momencie zauważyliśmy, że pochodowi towarzyszy grupa wojskowych niemieckich, którzy zrywają sztandary przy pomocy, jak stwierdziłem, poręczy zerwanej prawdopodobnie na klatce schodowej. W tym samym momencie jakiś młody oficer, kroczący w pochodzie, oddał strzał z pistoletu w powietrze, nie wiadomo czy dla animuszu, czy na postrach».

***Do krwi ostatniej kropli z żył
Bronić będziemy ducha,
Aż się rozpadnie w proch i pył
Krzyżacka zawierucha.
Twierdzą nam będzie każdy próg.
Tak nam dopomóż Bóg!
Tak nam dopomóż Bóg!***

Nareszcie się rozpoczęło

Około godz. 17.00 walki przed Prezydium Policji (mieszczącym się naprzeciwko Teatru Miejskiego, niedaleko hotelu Bazar) walkę rozpoczęły polskie oddzia-

Czy można płacić kartą?



Agnieszka

weterynarz, chciałaby zdrowia dla wszystkich zwierząt i wygody dla klientów, ale bez terminala rozkłada ręce

Wreszcie powiedz **TAK** i zyskaj zadowolonych klientów!

Teraz możesz mieć terminal płatniczy za darmo¹

przez **18** miesięcy.

Konto Przekorzystne Biznes

za darmo po spełnieniu jednego z warunków².

Promocja³ – zyskaj **100 zł** za podpisanie umowy o terminal i **100 zł** za pierwszy przelew do ZUS.



Bank Pekao

Docenisz różnicę

¹ Oferta jest skierowana do klientów, którzy w ciągu ostatnich 12 miesięcy nie przyjmowali płatności kartami płatniczymi.

² Wystarczy, że w każdym miesiącu zostanie spełniony jeden z warunków: wpływ na rachunki klienta min. 2000 zł (z wyłączeniem wpływów z tytułu rozliczenia depozytów terminowych lub udzielonych kredytów i pożyczek oraz przelewów między rachunkami klienta w banku), przelew z rachunku do ZUS lub US, wpływ na rachunek z terminala wydanego przez bank, transakcja wymiany walut w banku, opłacenie raty leasingu w Pekao Leasing.

³ Szczegółowe warunki promocji dostępne w regulaminach promocji na stronie: www.pekao.com.pl/konto-terminal. Promocja trwa do 31 marca 2019 r. Materiał nie stanowi oferty w rozumieniu Kodeksu cywilnego.

Bank Polska Kasa Opieki Spółka Akcyjna z siedzibą w Warszawie, ul. Grzybowska 53/57, 00-950 Warszawa, wpisany do rejestru przedsiębiorców w Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy w Warszawie, XII Wydział Gospodarczy Krajowego Rejestru Sądowego, KRS: 0000014843, NIP: 526-00-06-841, REGON: 000010205, wysokość kapitału zakładowego i kapitału wpłaconego: 262 470 034 zł.



**Defilada pierwszych oficerów
wielkopolskich.
Widoczny m.in. Wojciech Korfanty**

ly Straży Ludowej, Polskiej Organizacji Wojskowej oraz SSiB (Służby Straży i Bezpieczeństwa). Pierwsza ruszyła kompania wildecka Straży Ludowej pod dowództwem Antoniego Wysockiego. W trakcie zmagania o budynek Prezydium poległ pierwszy powstaniec – Franciszek Ratajczak. Zaczęły się walki o miasto. Franciszek Nogaj, inny świadek wydarzeń, wspominał walki przy Wilhelmskiej, zatrzymanie pochodu Niemców, ich dobijanie się do banku, a potem moment, gdy wraz z kolegami chwycił za broń: „Po chwili posłyszałem pierwsze strzały i wołanie: »Polacy, do bronii!«. Walek krzyknął: »Nareszcie się rozpoczęło!«. Niemcy zaczęli w poplochu uciekać”.

Faktycznie – zaczęło się! I chociaż powstanie wybuchło niejako samoistnie, bez przygotowywanego wcześniej planu, to dość szybko zaczęło się rozlewać na całą Wielkopolskę.

Wszystko to widzieli wysłannicy koalicji. Pułkownik Wade wspominał, że

był świadkiem takich wydarzeń w Poznaniu jak niemiecki atak na siedzibę Naczelnej Rady Ludowej czy na hotel Bazar, w którym nocowali. Niemieckie MSZ wyśtosowało protest do sprzymierzonych, uznając, że właściwie akceptują oni polską rewoltę. Już w ciągu pierwszej doby walk Polacy odbili miasto z rąk niemieckich, jedynie przez jakiś czas pozostały

w nim nieliczne punkty oporu, jak Cytadela, fort Grolmann czy arsenał, które Polacy zdobyli 28 grudnia. Lotnisko Ławica odzyskano 6 stycznia.

Awanturnicza ekspedycja?

27 grudnia zaczęły się działania polskich spiskowców na prowincji poznańskiej – m.in. w Jarocinie, Gnieźnie, Środzie i we Wrześni. Polacy dość szybko opanowali Wielkopolskę wschodnią i południową, a potem starali się rozszerzyć zdobyty teren na północ oraz na zachód. W tym czasie w Londynie reakcje nie były, delikatnie mówiąc, przychylne. Lord Robert Cecil pisał o „szaleństwie, jakim było zezwolenie naszej misji na towarzyszenie panu Paderewskiemu w tej awanturniczej ekspedycji”. Nie pierwszy to raz, gdy wokół polskiej sprawy powstańczej pojawiły się słowa „szaleństwo” czy „awanturnictwo”. Notabene również nie wszyscy w Poznaniu byli pozytywnie nastawieni do akcji powstańczej. Korfanty w pierw-

***Nie będzie Niemiec pluć nam w twarz,
Ni dzieci nam germanił,
Oreźny wstanie hufiec nasz,
Duch będzie Nam hetmanil.
Pójdziem, gdy zabrzmi złoty róg.
Tak nam dopomóż Bóg!
Tak nam dopomóż Bóg!***

szych dniach grudniowych walk powiedział: „Nie chcemy przesuwac słupów granicznych przed konferencją pokojową”. Trąpczyński podkreślał, że nie ma potrzeby stwarzać faktów dokonanych. Książd S. Adamski deklarował podczas poznańskich obrad sejmowych: „Czekaliśmy na ziszczenie marzeń naszych lat nieomal 150; będziemy czekać jeszcze tych kilka tygodni, które nas dzielą od ostatecznego uregulowania państwowości polskiej”. Jednak powstanie wybuchło, a gdy gorzało w tyłu miejscach, trzeba było nad nim zapanować i nim pokierować. Co więcej, okazało się ono wielkim

sukcesem organizacyjnym. Powołano Komendę Miasta, na której czele stanął Jan Maciaszek, zaczęto wydawać odezwy nawołujące do spokoju. I wreszcie najważniejsze – Komisariat NRL utworzył dowództwo wojskowe, Komendę Główną Wojsk Powstańczych, której dowództwo objął mjr Stanisław Taczak.

Stronnictwo: Polska

Tymczasem z Nowym Rokiem Paderewski wyjechał do Warszawy. Jego podróż znowu zamieniła się w swego rodzaju narodową demonstrację – prak-

tycznie na każdej stacji pociąg był zatrzymywany przez wiwatujące tłumy. Wszędzie powiewały polskie flagi, śpiewano pieśni i wznoszono okrzyki. Pianista przemawiał dziesiątki razy. Co się działo w stolicy Polski, do której mistrz w końcu dotarł następnego dnia? Czytamy u Zamoyskiego: „W Warszawie ogromne tłumy wypełniły zasypane śniegiem ulice. Ludzie wyprzęgli konie z jego powozu i ciągnęli go sami przez całą drogę do hotelu Bristol. Z tego balkonu kompozytor wygłosił piękne przemówienie, w którym padły takie słowa: »Nie przyszedłem po dostojęństwa, sławę i zaszczyty, lecz aby służyć. Ale nie jakimś stronnictwu. Szanuję wszystkie stronnictwa, lecz nie będę należał do żadnego. Stronnictwo powinno być jedno: Polska, i temu jednemu służyć będę aż do śmierci«. To chyba jedno z najpiękniejszych zdań wyznaczających program działania patriotycznego! Paderewski już wkrótce miał rozpocząć rozmowy z Piłsudskim na temat powołania nowego rządu.

„Jedź Pan do Poznania”

Tymczasem Piłsudski wysłał do Poznania gen. Józefa Dowbór-Muśnickiego. Dowódca I Korpusu Polskiego na Wschodzie (zwanego od jego nazwiska dowborczykami) w swoich wspomnieniach opisał konflikt istniejący między oboma środowiskami – „socjalistyczną” Warszawą w rękach Naczelnika a nieprzychylnym mu Poznaniem. Nie da się ukryć, że – używając współczesnego kolokwializmu – między Piłsudskim a Wielkopolską chemii nie było. Komendant od dawna uważał, że jest ona silnie zgermanizowana. Okazało się jednak, że mylił się, twierdząc, iż na jej glebie trudno będzie wykrzesać silne narodowyzwoleńcze ruchy. Chłodną relację z Wielkopolską usiłował potem jakoś ratować, wygłaszając choćby swego rodzaju hymn pochwalny na cześć powstańców w październiku 1918 r., ale to nie zasypało rówów niechęci. Dlatego, kiedy 7 stycznia wysłał Muśnickiego, miał mu powiedzieć: „Jedź Pan do Poznania, nie mówiąc nic, że ja Pana mianuję”.

General pojechał i podpisał z Komisariatem Naczelnej Rady Ludowej umowę na dowodzenie Armią



Wojciech Korfanty



**Józef
Dowbór-
Muśnicki**

Uroczystość zaprzysiężenia wojsk powstańczych i wręczenie sztandaru 1. Dywizji Strzelców Wielkopolskich



Wielkopolską. Tak wspominał pierwsze dni: „Ustaliłem przede wszystkim działania. Ponieważ w każdym mieście, miasteczku, a nawet i po wsiach powoływały się samorzutne powstańcze oddziały (plutony i kompanie w zależności od tego, ile było broni na miejscu) i siły te nie były związane hierarchicznie, a każda grupa chciała bezpośrednio podlegać Naczelnaj Radzie Ludowej i ponieważ część powstańców walczyła na granicach »provincji« z Niemcami, podczas gdy niektórzy nie chcieli ruszać na front – przeto ustaliłem, że należy, nie przerywając akcji przeciw Niemcom, wszystkich związać w prowizoryczne organizacje wojskowe (fronty: północny pod pułkownikiem Grudzielskim, zachodni pod pułkownikiem Milewskim i południowy w dwóch grupach Ostrowskiej i Gostyńskiej); zebrać poza tym tyle ludzi, aby jak najprędzej sformować, jako rezerwę, pułk strzelców, baterię i pułk ułanów;

potem związać stopniowo pozostałych w organizację wojskową (pięć dywizji)”.

„Polsce, Ojczyźnie mojej, służyć”

17 stycznia ogłoszono nabór do wojska. Jak wspominał Dowbór-Muśnicki, ludzie masowo się doń garnęli – od starych po

młodych. Ziemianstwo ofiarowywało konie i żywność, broń ręczną znaleziono w arsenalach poznańskich. Brakowało tylko oficerów. Ściągano ich więc, skąd się dało – Muśnicki wezwał 180 ludzi ze swoich byłych oddziałów I Korpusu, szukano w Kongresówce i Galicji. W końcu otworzono szkołę oficerską. „Szkoła oficerska w Poznaniu jest moją dumą, bo nie znalazł się w niej ani jeden absolwent, któryby się źle spisał” – mówił dowódca Armii Wielkopolskiej.

26 stycznia żołnierze Armii Wielkopolskiej złożyli uroczystą przysięgę na wierność Naczelnaj Radzie Ludowej. Środowisko polityczne Piłsudskiego miało zresztą o to pretensje do poznaniaków, gdyż uważało, że to jedna z oznak swego rodzaju separatystycznej drogi, jaką podążało poznańskie. Ale w tekście przysięgi znalazły się przecież piękne słowa: „Polsce, Ojczyźnie mojej, i sprawie całego Narodu Polskiego zawsze i wszędzie służyć”. Armia Wielkopolska rosła w siłę – w maju osiągnęła stan liczebny 70 tys.

**Nie damy miana Polski zgniść,
Nie pójdziem żywo w trumnę.
Na Polski imię, na Jej cześć,
Podnosim czoła dumne.
Odzyska ziemi dziadów wnuk.
Tak nam dopomóż Bóg!
Tak nam dopomóż Bóg!**

Bezpieczeństwo na światowym poziomie

NARODOWY WYTWÓRCA – GLOBALNY ZASIĘG



Produkty Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych S.A. są jednym z filarów bezpieczeństwa państwa polskiego i jego obywateli.

Jakość naszych produktów docenili także klienci zagraniczni. Banknoty, dokumenty, karty zabezpieczone i systemy IT wytworzone w PWPW są obecne na całym świecie.



Dokumenty



Karty



Banknoty



**Papier
zabezpieczony**



**Druki
zabezpieczone**



**Systemy
i rozwiązania IT**



*Defilada wojsk wielkopolskich
przed zamkiem w Poznaniu*

żołnierzy. Gdy latem doszło do scalenia Wielkopolan z resztą armii polskiej, to nasze siły zbrojne powiększyły się o oddziały świetnego żołnierza – bardzo zdyscyplinowanego, karnego, a jednocześnie pełnego entuzjazmu i najsilniejszych uczuć patriotycznych.

Walki trwały przez cały styczeń i część lutego. Wreszcie 16 lutego 1918 r. w Trewirze podpisano układ przedłużający rozejm między Ententą a Niemcami, który objął również front wielkopolski, a Armia Wielkopolska została uznana za jedną z formacji wojsk sprzymierzonych. Otwierała się droga do organizowania się Wielkopolski jako dzielniczy Rzeczypospolitej.

W marcu zaczęto tworzyć administrację polską, na początku kwietnia uchwalono ustawę zarządzającą wybory. W tym samym miesiącu ze sklepów i urzędów zniknęły niemieckie napisy oraz szyldy. Zmieniano nazwy ulic na polskie. 3 maja Armia Wielkopolska pod wodzą Dowódcy-Muśnickiego wzięła udział w uroczystej defiladzie. 15 maja język polski stał się jedynym urzędowym językiem w Wielkopolsce, a 28 czerwca nastąpiło uroczyste podpisanie traktatu wersalskiego. Wielkopolska stała się oficjalnie częścią II RP.

Staję przed narodem

16 stycznia Ignacy Paderewski objął funkcję premiera. Jak zawsze pełen poko-

ry powiedział: „Pragnąc podjąć to trudne zadanie, stoję przed narodem i proszę o poparcie i pomoc ze strony wszystkich stronnictw”. Ogłoszono pierwsze wolne wybory – do sejmu ustawodawczego. Ludzie poszli do urn 26 stycznia 1919 r. A 9 lutego odbyło się pierwsze posiedzenie sejmu. Cóż to był za dzień! Jakie wzruszenia! Paderewski i Piłsudski wzięli udział w uroczystej mszy świętej, a potem wygłosili piękne przemówienia na sali sejmowej. Właściwie tę inaugurację sejmową widzieć należy jako faktyczne zmartwychwstanie Polski, jako faktyczne zaistnienie naszej niepodległości.

Jednocześnie jednak od 18 stycznia w Paryżu trwała konferencja pokojowa. Paderewski został na nią wysłany jako



główny delegat Polski, by w dyplomatycznej walce o przyszłe granice i ustrój naszej ojczyzny stać ramie w ramie z Romanem Dmowskim. Lider endecji i zarazem szef Komitetu Narodowego Polskiego miał w trakcie obrad „swoją dzień” 29 stycznia 1919 r. Gdy został poproszony przed oblicze tzw. Rady Dziesięciu (jej członkami byli przedstawiciele największych mocarstw), został mu udzielony głos przez premiera francuskiego Clemenceau: „Panie Dmowski, ma Pan głos”. „O czym mam mówić?” – zapytał lider endecji. „O sprawie polskiej” – usłyszał odpowiedź. I wtedy zaczął się jego „koncert”. Tak jak Paderewski był geniuszem i fortepianu, i słowa, tak Dmowski był geniuszem myśli oraz umiejętności jej

prezentacji (czego dowiódł, pisząc przecież wiele kapitalnych rozpraw historycznych, z którymi można się spierać, ale których wysoki poziom trzeba uznać) i tego dnia rozwinął skrzydła. Mówił bez specjalnego przygotowania, przez kilka godzin, posługując się nienaganną francuszczyzną. Jak wspominał prof. Mariusz Wołos, gdy tłumacz niezbyt trafnie oddawał sens, przekładając na angielski, Dmowski potrafił mu przerwać i doprecyzowywać myśl w języku Szekspira. Już samym sposobem wyśławiania się i argumentacji zdobył szacunek. A mówiąc, uderzał przede wszystkim w struny antyniemieckie, kładł nacisk na zachowania niemieckie w Wielkopolsce. Mówił też o tym, że „niehistoryczne” narody (jak

ukraiński czy białoruski) nie powinny samodzielnie tworzyć państw (które wcześniej po prostu de facto nie istniały). I – co najważniejsze – wysnuł opowieść o dawnej Polsce, o Rzeczypospolitej sprzed rozbiorów. A mówiąc to, posługiwał się mapą, którą otrzymał w trakcie przemówienia, by móc w konkretny sposób wyjaśniać kwestie granic. To był jeden z najpiękniej „zagranych” aktów spektaklu dyplomatycznego, jaki rozgrywał dla Polski na konferencji Roman Dmowski.

W paryskim tygłu wrzało – było tylu delegatów i tyle kwestii granic, cesji terytorialnych, dyplomatycznych gier, że w sposób naturalny sprawa polska była jedynie jedną z wielu. Wymagało nie lada wytrzymałości i masy zabiegów, by doprowadzić ją do szczęśliwego finału. Wszystko leżało w rękach Wielkiej Czwórki, która w wielu kwestiach nie była zgodna. Na przykład Wilson nie zamierzał oddawać Włochom Fiume, a Lloyd George nie chciał przyznać Gdańska Polakom, gdy tymczasem za tym optował Woodrow Wilson. Dochodziło więc do swego rodzaju dyplomatycznych targów na zasadzie: ustąpię twoim żądaniom na temat Fiume, jeśli zgodzisz się na moje rozwiązanie w sprawie Gdańska. Gdy wreszcie zatwierdzono przebieg naszych granic, okazało się, że nie tylko nas nie do końca satysfakcjonują, ale aby faktycznie je ustalić, jeszcze długa droga przed nami. Dopiero zwycięstwo nad bolszewikami, plebiscyty i powstania śląskie, a wreszcie zdobycie Wilna, miały ukształtować ostatecznie nasze granice.

Polska była jednak wolna. Była piękna. Była nasza. Zmartwychwstała w wyniku tylu działań i prądów. Powstań narodowych i pracy organicznej. Dzięki działalności „białych” i „czerwonych”, wysiłkowi chłopów i robotników, patriotycznemu wychowaniu dzieci przez matki, krwi przelewanej w wojskach po wszystkich stronach frontów, bohaterstwu młodzieży, harcerzy, księży, profesorów uniwersyteckich, studentów i prawników. A jednocześnie, gdy ziścił się ten cud niepodległości, nie sposób nie dostrzec, że dokonał się on mimo różnic i dzielących nas waśni. W grudniu 1918 r. Piłsudski wysłał z Przemyśla list do Romana Dmowskiego. Brzmiał on tak:

„Drogi Panie Romanie,
wysyłając do Paryża delegację, która ma się porozumieć z Komitetem paryskim w sprawie wspólnego działania wobec aliantów, proszę Pana, aby zechciał Pan wszystko uczynić dla ułatwienia rokowań. Niech mi Pan wierzy, że nade wszystko życzę sobie uniknięcia podwójnego przedstawicielstwa Polski wobec aliantów: tylko jedno wspólne przedstawicielstwo może sprawić, że nasze żądania zostaną wysłuchane. Troska o tę jedność jest przyczyną, że nie spieszyłem się z przystąpieniem do tej sprawy.

Opierając się na naszej starej znajomości, mam nadzieję, że w tym wypadku i w chwili tak poważnej, co najmniej kilku ludzi – jeśli, niestety, nie cała Polska – potrafi wznieść ponad interesy partji, klik i grup. Chciałbym bardzo widzieć Pana między tymi ludźmi.

Proszę przyjąć zapewnienia mego wysokiego szacunku.

Józef Piłsudski”.

Na pierwszych słowach tego listu chciałbym się zatrzymać... „Drogi Panie Romanie”... To słówko „drogi” w kontekście całego ich sporu ma specjalne znaczenie. Jest wyciągnięciem ręki. Ponad wszystkim. Ponad tym, co dzieli.

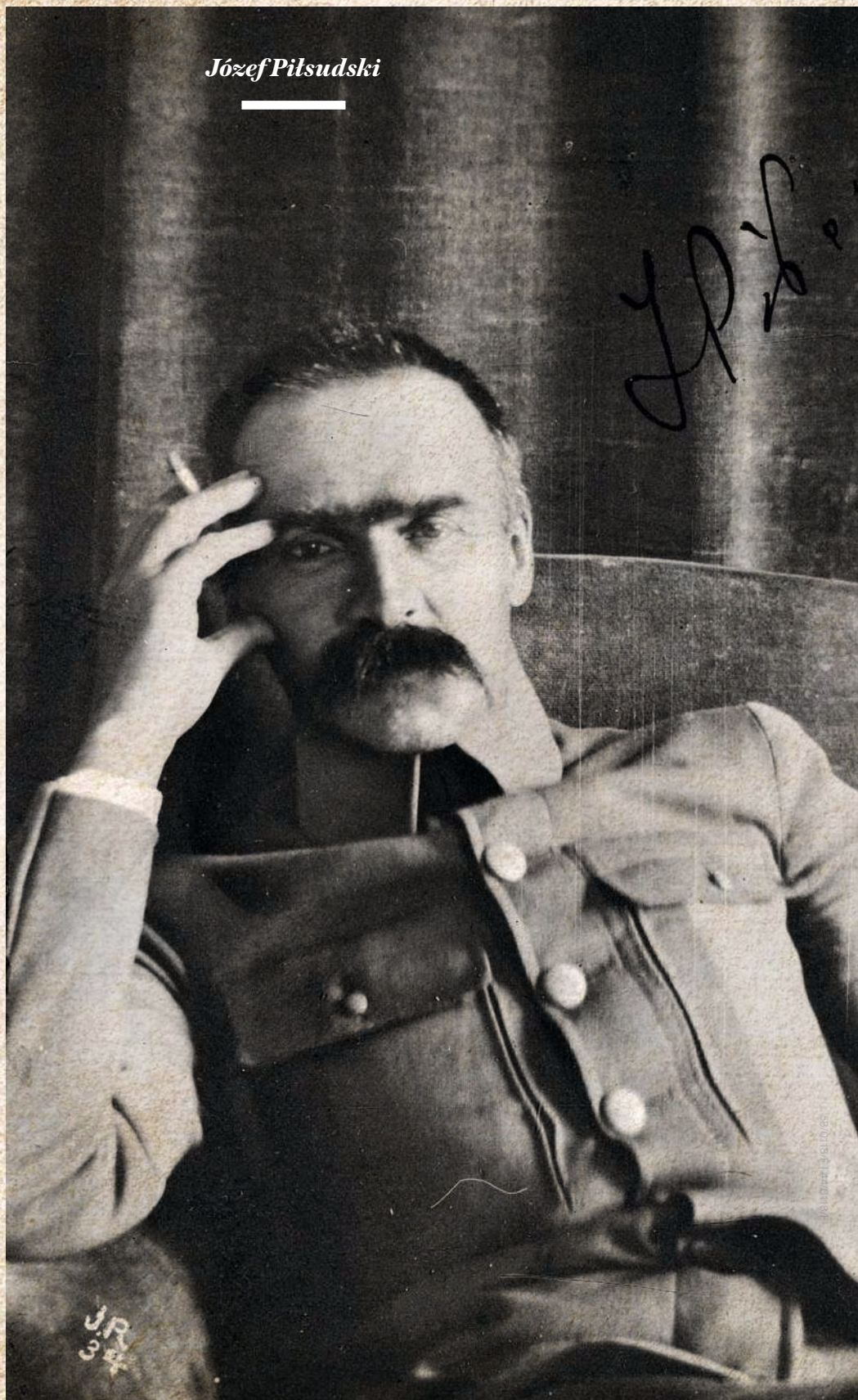
Naszą opowieść o Bohaterach Niepodległej zaczęliśmy 3 sierpnia w krakowskich Oleandrach. To wtedy na znak potrzebnej jedności Komendant kazał chłopcom ze Związku Strzeleckiego odpiąć orzelki z czapek i zamienić się z drużyniakami na ich blachy. „Bądźmy razem” – tak można przetłumaczyć ten gest.

Kończymy tę podróż w czasie na owym geście wyciągniętej ręki i słowie kluczu – „drogi”. Czyli godzien szacunku i miłości, bliski. Tak zwracamy się do przyjaciół. I pal sześć, że potem się wszyscy w tej nowej Polsce kłócili, bili, a nawet mordowali. Za tę chwilę, za te wyciągnięte do siebie dłonie – dziękujemy. Niech zostaną dla nas wyzwaniem na teraz.

Co teraz jest dla nas „drogie”? Co jest dla nas wartością? Jak blisko siebie jesteśmy?

Czy potrafimy się kochać i wybaczać?

Józef Piłsudski





Zapraszamy na wystawę **Blask orderów w 100-lecie odzyskania niepodległości**

Wystwę można oglądać w Muzeum Łazienki Królewskie
do 3 lutego 2019 roku.

PZU jest mecenasem wystawy oraz Muzeum Łazienki Królewskie.





ALIOR
BANK

 **LOTOS**

BANK PRZEDSIĘBIORCZOŚCI

KIERUJ SIĘ
KORZYŚCIAMI

RABAT

do **20** gr/litr
paliwa
na wybranych
stacjach LOTOS

**KARTA KREDYTOWA
MASTERCARD BUSINESS LOTOS**

www.aliorbank.pl

Promocja Tanie tankowanie obejmuje transakcje bezgotówkowe dokonane kartą kredytową Mastercard® Business LOTOS na wybranych stacjach LOTOS Paliwa i skierowana jest do przedsiębiorców, którzy: rozliczają się na zasadach uproszczonej księgowości, posiadają rachunek firmowy w Alior Banku oraz spełniają warunki Regulaminu promocji. Promocja obowiązuje do odwołania, o czym bank poinformuje na 7 dni przed datą jej zakończenia na www.aliorbank.pl. Rabat na paliwa standardowe (ON, PB95, PB98, LPG) w wysokości 16 groszy/litr brutto i rabat na paliwa Premium LOTOS (ON Dynamic, PB Dynamic) w wysokości 20 groszy/litr brutto są rabatami preferencyjnymi ważnymi do odwołania. Po okresie obowiązywania rabatu preferencyjnego знижки będą wynosiły odpowiednio 12 groszy/litr brutto i 16 groszy/litr brutto. Szczegóły oferty, regulamin promocji, lista stacji LOTOS objętych promocją oraz informacja o opłatach i prowizjach dostępne są w placówkach Alior Banku i na www.aliorbank.pl.



SIECI

**na
NOWY
ROK**

■ Powojenna kariera
hitlerowskiego
superszpiega – str. 82

■ Polski kawałek
Antarktydy – str. 88

■ Piękne 50+
Anny Popek – str. 101

Magiczne przestrzenie

*Dom w moim życiu jest bardzo ważny. Taki, do którego się wraca,
za którym się tęskni. Taki, który nas nie obciąża, ale daje siłę.
Mam, jak w serialu „Leśniczówka”, dwie córki. Stwarzam im tę bazę najlepiej,
jak potrafię – mówi **Jolanta Fraszyńska***



Z Jolantą Fraszyńską rozmawia Jolanta Gajda-Zadzworna

Czy w leśnych ostępach czuje się pani jako aktorka lepiej?

Jolanta Fraszyńska: Uwielbiam przyrodę, więc przepelniona naturą „Leśniczówka” już tym mnie ujęła. Ale też bardzo się cieszę, że znów jestem w telewizji, ponownie w serialu, na dodatek tak wyjątkowym.

Co się na tę wyjątkowość składa?

Pierwsze to obsada: fenomenalna. Do tego scenariusz, w którym – a jakże – w naturalny sposób splata się przyroda i obyczajowość. I jest to przełamane wątkiem kryminalnym czy wręcz sensacyjnym. Mnie się to bardzo dobrze łączy w całość. I mam nadzieję, że widzom też dobrze się to ogląda.

Kolejna pani rola telewizyjna budzi sympatię widzów.

Prawdę powiedziawszy, po mojej 11-letniej bytności w „Na dobre i na złe”, po „Licencji na wychowanie”, z którą miałam nieco krótszy romans, ale też uwielbiałam tę pracę, czekałam na dobrą rolę w telewizji. Bo dzisiaj jest trochę tak, że jak nas nie widać na małym ekranie i w mediach społecznościowych, to nas nie ma, pomimo tego, że człowiek jest bardzo aktywny i dużo pracuje.

Pani chyba nie jest fanką internetowych forów?

Taaak, wolę być realnie w tym zawodzie i w tym świecie, niż robić to, co niejako jest koniecznością dzisiejszych czasów. Jednocześnie wcale nie twierdzę, że za chwilę nie zrobię jakiegoś serialu w internecie. Trochę się trzeba do tych obecnych czasów dostosować, iść z nimi ramię w ramię.

Niektórzy, jak chociażby grana przez panią bohaterka z „Leśniczówki”, świadomie z tego rezygnują...

I ja też, jeśli mogę wybieram „real”. Cenię sobie tę zwyczajną, codzienną prawdę. Wirtualny świat jest dla mnie



Fot. TYP X3



zbyt kraczyjny i zbyt mało dotykálny, ale dają radę.

Sądząc po kolejnych serialowych rolach, dobrze się pani komponuje producentom z opowieściami rodzinnymi: otwartymi na domowników i gości, z ciepłem rodzinnego ogniska, z dziećmi i zwierzętami (zmorą niejednego aktora).

Nie da się zaprzeczyć, że zdobyłam „Licencję na wychowanie” [śmiech] i prowadziłam ze swoją bohaterką „Hotel pod żyrafą i nosorożcem”. Bardzo ciepło wspominam obie te produkcje. Pełne dzieci (w drugim przypadku także zwierząt) i codziennych problemów, z którymi łatwiej dać sobie radę, gdy się człowiek uśmiecha i potrafi, mimo przeciwności losu, odnaleźć w sobie pogodę ducha i trochę dystansu.

Tak też chyba jest w „Leśniczówce”, wokół której kręcą się bohaterowie i zdarzenia, a w centrum tego wszystkiego jest pani bohaterka?

Zamysł „Leśniczówki” jest świetny: to, że scenarzystka Ariadna Lewańska, która zaczęła opowiadać tę historię, ulepiła całą rzeczywistość wokół Katarzyny Ruszczyc (teraz scenariusz pisze Piotr Jasek). Taką sytuację można sobie tylko wymarzyć, bo jest dużo produkcji, gdzie w centrum fabuły są faceci, oni nakręcają akcję, a tu kobieta ma kształtować rzeczywistość i ma też stawiać czoła przeciwnościom. My, kobiety, umiemy to robić, ale mało kto wykorzystuje to na ekranie. To bardzo dobry zaczyn i można wiele z tego ulepić. Jesteśmy silnymi istotami i możemy sobie wiele rzeczy dać wzajemnie, ale też sprawiać, że ten świat dzięki nam jest lepszy.

Las w tym serialu, mimo że kryje różne niebezpieczne tajemnice, jest azylem, idyllą, w której od pokoleń trwa wymarzony dom. Jak w utworze śpiewanym przez Edytę Górniak: „Ten dom/właśnie zapisany w nas/od dziś niechaj będzie tylko nasz/ten dom/pod ochroną dobrych drzew/i słów, co nadają się na wiersz/ze snów cały jest...”

To jest bardzo ważne, te wszystkie inicjacje, które kiedyś miały tworzyć wzór kobiety. To jest coś, co chciałabym kultywować. Tak rozumiany dom w moim życiu jest bardzo ważny. Dom, do którego się wraca, za którym się tęskni. Mam, jak w serialu, dwie córki. Stwarzam im tę bazę najlepiej, jak potrafię.

I jak serialowej córce otwiera pani szeroko drzwi, mówiąc: „Masz tyle możliwości, korzystaj z nich...” ale...

... pamiętaj, że są pewne zasady. Te zasady nie pojawiają się znikąd, w nich wyrastamy... Ale jest jeszcze jedna rzecz. Dom to powinno być miejsce, które pozwala na dobry powrót. Taki, który nas nie obciąża, lecz daje siłę.

Mówi się o sile domowego ogniska. Podchodząc do tego dosłownie, czy dlatego ważne rozmowy odbywają się w „Leśniczówce” głównie przy solidnym kuchennym piecu?

Nieprawdopodobne, ale spotkania w kuchni są zawsze najlepsze. To przestrzeń, która w naturalny sposób zbliża, ociepla relacje. Dziś ludzie za mało z sobą rozmawiają, za mało spędzają z sobą czasu. Wszyscy się dosyć mocno obwarowaliśmy, izolujemy się. Brakuje nam chwili, żeby zatrzymać się, sięgnąć do doświadczenia bliskich nam osób, wrócić do rodzinnej przeszłości, poznać ją z bezpośredniej relacji. Mam ogromny niedosyt i poczucie niespełnienia, że nie wykorzystałam w pełni całej wiedzy, którą kiedyś mogła mi dać moja babcia, moja mama.

Śląskie domy, a z takiego pani wyszła, mocnymi kobietami stoją?

To prawda: mocnymi i mądrymi. Jestem im wdzięczna, bo zostałam przez nie dobrze ukształtowana; cenię sobie to, co dostałam, szkoda tylko, że pewnych szczegółów nie mogę już zaczerpnąć. Moja mama i moja babcia są już w innym wymiarze. Nie zdążyłam ich spytać o wiele rzeczy. Dlatego zachęcam: jeśli macie jeszcze rodziców, dziadków odwołujcie się do ich pamięci, ich życiowej wie-



dzy i doświadczeń. Bierzcie od nich garściami, bo to, co oni dają, z czasem okazuje się bezcenne.

Gdyby mogła pani zadać teraz te nieзадane pytania, jakie padłyby na początek?

Trudno powiedzieć, bo te najważniejsze prawdy odczytałam w odpowiednim czasie. Pytałabym raczej o szczegóły, którymi się nie podzielię, bo to bardzo intymna rzecz.

A swoim córkom, żeby nie miały takich niepokojów i niespełnień, że nie spytały, o czym pani od początku mówi?

Mówienie bywa rzeczą wtórną, najważniejszy jest przykład, bo możemy żyć w asynchronie pomiędzy tym, co robimy, a tym, co mówimy. A jeśli jesteśmy spójne w tym, co mówimy, a mówimy o radości życia i szczerości, o uczciwości i o wielu szlachetnych rzeczach, i tak też żyjemy, to jest to najcenniejsze. Można niewiele mówić, a wiele powiedzieć, bo nasze dzieci wszystko widzą i wszystko kodują. Przykład i doświadczenie. To klucz do najbardziej wartościowego, pełnego przekazu.

Katarzyna Ruszczyc zdecydowała, że jej dom jest w leśniczówce, nie w Warszawie, w której spędziła wiele lat. A gdzie pani ma swój dom?

Mieszkam na obrzeżach Warszawy – to jedno ważne dla mnie miejsce. Drugie – ustronne i bardziej wiejskie jest trochę dalej. Trafiłam tam za swoimi marzeniami. Od zawsze miałam słabość do chat, drewnianych

domków z ich niepowtarzalnym klimatem. Chwytały mnie za serce. I taki domek mi się zmateriałizował. I mam też na działce drzewo dwustuletnie. Teraz wciąż myślę, jak o nie dobrze zadbać. I co zrobić, żeby ten dąb, który jest pomnikiem przyrody, nie podupał, choć nadszarpał go czas. To są takie moje magiczne przestrzenie.

Wspomniała pani na początku naszej rozmowy serialowe role, m.in. w „Na dobre i na złe”, a ja nie mogę zapomnieć innej, „Dżemowej”. Myśli pani o niej czasem?

Na szczęście telewizja często powtarza „Skazanego na bluesa”. Ryśka Riedla zagrał w tym filmie Tomasz Kot i po tej poważnej roli przyszedł kolejny jego wspaniały kreacja, jak chociażby Religi w „Bogach” Palkowskiego czy teraz w „Zimnej wojnie” Pawlikowskiego. Nie przypuszczałam, że ten film będzie miał taką żywotność, że utrzyma emocjonalne napięcie. Jest w nim kilka scen, w których patrzę na bohaterkę, jak nie na siebie i za każdym razem się wzruszam. To jest chyba największa siła filmów, że utrzymują moc działania na nasze odczucia.

Do jakich ekranowych zdarzeń i wspomnień najchętniej pani wraca?

W wydanej niedawno książce „Aktorki. Portrety” Łukasza Maciejewskiego, do której zostałam zaproszona, zobaczyłam w podsumowaniu, jak dużo było ról, w których zagrałam (nie spodziewałam się, że aż tyle), z których widzowie mnie pamiętają: „Skazany na bluesa”, „Kiler-ów 2-óch”, „Licencja na wychowanie”, „Na dobre i na złe”, a teraz „Leśniczówka” intensyfikująca moją obecność na ekranie. Ale mam też sporo innych tytułów, które chętnie przywołuję. Z każdego wyniosłam coś cennego dla siebie. Choćby „Boża podszewka” Izabeli Cywińskiej, wspomniały serial, albo „Dom” (jego trzecia część) i „Ekstradycja”... w każdym z tych projektów postaci, które grałam, były dla mnie ważne, wyraziste, takie, które sobie cenię. I myślę, że widzowie też.



SIECI

NA NOWY ROK

OF

Reinhard Gehlen szlify generalskie
otrzymał od Adolfa Hitlera.
Nie przeszkodziło to Adenauerowi
(kanclerzowi powojennych Niemiec)
uczynić go jednym z najważniejszych
ludzi w państwie

ÜberSzpieg

Dyskutowanie o tym, kto był najlepszym szpiegiem II wojny światowej, nie ma sensu. Teoretycznie mogliby to ustalić tylko analitycy i historycy, którzy wkradliby się do dobrze chronionych archiwów. Ale oni akurat złodziejami nie są. Szkoda. Popatrzmy więc na to inaczej. Który szpieg (ale też analityk) został królem życia po teoretycznie zakończonej misji. Komu „z nieistniejącego świata” udało się wspiąć na szczyty władzy

Był taki człowiek. To Reinhard Gehlen, legendarny szpieg hitlerowskiego, niemieckiego wywiadu. W Federalnej Republice Niemiec na najwyższym stopniu wojskowym w cywilnej służbie państwowej. Szlify generalskie otrzymał od Adolfa Hitlera. Nie przeszkodziło to Adenauerowi (kanclerzowi powojennych Niemiec) uczynić go jednym z najważniejszych ludzi w państwie. Na polecenie Amerykanów założył w 1945 r. Organizację Gehlena, która w 1956 r. została przekształcona w niemiecką Federalną Służbę Wywiadowczą. Przez 12 lat pełnił funkcję szefa zachodnioniemieckiego wywiadu.



PIOTR ŚLABEK

rzem, matka pochodziła z arystokratycznej flamandzkiej rodziny. Ponoć w niewielkim stopniu znał polski ze względu na opiekunkę, którą miał w dzieciństwie.

W 1918 r. młody Reinhard wstąpił do armii. W 1926 r. zasłynął jako jeden z najlepszych jeźdźców w pułku. W 1931 r. wziął ślub z Hertą von Seydlitz-Kurzbach, pochodzącą z rodziny jednego z generałów Fryderyka

Wielkiego. Gehlenowie mieli czworo dzieci.

Do szybkiej kariery młodego oficera przyczyniły się nieprzeciętne zdolności analityczne i organizacyjne, inteligencja, pracowitość oraz wsparcie wpływowej rodziny żony.

Po ukończeniu Akademii Wojennej w 1935 r. został oficerem w wydziale operacyjnym Sztabu Generalnego. Podczas kampanii wrześniowej był już majorem i szefem sztabu jednej z dywizji. Za udział w wojnie z Polską odznaczono go Krzyżem Żelaznym drugiej klasy. W czerwcu 1940 r. został adiutantem szefa Sztabu Generalnego Franza Haldera, a już w październiku objął kierownictwo sekcji wschodniej w wydziale operacyjnym sztabu armii.

Był jednym ze współautorów planu ataku III Rzeszy na Sowietów. W kwietniu 1942 r. w stopniu podpułkownika przejął kierowanie wydziałem Obce Armie Wschód niemieckiego wywiadu (zajmującego się rozpracowywaniem wojsk sowieckich i innych przeciwników Niemiec na wschodzie Europy, w tym AK) przy Sztabie Generalnym Wojsk Lądowych. W grudniu 1944 r. awansował na generała-majora, na wiosnę 1945 r. na generała-porucznika.

UCIECZKA W SEPSĘ

Gehlen był jednym z nielicznych wysokich oficerów wywiadu doskonale poinformowanych o planach zamachu na Hitlera, którzy w żaden sposób nie ucierpieli w czasie prześladowań po jego wykryciu. Do Gehlena zwrócili się spiskowcy (plk von Tresckow, plk von Stauffenberg, gen. Heusinger) z propozycją wzięcia udziału w przygotowaniach do zamachu. Reinhard zachował się w charakterystyczny dla siebie sposób – rozsądnie i dyplomatycznie. Znał sytuację spiskowców, nie wierzył w skuteczność ich działań i do zmywy nie przystąpił. Był pewien porażki Niemiec i nieuchronnego upadku Hitlera, więc ich nie wydał. Dla swego bezpieczeństwa, dwa tygodnie przed datą planowanego zamachu, zgłosił się do szpitala, najprawdopodobniej profesjonalnie udając objawy sepsy. W tym chytrym planie pomogły mu dobre znajomości w kręgach lekarzy oraz to, że sam interesował się medycyną

JEDYNY TAKI GENERAL

Nazywano go „człowiekiem bez twarzy”, gdyż ze wszystkich sił unikał fotografów. Zachowywał się tak nie bez przyczyny. W 1954 r. tygodnik „Der Spiegel” opublikował zdjęcie oficerów sztabu generalnego Wehrmachtu z widniejącym na nim generałem-majorem Reinhardem Gehlenem. Wprawdzie nie było to dla wielu tajemnicą, że szef zachodnioniemieckiego wywiadu był generałem Hitlera, ale wiedzieć, a zobaczyć na własne oczy – to duża różnica. Gehlen na fotografii miał doskonale skrojony mundur od Hugo Bossa (głównego projektanta uniformów Wehrmachtu i SS – kolekcja wiosna 1944), znajdował się w otoczeniu innych członków sztabu generalnego III Rzeszy. Fotografia wywołała medialną burzę, która jednak szybko minęła.

W 1972 r. w dzienniku „Die Welt” ukazał się tekst podkreślający zasługi Gehlena w tworzeniu i rozwoju zachodnioniemieckiego wywiadu. „Za zdjęcie generała wywiadu Reinharda Gehlena z okresu, kiedy dla konspiracji nosił miękki kapelusz, słoneczne okulary i wąsy, kremłowskie KGB zapłaciłoby tysiące dolarów. Był czas, kiedy każdego ranka przed podróżą do biura zmieniał numery rejestracyjne wozu. Gehlen najlepiej ze wszystkich Niemców zna tajemnice światowej polityki. Jest jedynym niemieckim generałem, który po 1945 r. uczestniczy w tworzeniu historii. Hitler chciał go zamknąć w domu wariatów, Stalin wyznaczył miliony za jego głowę, a Eisenhower uznał go za największą zdobycz wojenną Ameryki. Adenauer ufał mu ślepo. Za czasów Brandta chciano zniszczyć jego sławę”.

ZAWROTNA KARIERA

Gehlen urodził się w 1902 r. w Erfurcie. Kilka lat później rodzina przeniosła się do Wrocławia. Jego ojciec był księga-



i posiadał dużą wiedzę w tej dziedzinie. Oczywiście choroba została potwierdzona przez lekarzy, a generał długo przebywał w szpitalu.

NIEMIECKI WYWIAD PODZIWIĄ AK

Mimo że raporty przygotowywane przez jego wydział wychwalały męstwo żołnierzy niemieckich, nie ukrywały negatywnych perspektyw sytuacji na froncie. Ten realizm nie podobał się Hitlerowi, który zdymisjonował Gehlena pod koniec wojny (9 kwietnia 1945 r.).

Jego sytuacja stała się trudna i niebezpieczna. Całkowitą władzę nad wywiadem przejęła SS – organizacja, której jeszcze ufał Führer. Szefem wywiadu został Walter Schellenberg.

Gehlen mógł być w każdej chwili skierowany na front, by objąć dowództwo jakichś dogorywających oddziałów. Aby uniknąć takiego scenariusza, wymyślił sprytny plan.

Zwrócił się do Schellenberga z propozycją przygotowania tajnego raportu, którego celem miała być analiza możliwości podjęcia efektywnej walki podziemnej przez III Rzeszę na wypadek zwycięstwa wojsk sprzymierzonych. Raport miał być przygotowany dla Himmlera. Propozycja została przyjęta – Gehlen i jego ludzie zdobyli trochę czasu...

Gehlen i jego analitycy za wzór państwa podziemnego przyjęli Armię Krajową. Ostateczną redakcję dokumentu przygotował sam Gehlen. Był to tekst, który jako jeden z najbardziej ze znanych dotychczas dokumentów armii niemieckiej doceniał waleczność i skuteczność podziemnych struktur AK, zwłaszcza wywiadu, oraz chwalił ofiarności i predyspozycje do konspiracji całego narodu polskiego.

Wniosek powstały na podstawie wnikliwej analizy brzmiał następująco: w sytuacji narodu niemieckiego, nienawykiego do działań konspiracyjnych i spiskowych tak jak Polacy, rozwinięcie na dużą skalę ruchu oporu jest niemożliwe.

Heinrich Himmler, szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, obejmującego SS i policję, miał być ewentualnym przywódcą niemieckiego państwa podziemnego. Himmler jednak w ostatnim momencie się przestraszył, że może być posądzony przez Hitlera i jego zwolenników o zdradę, i nie podjął w tej sprawie żadnych działań. Parę dni po zakończeniu wojny został aresztowany w mundurze sierżanta, później popełnił samobójstwo.

52 SKRZYNIĘ

Gehlen był wytrawnym analitykiem i wyciągał racjonalne wnioski z sytuacji militarnej i politycznej. Powstanie warszawskie uświadomiło mu, że sojusz Sowieców z aliantami jest bardzo kruchy i wkrótce przestanie istnieć. To skłoniło go do szukania współpracy z Amerykanami.

Reinhard Gehlen był członkiem NSDAP, lecz przede wszystkim, jak większość jego oficerów, zdecydowanym antykomunistą. Jego zdaniem tylko Stany Zjednoczone mogły powstrzymać Sowieców. Miał wówczas 44 lata i szukał dla siebie i swoich ludzi nowego pracodawcy. Dlatego polecił skopiować wywiadowczą dokumentację na temat Sowieców. Miała się ona pomieścić według jego słów w 52 metalowych

skrzyniach, które pod koniec wojny zostały ukryte najpierw w Naumburgu, w centralnych Niemczech. Jednak gdy Gehlen się dowiedział, że Naumburg znajdzie się w sowieckiej strefie okupacyjnej, nakazał wywieźć dokumenty i ukryć je w Alpach, prawdopodobnie w okolicach miejscowości Vallepp, gdzie miała powstać (i rzeczywiście powstała) amerykańska strefa okupacyjna.

Niemiecki wywiad przed końcem wojny przechwycił najważniejsze alianckie dokumenty planistyczne dotyczące okupacji Niemiec, listę nazwisk poszukiwanych zbrodniarzy wojennych, wiedział, że członkowie SS będą automatycznie aresztowani.

Niemcy mieli zaskakująco rozległą wiedzę o kształcie powojennego świata, znali na przykład przybliżoną mapę powojennych granic Polski i przypuszczali, że dojdzie do masowego wysiedlania ludności niemieckiej.

Ludzie z wywiadu pod koniec wojny i po jej zakończeniu pomogli wielu zbrodniarzom wojennym uniknąć sprawiedliwości. Gehlen, wraz z zaufaną grupą oficerów, organizował tak zwane szczyrce trasy, którymi przetrzymywano do Ameryki Południowej i Środkowej zaopatrzone w fałszywe dokumenty zbrodniarzy III Rzeszy. Prawdopodobnie ponad 5 tys. nazistów opuściło w ten sposób Europę i uniknęło procesów sądowych.

W ALPEJSKIM DOMKU

Jak wspomina bliski współpracownik Gehlena i jego następcą w BDN Gerhard Wessel, gdy 28 kwietnia generałowi udało się opuścić budynek Wehrmachtu w Bad Reichenhall, wraz z grupą sześciu wtajemniczonych oficerów ukrył się w domku rybackim nad alpejskim jeziorem Schliersee w Górnej Bawarii. Wcześniej wysłał swoją rodzinę z Legnicy przez Naumburg do Bawarii, aby nie wpadła w ręce Armii Czerwonej. Po kapitulacji Niemiec ukrywali się jeszcze w górach ponad trzy tygodnie.

Gdy sytuacja trochę się uspokoiła i zauważyli, że patrole alianckie zapuszczają się w coraz wyższe rejony Alp, zesłali z gór. Gehlen najpierw zatrzymał się u zaprzyjaźnionej rodziny w miasteczku Miesbach u podnóża Alp. Był tam dwa dni. 22 maja 1945 r. zgłosił się do żołnierzy z 7. Armii Stanów Zjednoczonych, którzy stacjonowali w tej miejscowości. Zażądał spotkania z wyższym dowódcą. Dla władz amerykańskich przygotował specjalne oświadczenie: „Jestem głównodowodzącym Grupy Armii Wschód w kwaterze głównej wojsk niemieckich. Mam do przekazania informacje o najwyższym znaczeniu dla waszego rządu”.

MOCNY ATUT

Początkowo jego apel spotkał się z niewielkim zainteresowaniem ze strony amerykańskiej. W pierwszej kolejności zwerifikowali, czy nie jest on zbrodniarzem wojennym. Później został przewieziony na przesłuchanie do Wörgl i Salzburga. W Willi Pagenstecher w Wiesbaden odbyło się jego spotkanie z gen. bryg. Edwinem L. Sibertem, szefem wywiadu amerykańskich wojsk okupacyjnych. Sibert początkowo nie miał



Fot. Muzeum Powstania Warszawskiego

Gehlen wyciągał racjonalne wnioski z sytuacji militarnej i politycznej. Powstanie warszawskie uświadomiło mu, że sojusz Sowietów z aliantami jest bardzo kruchy i wkrótce przestanie istnieć. To skłoniło go do szukania współpracy z Amerykanami

zamiaru informować swoich przełożonych o tej sprawie, aż uzyska pewność, że zabezpieczone przez Gehlena archiwum jest autentyczne i może się przydać do działań przeciwko Sowietom. Jednak po długich rozmowach z Gehlenem Sibert był pod wrażeniem jego wiedzy na temat sowieckiej armii.

Amerykanie równolegle prowadzili dialog z płk. Hermanem Baunem, szefem antysowieckiego wywiadu z ramienia Abwehry. To skłoniło Gehlena do ujawnienia zawartości wspomnianych 52 skrzyń. Ponadto podał nazwiska kilku oficerów OSS (poprzedniczki CIA), którzy byli potajemnie członkami Komunistycznej Partii USA. Dostarczył także biograficzne szkice wielu czołowych radzieckich przywódców, co skłoniło Amerykanów do wybrania go na osobę odpowiedzialną za przyszłe kontakty wywiadowcze między Niemcami a USA. Wkrótce okazało się, że Gehlen i Sibert mają podobne wizje dotyczące przyszłej współpracy oraz działań Amerykanów wobec Sowietów.

W tym czasie Sowietci domagali się wydania generała razem z aktami, ale Amerykanie nie chcieli spełnić ich żądań, gdyż już wiedzieli, z kim mają do czynienia.

Po przekazaniu ukrytego archiwum Gehlen odzyskał wolność. Od lutego 1946 r. amerykański wywiad zaczął go traktować jako sprzymierzeńca w walce przeciwko komunistom. Gdy był jeszcze wojennym jeńcem, pozwolono mu odszukać swoich współpracowników. Na początek zorganizował 350-osobowy zespół, który był załącznikiem Organizacji Gehlena (Organisation Gehlen), która rozpoczęła działalność po 1946 r.

WYPRAWA DO FORT HUNT

O tym, jak cennym był jeńcem, może świadczyć to, że jeszcze w czasie izolacji został przetransportowany na pokładzie wojskowego samolotu DC-3 do Fort Hunt niedaleko Waszyngtonu. Tam odwiedzali go wysoko postawieni oficerowie wojska, wywiadu oraz doradcy prezydenta Harry'ego Trumana.

Dla Amerykanów Gehlen stał się ważnym źródłem informacji na temat Sowietów i ich potencjału militarnego, gdyż jako jeden z najważniejszych oficerów Hitlera na froncie wschodnim kierował rozległą i dobrze zorganizowaną siatką nazistowskich szpiegów; jej członkami byli nie tylko Niemcy,

lecz też zwerbowani Rosjanie czy Ukraińcy. Generał przekonywał, że wycofujący się na zachód Niemcy zaopatrywali swoich uśpionych agentów w radiostację, a ci agenci mogli być teraz aktywowani.

Jego raporty wskazywały na agresywne zamiary Sowietów i dążenie do osiągnięcia przewagi militarnej. Informacje o możliwej przewadze Armii Czerwonej w rakietowej broni balistycznej wzmocniły czujność Amerykanów i zaostrzyły stosunki pomiędzy wrogimi sobie blokami. Na podstawie tych raportów amerykańscy wojskowi, analitycy z CIA i wywiadu wojskowego (oraz przedstawiciele kompleksu przemysłowo-zbrojeniowego) domagali się od Kongresu zwiększenia budżetu na obronność.

Gehlen powrócił z Fort Hunt do Oberursel w czerwcu 1946 r. Był już przewerbowanym wpływowym agentem, z którym Amerykanie wiązali duże nadzieje.

TAJNE POROZUMIENIE

W maju 1949 r. Amerykanie zawarli z generałem poufne porozumienie. Otrzymał zapewnienie, że jego ludzie będą tworzyć niemiecką organizację wywiadowczą, która nie będzie częścią ich wywiadu. Kiedy powstanie niemiecki rząd, ustalenia z Amerykanami przestaną być wiążące, a służba Gehlena będzie podlegać tylko władzom RFN. Waszyngton chciał mieć pewność, że przyszły zachodniemiecki wywiad będzie blisko współpracował z CIA i bronił amerykańskiej strefy wpływów w Europie. Do tego czasu Gehlen otrzymał zadanie zbierania informacji na temat krajów za żelazną kurtyną. USA zapewniły mu odpowiednie wsparcie w rozwijaniu organizacji i współpracujących z nią siatek szpiegowskich – na początek otrzymał ok. 3,4 mln dol.

Największym zwolennikiem Gehlena był szef CIA Allen Dulles. Amerykanina i Niemca łączyła nienawiść do komunistów, Dulles nazywał Gehlena „genialnym superszpiegiem o umiejętnościach najwyższej klasy”.

Chrztem bojowym ludzi Gehlena miało być przerzucenie agentów do państw bloku wschodniego i utworzenie siatki wywiadowczej na terenie Sowietów. Organizacja szybko się rozwijała i miała duży wpływ na politykę zagraniczną USA w Europie.



POLSKIE WĄTKI

Najważniejsza filia Organizacji Gehlena znajdowała się w Berlinie Zachodnim. Jednym z jej działań był werbunek uchodźców z Polski. Pozyskanym informatorom organizowano przerzut do PRL. W oddziale berlińskim pracowali ludzie z Polski. Kim byli? Zazwyczaj Ślązakami uważającymi się za Niemców lub Niemcami z terenów Śląska, Pomorza, Mazur, którzy znali język polski. Wcześniej należeli do NSDAP, SS, SA, Wehrmachtu lub Hitlerjugend, niektórzy z nich byli zaangażowani w działania organizacji mających na celu przywrócenie granic z 1938 r. Inni byli związani z Mazurskimi Siłami Wyzwolenicznymi – grupą dywersyjną założoną przez Joachima Schubarta.

Siatkę agentów budowano w oparciu o osoby zajmujące się przemysłem, później proponowano im działalność wywiadowczą. Do 1953 r. przerzucanym do Polski agentom dawano zegarki i inne przedmioty przeznaczone do handlu. W razie zatrzymania mieli twierdzić, że zajmują się tylko przemysłem. Zbierano informacje natury wojskowej, ekonomicznej i politycznej. Organizacja Gehlena miała swoich ludzi w portach morskich, gdzie werbowano lub przepytывano polskich marynarzy.

W Polsce agenci kontaktowali się najczęściej z osobami, które pracowały wcześniej dla Abwehry lub były powiązane z niemieckimi instytucjami – wojskiem lub policją. Szpiedzi Gehlena przy werbowaniu współpracowników w Polsce przekonywali, że pracują dla wywiadu rządu emigracyjnego, niektórzy dysponowali fałszywymi dokumentami, które to potwierdzały.

Konkrety. Amerykański autor piszący pod ps. William Torbitt sugerował, że agenci Gehlena, wykorzystując bliskie relacje Niemców z UPA, pomagali w organizacji zasadzki na gen. Karola Świerczewskiego w 1947 r.

NIEMIECKI WYWIAD I PIĘTNO NAZIZMU

Gehlen Org., jak potocznie nazywano agencję, była też odpowiedzialna za szkolenie i obsługiwanie komórek wywiadowczych na całym świecie. Z usług niemieckich agentów korzystały Stany Zjednoczone, Republika Południowej Afryki, Wielka Brytania, Izrael, Francja, Kongo, Tanzania i Afganistan. W ciągu kilku lat organizacja rozrosła się do rozmiarów poważnej służby wywiadowczej, miała kilka tysięcy współpracowników.

W 1956 r., kiedy Niemcy odzyskały suwerenność, została przekształcona w zachodnioniemiecki wywiad. Stała się organem państwowym RFN jako Federalna Służba Informacyjna (Bundesnachrichtendienst, BND). W 1965 r. budżet wywiadu zachodnioniemieckiego ustalono na 68 mln ówczesnych marek (17 mln dolarów).

Gehlen nie był fanatycznym nazistą, lecz doskonale odnajdywał się i funkcjonował w tym systemie. Funkcja, jaką sprawował w armii, powodowała, że zależało mu na przekonywaniu do współpracy i pozyskiwania informacji wywiadowczych, a nie na masowych mordach i torturach. Mimo zarzutów lewicowych mediów, dotyczących odpowiedzialności za śmierć przesłuchiwanego jeńców, nie udowodniono mu zbrodni, za które osobiście byłby odpowiedzialny.

Ale zatrudniał nawet najbardziej obciążonych zbrodniami członków gestapo czy SS. Uważał ich za „fachowców”, zdecydowanych antykomunistów, liczył na ich lojalność. Tego rodzaju polityka kadrowa przyczyniła się do jego wymuszonego odejścia z funkcji szefa wywiadu.

Dlaczego? Bo dawni naziści ze względu na swą przeszłość byli podatni na szantaż i werbowanie przez sowieckie i wschodnioniemieckie służby.

Ostatnim sukcesem, jaki pod kierownictwem Gehlena odnotowała BND, było ostrzeżenie szefa amerykańskiej Centrali Wywiadu Richarda Helmsa, że Izrael pierwszy zaatakuje kraje arabskie w czerwcu 1967 r. Rzeczywiście armia izraelska uderzyła wyprzedzająco na terytorium kontrolowane przez Egipt, rozpoczynając wojnę sześciodniową.

W kwietniu 1968 r. Gehlen został odznaczony Krzyżem Wielkim Orderu Zasługi Republiki Federalnej Niemiec z Gwiazdą i Wstęgą, po czym przeszedł w stan spoczynku.

PRYWATNE ARCHIWUM

Gehlen nie byłby sobą, gdyby nie stworzył potężnego prywatnego archiwum. Przez lata zakładał teczki wpływowym niemieckim politykom. Miał haki na 210 zachodnioniemieckich decydentów, jego archiwum liczyło ponad 10 tys. stron.

Jedną z najdokładniej rozpracowywanych osób był kanclerz Willy Brandt. General miał konserwatywne i antyliberalne poglądy, a szczególną niechęć żywił do SPD i wywodzącego się z tej partii kanclerza Brandta. Uważał go za zdrającą ojczyznę, gdyż podczas wojny działał przeciw Niemcom, współpracując z norweskim ruchem oporu. Bacznie mu się przyglądał, gdy Brandt był jeszcze burmistrzem Berlina Zachodniego. Pisał o nim: „Bardzo ciężko i sumiennie pracuje, ale to wielki karierowicz. Berlińczykom narzucili go alianci”.

Najbardziej istotnym odkryciem wynikającym z analizy materiałów archiwum Gehlena było to, że szef BND bardzo wcześnie umieścił swojego agenta w kierownictwie SPD. Przez wiele lat obserwował organizację, która mogła być, jego zdaniem, bardzo podatna na wpływy sowieckich służb. Doszło do sytuacji, że Willy Brandt, jako minister spraw zagranicznych, był szpiegowany przez zachodnioniemiecką służbę wywiadowczą. Zebrane przez Gehlena materiały na temat Brandta posłużyły do wymuszenia na nim rezygnacji z funkcji kanclerza w maju 1974 r. Informacja o zdemaskowaniu sekretarza kanclerza Güntera Guillaume'a i jego żony jako agentów wschodnioniemieckich została przekazana kierownictwu FDP i SPD oraz samemu Brandtowi. Gehlen prawdopodobnie wiedział, że Guillaume i jego żona byli agentami z NRD już od 1954 r., jednak zachował tę wiedzę dla siebie. BND wykorzystał te informacje 20 lat później, by doprowadzić do upadku Brandta i dokonać zwrotu w polityce zachodnioniemieckiej.

Gehlen zmarł 8 czerwca 1979 r. w bawarskiej miejscowości Berg.

Literatura: R. Gehlen „Sensacyjne wspomnienia szefa wywiadu”, Warszawa 1993. „Polskie podziemie w oczach wroga. Tajny raport dowódcy niemieckiego wywiadu gen. Reinharda Gehlena”, Kraków 2017. T. Kopyś, Początki wywiadu zachodnioniemieckiego oraz jego aktywność w Polsce w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX w., „Aparat Represji w Polsce Ludowej” 2011, nr 1

inPZU.pl



inPZU

– rewolucja w inwestycjach

1 października TFI PZU uruchomiło innowacyjną platformę internetową inPZU. Dzięki niej można szybko i łatwo kupić produkty inwestycyjne. Nigdy wcześniej inwestowanie nie było tak atrakcyjne ze względu na opłaty za zarządzanie funduszami. Na platformie inPZU każdy fundusz ma stałą niską opłatę: 0,5 proc.

Platforma inPZU to przełom i rewolucja na rynku. Dzięki ekspertom PZU do Polski trafiły wreszcie rozwiązania znane na świecie od wielu lat, czyli fundusze pasywne, które obecnie są jednymi z najbardziej cenionych i popularnych rozwiązań inwestycyjnych.

inPZU to proste i intuicyjne narzędzie do pomnażania oszczędności oraz inwestowania w fundusze bez konieczności zakładania rachunku maklerskiego. Jest dostępne dla klientów 24 godziny na dobę, z każdego miejsca i na dowolnym urządzeniu mobilnym.

– Strategia #nowePZU kładzie duży nacisk na innowacyjność w dotarciu do klienta z całą paletą produktów. Jednym ze sposobów jest kanał on-line. Pomysł platformy internetowej inPZU oferującej proste, przystępne i zarazem nowoczesne rozwiązania inwestycyjne idealnie wpisuje się w to, jak Grupa PZU chce obsługiwać swoich klientów teraz i w przyszłości – wyjaśnia Paweł Surówka, prezes PZU.

– Za zarządzanie funduszami w ramach platformy inPZU będziemy pobierać najniższe opłaty na rynku. Wierzę, że dzięki temu inwestowanie i oszczędzanie stanie się w Polsce dużo bardziej powszechne, bo na takie rozwiązania będzie stać wielu Polaków – dodaje Paweł Surówka.

Na inPZU klienci mogą skorzystać z wielu funkcjonalności: porównywać fundusze, definiować cele inwestycyjne, mają też możliwość ich personalizacji. W ciągu kilku minut platforma pozwala wyszukać fundusze oraz oparte na nich gotowe portfele modelowe, a także opłacić zlecenie on-line.

– Inwestowanie za pomocą inPZU jest bardzo korzystne. Koszty są transparentne, nieskomplikowane i atrakcyjne.

Na platformie każdy fundusz ma stałą niską opłatę, która wynosi 0,5 proc. W sprzedaży on-line funduszy inwestycyjnych standardem w Polsce jest brak opłat manipulacyjnych, ale klienci do tej pory płacili wysokie kwoty za zarządzanie. Im większy poziom ryzyka funduszy, tym wyższa opłata. Na inPZU, decydując się nawet na strategię akcyjną, zapłacimy tylko 0,5 proc. rocznie od zgromadzonej sumy – to wartość niespotykana do tej pory na polskim rynku. Podsumowując, inPZU to brak opłat za nabycie, odkupienie czy inne zlecenia, a opłata za zarządzanie jest kilkukrotnie niższa niż w podobnych rozwiązaniach inwestycyjnych. Klienci mogą też w każdej chwili wycofać zgromadzone środki – mówi Marcin Adamczyk, prezes TFI PZU.

Na inPZU stworzone zostały dwie ścieżki sprzedażowe: ścieżka dla początkujących inwestorów, którzy dopiero zaczynają inwestować, oraz tzw. ścieżka ekspercka. Klienci początkujący mogą skorzystać z „pomocnika” inwestycyjnego i wyszukać produkty odpowiadające określonym parametrom. W zależności od preferencji do wyboru mają od jednego do sześciu portfeli modelowych. Klient ekspert może samodzielnie zbudować swój portfel inwestycyjny, wybierając spośród sześciu funduszy indeksowych, od najbardziej bezpiecznych aż po akcyjne.

Fundusze pasywne dążą do jak najdokładniejszego odzwierciedlenia wyniku określonego indeksu. W ofercie TFI PZU, poza funduszem opartym na indeksach polskiej giełdy, znajdują się też fundusze odwzorowujące indeks polskich obligacji i indeksy obligacji rynków rozwiniętych oraz wschodzących, a także akcje rynków rozwiniętych.



„Arctowski”, czyli 14,5 tys. km stąd

Polacy są wśród pierwszych polarników, którzy badali Antarktydę, a dzięki Polskiej Stacji Antarktycznej im. Arctowskiego Polska należy do niewielkiego, elitarnego grona krajów na świecie, które mają prawo decydować o losach tego kontynentu



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

14 grudnia 1911 r. Norweg Roald Amundsen i jego towarzysze pierwsi zdobyli biegun południowy. Pięć tygodni po nich na biegun dotarła ekspedycja brytyjska. Dotarła, lecz nie powróciła.

Roberta Scotta i jego ludzi odnaleziono osiem miesięcy później, zamarzniętych wśród lodowych pustkowi. Ten tragiczny epizod z historii Antarktydy znany jest chyba najlepiej, lepiej niż wcześniejsza wyprawa, w której wzięło udział dwóch Polaków.

Historia Antarktydy – ta pisana przez człowieka – zaczęła się już w starożytności, długo przed tym, zanim przekonano się, że istnieje. Choć nikt jej wówczas nie widział i nie miał zobaczyć przez wiele wieków, przeczuwano, że gdzieś, daleko na południu, musi istnieć wielki ląd. Nazywano go

Terra Australis – Ziemia Południowa (później ta nazwa przypadła Australii) lub antarktikos – leżący naprzeciw Arktyki. Mijały stulecia, a odległy kontynent nadal krył się w mgłach południowego oceanu. Dopiero w 1820 r. członkowie ekspedycji rosyjskiej ujrzeli lody Antarktydy, najzimniejszego kontynentu. Na pierwsze lądowanie trzeba było czekać jeszcze dłużej; udało się to Norwegom w 1895 r. Zaledwie dwa lata później, w 1897 r., wyruszyła ekspedycja, która uwięziona przez lody dokonała pierwszego w dziejach zimowania na Antarktydzie. Pośród



Na antarktycznej Wyspie Króla Jerzego znajduje się grób naszego słynnego przyrodnika Włodzimierza Pu-chalskiego, który zmarł tam w 1979 r. Obok stacji znajduje się kolonia lęgowa pingwinów Adeli, a na brzeg wypelzają wielkie jak głaz słonie morskie południowe.

JEDYNY TAKI KONTYNET

Na mocy międzynarodowych porozumień na Antarktydzie nie wolno lokować baz wojskowych, dokonywać prób jądrowych, zanieczyszczać jej ani eksploatować bogactw geologicznych. Można ją natomiast badać i chronić ku wspólnemu pożytkowi. Jest jedynym kontynentem, na którym – poza stacjami naukowymi – nie mieszkają ludzie. Co więcej, nie zamieszkuje jej żaden lądowy kręgowiec, jedynie kilka gatunków małych skoczogonków i owadów. Wyjątkiem są ptaki, w tym wiele gatunków pingwinów stanowiących wyłączną osobliwość półkuli południowej (morsy czy niedźwiedzie polarne to mieszkańcy przeciwnego, północnego bieguna). Bardziej gościnne od lodowych pustkowi są zimne, antarktyczne wody, zamieszkiwane przez należące do fok nieobliczalne lamparty morskie i ryby antary – wyposażone w zapobiegające zamarzaniu białko dwumetrowe drapieżniki, na które z kolei polują mało dotychczas znane nauce kałamarnice kolosalne Mesonychoteuthis hamiltoni – głownogi, których rozmiarów możemy się tylko domyślać.

W 1975 r. na Antarktydę wyruszyła pierwsza samodzielna polska ekspedycja badawcza. Dwa lata później, w styczniu 1977 r., ruszyła druga – dwa polskie statki m/s Zabrze i m/t Dalmor dopłynęły do wybrzeży Antarktydy – w celu założenia stacji badawczej. Jej lokalizacja nie była jeszcze dokładnie ustalona, to zadanie należało do członków wyprawy. Po rekonesansie (zrezygnowano m.in. z dogodnego miejsca na wyspie Greenwich, gdyż zajęte było już przez kilkudziesięciotysięczną grupę pingwinów) wybrano Wyspę Króla Jerzego. 26 lutego 1977 r. całoroczna stacja oficjalnie rozpoczęła działalność, zawiadamiając o tym świat telegramem

w pięciu językach, a Polska stała się 13., równoprawnym uczestnikiem Traktatu Antarktycznego.

MARZENIE O POMIDORACH

Jak wygląda życie w polskiej stacji, dowiedziałem się dzięki informacjom prosto z „Arctowskiego”, przesłanym mimo trudności z łącznością przez Zuzannę Świrad – oceanografa 43. wyprawy, która mimo wielu obowiązków pewnego grudniowego popołudnia, kilka dni temu, gdy silny wiatr uniemożliwiał wyjście na zewnątrz stacji, odpowiedziała na moje pytania.

Skąd na stacji jest energia elektryczna? Jak wygląda komunikacja telefoniczna, radiowa, internetowa?

Zuzanna Świrad: Na stacji mamy agregaty prądotwórcze, więc sami produkujemy sobie prąd. Komunikacja telefoniczna i internetowa jest przez łącza satelitarne. Działa dobrze. Można dzwonić do Polski, a internet zazwyczaj działa szybko.

Jak wygląda logistyka stacji? Skąd i w jakich terminach przyjeżdża aprowizacja? Jak stacja zaopatruje się w paliwo?

Raz w roku, pod koniec października, przypluwa statek (do tej pory rosyjski Polar Pioneer) z zaopatrzeniem z Polski. Wtedy następuje zmiana ekipy zimującej na stacji. Rejs Gdynia–„Arctowski” trwa 40 dni. Żywność, części zamiennie do sprzętów i artykuły gospodarcze dostarczane są z Polski. Statek zatrzymuje się w Argentynie (Mar del Plata), gdzie dodatkowo zaopatrujemy się w świeże owoce i warzywa na pierwszych kilka tygodni. Niewielkie zaopatrzenie w produkty spożywcze następuje też pod koniec marca (zazwyczaj są to produkty z Falklandów), kiedy odpływa ze stacji ekipa półroczna (tzw. letnicy). Paliwo przepompowywane jest ze statku do zbiornika ulokowanego ok. 1 km od budynków stacyjnych.

Jak wygląda strój do badań terenowych? Czy w odzieży wykorzystuje się nowoczesne tkaniny? Ile warstw

tych, którzy spędzili długie, ciemne i zabójczo zimne miesiące pośród antarktycznych lodowców, było dwóch Polaków: meteorolog Antoni Dobrowolski i Henryk Arctowski – geolog, glaciolog i klimatolog.

Udział Arctowskiego w poznaniu Antarktyki i późniejsza jego praca naukowa były i są tak ważne, że do dziś przez amerykańską Narodową Akademię Nauk przyznawany jest Medal Arctowskiego. Nieprzerwanie też od 1977 r. na Antarktydzie, na Wyspie Króla Jerzego u wybrzeży Zatoki Admiralicji, działa całoroczna polska stacja badawcza im. Henryka Arctowskiego, przyczyniająca się do poznania Antarktydy, jej roli w ekosystemie Ziemi, wpływu na oceany, prądy morskie i klimat, jej unikalnej flory i fauny, geologii oraz zapisanej w lodach historii naszej planety.



Fot. Shutterstock

W jakich ma na sobie polarnik badający Antarktydę?

Typowy strój terenowy to: bielizna termoaktywna, kilka par skarpet, polar (lub kurtka puchowa), wewnętrzne spodnie polarowe, nieprzemakalna kurtka i spodnie z Goreteksu. Najlepszym obuwem w terenie są kalosze z grubymi wełnianymi wkładkami. Do tego rękawiczki (cienkie wewnętrzne oraz zewnętrzne – z Goreteksu lub puchowe), buff i czapka z windstoperem. Sprawdza się też kominiarka lub maska. Na oczy albo gogle, albo okulary przeciwsłoneczne z wysokim filtrem UV i krytymi bokami.

Jak wygląda styczeń na Antarktydzie?

Styczeń jest najcieplejszym miesiącem z temperaturami powietrza dochodzącymi do 10°C. Do tego czasu śnieg stopnieje i zalega jedynie w miejscach, do których nie dochodzi słońce (np. żłoby na stokach górskich). Do tego najbardziej kolorowy miesiąc: zielone mchy, żółte i pomarańczowe porosty, brązowe moreny, białe lodowce. W styczniu jest na stacji najwięcej naukowców, którzy przybywają realizować swoje projekty

„Jeśli mocno wieje, nie można się ruszyć poza główny budynek stacji nawet przez kilka tygodni. Wiatr jest tak mocny, że wiele osób śpi w stoperach; ma się wrażenie, że podłoga się unosi, a dach zaraz odleci”

badawcze, odwiedza nas też na kilka godzin sporo statków turystycznych. Jest to więc dla nas miesiąc radości, w którym dużo się dzieje.

Najciekawsze, najdonioślejsze obserwacje zoologiczne ostatnich lat?

Największym osiągnięciem zoologicznym stacji jest ciągły monitoring ekologiczny prowadzony od czterech dekad, dzięki któremu możemy prześledzić, jak zmienia się populacja ptaków (szczególnie pingwinów – Adeli, białobrewych i maskowych) oraz ssaków płetwonogich (słonie morskie,

foki Weddella, uchatki, krabojady, lamparty morskie) z roku na rok. Dzięki tej ciągłości stacja odgrywa ogromną rolę w śledzeniu globalnych zmian populacji zwierząt, co oczywiście łączy się ze zmianami klimatycznymi obszarów antarktycznych i populacją kryla, którego normy odłowów ustalone są z uwzględnieniem liczebności populacji gatunków wskaźnikowych monitorowanych m.in. na naszej stacji. Ciekawym odkryciem była obserwacja dwóch pingwinów królewskich na 41. wyprawie (dwa lata temu), które złożyły jajo w okolicy letniej bazy na Lions Rump, gdzie przez sześć miesięcy pracuje dwóch obserwatorów ekologicznych. W tych okolicach pingwiny królewskie jedynie „zalatują” i praktycznie nigdy nie zakładają gniazd. Był to więc ewenement.

Co w ostatnich latach można uznać za największe osiągnięcie naszej stacji?

Prowadzenie najdłuższego monitoringu ekologicznego na Antarktyce. Ponadto dzięki temu, że stacja działa całorocznie, badania hydrologiczne (badanie rumowiska wleczanego przez strumienie wypływające spod

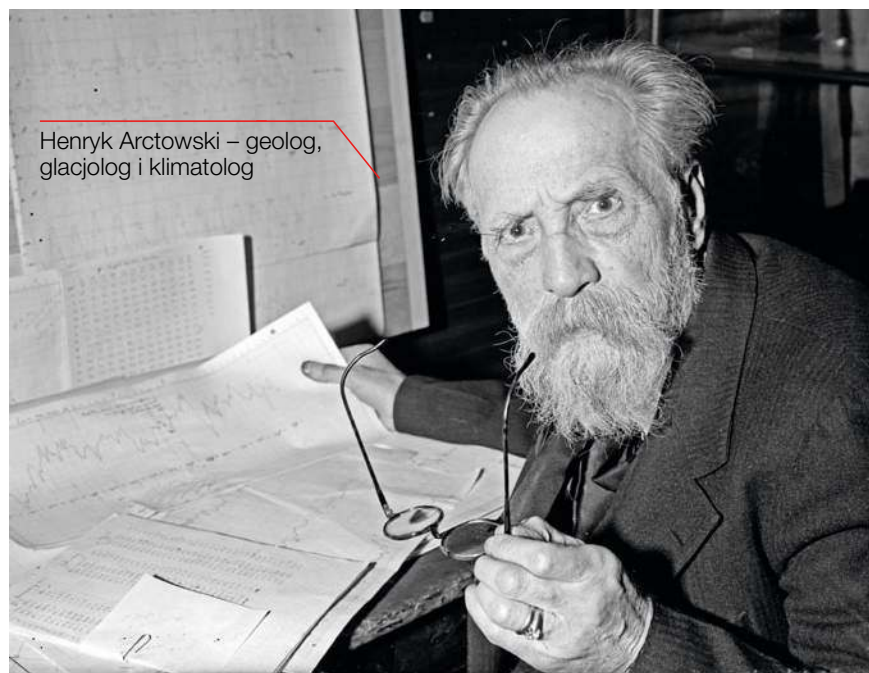
lodowców) prowadzone są przez cały sezon letni (średnio od listopada do marca). To długość pomiarów praktycznie niespotykana gdzie indziej. Jednym z najdonioślejszych projektów naukowych realizowanych na stacji w ostatnich latach był projekt MONICA prowadzony przez Instytut Biochemii i Biofizyki PAN, w którym użyto samolotów bezzałogowych do liczenia gniazd pingwinów i określenia obszaru zajmowanego przez poszczególne grupy lęgowe (czyli zwarte podgrupy kolonii).

Jakie są największe wyzwania, problemy stacji?

Największym wyzwaniem jest logistyka transportowa. Stację zaopatruje się jedynie raz w roku i oprócz podstawowych produktów, które przywozi się rokrocznie (żywność, artykuły gospodarcze), trzeba dostarczyć części zamienne do uszkodzonego sprzętu oraz przewidzieć, co będzie potrzebne, jeśli cokolwiek ulegnie uszkodzeniu w ciągu następnego roku. Oprócz tego problemem są wszelkie wyzwania techniczne. Infrastruktura stacji jest bardzo rozbudowana, a warunki pogodowe są szczególnie mało sprzyjające. Pozostawienie czegośkolwiek na zewnątrz grozi tym, że ta rzecz odleci albo rozbija ją latające na wietrze kamienie. W sytuacjach awaryjnych musimy sprawnie rozwiązać problem techniczny, a jeśli akurat wieje wiatr 30–40 m/s, jest to bardzo trudne.

Co dla polarników jest najbardziej uciążliwe w antarktycznej codzienności, a co wynagradza wyrzeczenia?

Uciążliwy jest przede wszystkim brak swobody. Jeśli mocno wieje, nie można się ruszyć poza główny budynek stacji nawet przez kilka tygodni. Wiatr jest tak mocny, że wiele osób śpi w stoperach; ma się wrażenie, że podłoga się unosi, a dach zaraz odleci. Kamyki uderzają o szyby. Nie można iść do knajpy, na zakupy, do muzeum czy do teatru. Marzymy o świeżych warzywach i owocach – szczególnie o pomidorach i awokado. Wynagradzają nam to przepiękne widoki, spo-



Henryk Arctowski – geolog, glaciolog i klimatolog

Pol. Library of Congress, Prints & Photographs Division, photograph by Harris & Ewing, LC-DIG-hrc-28838

kój i głębokie więzi, jakie rodzą się między polarnikami – w takich warunkach musimy się trzymać razem.

NIE MOŻE NAS TU ZABRAKNAĆ

Podpisany 1 grudnia 1959 r. w Waszyngtonie Traktat Antarktyczny określa status i przyszłość Antarktydy. Był to pierwszy dokument, który pozostawiając Antarktydę poza zakusami militarnymi, ograniczył zimnowojenne zbrojenia (wśród 12 sygnatariuszy były USA i ZSRS). Polska przystąpiła do traktatu bardzo szybko, już w 1961 r., a swoją stację zbudowała – zyskując tym prawo głosu – w roku 1977, długo przed tym, zanim udało się to chociażby Chinom, Indiom, Niemcom, Szwecji, Finlandii, Włochom czy Korei Południowej. Zrealizowano w ten sposób testament Arctowskiego, który poświęcił życie nie tylko badaniom polarnym, lecz także uświadamianiu konieczności i ponadczasowego znaczenia stałej polskiej obecności na Antarktydzie.

Bliskie są czasy, kiedy traktat z ważnego, lecz nieznanego szerzej dokumentu, stanie się jednym z najważniejszych porozumień na świecie. Antarktyda ma wielki, niezbadany do końca potencjał, a jej znaczenie dla reszty świata będzie coraz bardziej

rosnąć. Dotychczas traktat podpisały 53 państwa, w tym największe potęgi świata. Jednak tylko 29 spośród nich ma prawo głosu co do przyszłości Antarktydy. Wśród tych wyróżnionych, którzy decydują o losach kontynentu i nim współrządzą, jest Polska.

Warunkiem niezbędnym do posiadania prawa głosu jest własna stacja badawcza. My taką mamy. Dlatego tak ważne jest jej utrzymanie i stałe unowocześnianie. Zagrożona przez wichry i sztormy polska stacja doczekała się w końcu dofinansowania z Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego na modernizację, w wysokości 88 mln zł.

Jak mówił Henryk Arctowski: „Obecność Polaków w Antarktyce postawi nas w rzędzie państw kulturalnych”. Jeżeli wziąć pod uwagę rosnące znaczenie badań antarktycznych i potencjał tego kontynentu przyszłości, można sparafrazować Arctowskiego i stwierdzić bez żadnej przesady, że obecność polskich polarników na Antarktydzie stawia nas w rzędzie państw, które wkrótce mogą decydować o losach świata, a już teraz mogą się przyczynić do poznania Antarktydy, jej ochrony i zachowania niezwyklej roli dla całej planety. Dlatego nigdy, pod żadnym pozorem, nie możemy dopuścić do tego, aby stacja „Arctowski” przestała istnieć. 



TADEUSZ BRZOZOWSKI

Do zambijskiego doktora Kabwe Muteby poszedłem przed trzema laty ze względu na bezsenność. Powodowały ją nietoperze, a doktor miał właśnie się z nimi uporać. Te czarne stworzenia upodobały sobie rosnące na moim ogrodzie drzewa mango. W dzień mi nie przeszkadzały, ale w nocy wydawały denerwujące, głośne piski, przypominające piłowanie metalu. Najpierw myślałem, że to sąsiad w nocy prowadzi jakąś manufakturę, ale szybko mi wyjaśniono, iż sąsiadką jest poważna sędzina, która z pewnością cię zajmuje się tylko rozstrzyganiem prawnych sporów. Wkrótce z pomocą latarki i mojego przyjaciela Adama, który właśnie przyleciał do mnie z Polski, zidentyfikowałem źródło hałasu. To były nietoperze. Adam znalazł sposób – przeraźliwy gwizd uciszył latające ssaki, ale tylko chwilowo. Rano zapytałem ogrodnika Johna, czy wie, jak temu zaradzić. – Tak, zabiję je – powiedział bez wahania. To był kiepski pomysł. Jego kolega zaproponował, że zetnie wszystkie drzewa w ogrodzie. Ten też odrzuciłem. – To chociaż rozpalę pod nimi ogniska, nie przylecą – nalegał. Tego też nie mogłem zaakceptować. Zrezygnowany poprosiłem o pomoc szefa firmy, która raz w miesiącu płoszy węże i tępi w ogrodzie insekty. Ben porozwieszał na gałęziach drzew aluminiowe listki i kilka kolorowych balonów. Powiedział, że na jakiś czas powinno pomóc, ale o kompleksowe – co podkreślił – rozwiązanie problemu polecił poprosić doktora Mutebę.

Doktor – tak zaczął się tytułować pan Muteba – powiedział, że to drobnostka i za 10 dol. dał mi kość królika, którą kazał zawiesić na opanowanym przez nietoperze drzewie. Wydałem 10 dol., nietoperzy się nie pozbyłem, ale dowiedziałem się, że doktor za pomocą podobnych specyfików leczy nieczulność, malarię, a nawet HIV.

W uścisku

Trudno w to uwierzyć, ale w XXI w. istnieją na świecie obozy dla czarownic, a państwowe uczelnie otwierają magisterskie studia z czarów

CZARY-MARY PRZY BRAMCE

Afrykańskie miasta pełne są ogłoszeń zachęcających do odwiedzenia szamana. Szacuje się, że w Afryce na jednego konwencjonalnego lekarza przypada 100 niekonwencjonalnych. Szamanizm, wiara w złe moce, czarownice, wudu, juju i całe mnóstwo innych przesądów krępują ten kontynent i obok biedy oraz korupcji są istotnym problemem ograniczającym jego rozwój. Wbrew zaklinaniom białych etnografów mówiących, że przesady stanowią o afrykańskiej kulturze i tożsamości.

Kiedy Ghana w 1957 r. uzyskała niepodległość, wywołała nie tylko wielką

falę dekolonizacji, lecz również dyskusję o zjednoczeniu kontynentu na kształt rodzącej się wówczas Unii Europejskiej. Dekolonizacja zakończyła się, dyskusja trwa, zmieniają się jedynie przywódcy, na nowo ją rozpalający. – Dzisiaj Kenia, Etiopia i Rwanda to najszybciej rozwijające się gospodarki naszego kontynentu, z wielkimi przywódczymi aspiracjami. Każda ma oczywiście swoje problemy, ale wszystkie zmagają się z jednym, wspólnym: zabobonami – mówi Charles Edward Minega, profesor prawa w Mozambiku i wielki rzecznik zjednoczenia Afryki. – Jak trudne to pole, podam ci przykład właśnie z Rwandy i Kenii – ciągnie Charles. – Dwa czy trzy lata

magii



Foto: Shutterstock

temu w Rwandzie, która z kraju potwornej wojny domowej przekształca się szybko w nowoczesne państwo, trwał mecz piłki nożnej emitowany przez telewizyjne stacje. Wiadomo, w Afryce każdy mecz to ważne wydarzenie. W pewnym momencie napastnik jednej z drużyn podbiega do bramki przeciwnika i robi jakiś dziwny gest przy słupku. Na boisku powstaje zamieszanie, sędzia – nie wiadomo w zasadzie z jakiego powodu – daje piłkarzowi żółtą kartkę. Mija kilka minut i ten chłopak strzela gola. Co robi rwandyjska federacja piłkarska? Ogłasza po meczu, że daleka jest od wiary w magię, bo nie została ona udowodniona, ale każdy zawodnik czy działacz,

który będzie jej używał, zostanie ukarany grzywną kilkuset dolarów.

Mnie ta historia rozbawiła, ale Charles był oburzony. Potwierdzam natomiast jego obserwację o szybkim rozwoju Rwandy. Kraj szokuje już po wyjściu z samolotu. Lotniska w Kigali nie można opuścić, jeśli ma się w ręku foliową torbę. Trzeba ją zostawić w koszu, a zawartość przepakować. W samym mieście też pełna dbałość o środowisko. W sklepach nie ma jednorazowych ani żadnych foliowych worków, produkty pakuje się do toreb papierowych. Rwanda od lat prowadzi z USA wojnę handlową, bo – mimo gróźb – nie chce przyjmować używanej odzieży, chroniąc rodzimy przemysł. Tutaj Afryka

jest bardzo czysta, na ulicy nie ma ani jednego papierka. To efekt zinstytucjonalizowanej soboty poświęconej cywilizacji społecznej. Coś, co dobrze było znane w Polsce socjalistycznej.

Niepokój wzbudza jednak brak na ulicy bezdomnych, żebraków, prostytutek i charakterystycznych dla reszty Afryki band włóczących się dzieci. Za tą czystością stoi policja, która przekwatarowała ludzi ulicy do obozów rehabilitacyjnych. – No tak, wieści zza murów zapewne nie są radosne. Gdy następnym razem będziesz w Rwandzie, wybierz się do Kibungu, na południe, zobaczysz inne oblicze tego kraju, z długimi kolejkami do magów i czarowników, którzy obiecują kulałym, że jeszcze pobiegają – Charles przerywa mi tymi słowami zachwycanie się Rwandą i przechodzi do Kenii. – Są dumni z dobrej konstytucji. Cokolwiek skrytykujesz, mówią: „Ale mamy konstytucję i będzie dobrze”. Owszem, prą w gospodarce jak lokomotywa, ale z drugiej strony w Kisii i Malindi linczuje się stare kobiety, bo ktoś oskarżył je, że mają złe moce i rzucają urok na ludzi. Rząd ma tego świadomość, ma świadomość, że konstytucja będzie martwa, a gospodarka ułomna, jeśli nie wypłeni się tych irracjonalnych bzdur masowym dostępem do edukacji. Bo ludzie zawsze będą chcieli iść na skróty i w trosce o swój biznes czy zdrowie zrobić, co poleci im szaman, którego chyba w przypływie szaleństwa nazywają lekarzem.

DESZCZ ZA PIĘĆ KUR

Ta wzmianka o Kenii przypominała mi rozmowę, w której uczestniczyłem niegdyś w Lusace, w domu Gudrun, wówczas pracującej w niemieckiej ambasadzie w Zambii. Gościem Gudrun był też Helmut, specjalista od rolnictwa. Powiedział, że przed laty prowadził w Kenii uprawę jakichś bardzo wrażliwych na zmianę pogody roślin. – Była pora deszczowa, ale bez deszczu ziemia była wysuszona, bez wody nasz eksperyment szybko zamienił się w porażkę. Byłśmy zrozpaczeni. Pewnego dnia jakiś miejscowy pracownik przyprowadził tutejszego czarownika. Wyglądał zwyczajnie, jak rolnik oderwany od pracy. Powiedział, że jeśli damy mu pięć kur,



między 17.00 a 19.00 spadnie deszcz. Daliśmy mu kury, odciął jednej łeb, skropił jej krwią ziemię, zabrał pozostałe ptaki i odszedł. O 17.00 spadł deszcz – snuł opowieść Helmut. Kiedy spojrzałem na niego, chyba z głupią miną, powiedział spokojnie i bez emocji: – Deszcz padał przez dwie godziny, tyle widziałem.

Charles, gdy mu o tym wspomniałem, zniecierpliwiał się: – To nie ma sensu, to poważna sprawa, trzeba z tym walczyć wszelkimi sposobami, bo czary to nie jest żadna afrykańska atrakcja, tutaj trzeba wielkich inwestycji, a nie bajania.

Jeszcze bardziej zdecydowany w krytyce zabobonów jest Wilfried N'Sonde, nagradzany w Europie pisarz z Kongo-Brazzaville, którego spotkałem, gdy objeżdżał Afrykę, promując swą najnowszą książkę „Un océan, deux mers, trois continent”. Wilfried twardo stąpa po ziemi, literackie sukcesy nie zawróciły mu w głowie, oprócz pisania poświęca się pracy z trudną berlińską młodzieżą.

– Mam serdecznie dość kraju, w którym się urodziłem, nic tam nie działa, nawet hotelowe kible i umywalki. Nie złorzeczę na całą Afrykę, bo w wielu miejscach możesz się czuć jak w Europie, ale absurdów, sprzeczności i tabu jest tu na pewno więcej niż gdzie indziej. O tym jest m.in. moja książka, o historii, o której Afrykanie nie chcą pamiętać i nie pozwalają nikomu mówić, o sprzedawaniu czarnych niewolników przez czarnych handlarzy. Pytasz o przesąd, pełno ich, jak wszędzie. Mnie osobiście rozwścieczyły masowe protesty przeciwko jedynej chyba wartościowej instytucji w Brazzaville – odwiedzanemu przez miliony turystów muzeum Pierre Savorgnan de Brazza. To miejsce funkcjonuje już kilkanaście lat, a ludzie wciąż krzyczą, że odbywają się tam sabaty, bo człowiek, którego nosi imię, był ponoć masonem. Teraz masoni nocami zbierają się tam, odpowiadają czarne msze, by szkodzić Afrykanom. Czarno to ja widzę przyszłość tego biednego kontynentu.

Fauzia jest doktorem biologii z Ghany – która do trzech wymienionych przez Charlesa błyszczących gospodarek Afryki dodaje swoją ojczyznę – i mówi

o fatalnych, zwłaszcza dla kobiet, skutkach przesądów. – Wiara w istnienie czarownic jest wciąż powszechna w wielu regionach Ghany. Chyba już każdy słyszał o obozie dla czarownic w Gambaga, gdzie od setek lat do dzisiaj zsyłane są kobiety oskarżone o czary. Ale takich obozów jest tam więcej. Mnie samej trudno uwierzyć, że to dzieje się naprawdę, że skazuje się kobietę na wygnanie, bo ktoś we śnie zobaczył ją, jak czyni czary. Co najgorsze w Ghanie, każdy wie, że zawsze za taką banicją stoi rodzina, która pozbywa się ciężaru. W obozach są też dzieci – mówi Fauzi, która sama spodziewa się dziecka, robi się jej przykro i zmienia temat.

Wyglądał jak rolnik oderwany od pracy. Powiedział, że jeśli damy mu pięć kur, między 17.00 a 19.00 spadnie deszcz. Daliśmy mu kury, odciął jednej łeb, skropił ziemię jej krwią, zabrał pozostałe ptaki i odszedł. O 17.00 spadł deszcz

Mnie przypominają się podobne praktyki w Zambii, gdzie po śmierci męża jego rodzina oskarża nie lubianą bądź zamożną wdowę o to, że użyła przeciwko niemu czarów. Majątek zostaje w rodzinie, kobieta trafia do więzienia. Wiele innych ma mniej szczęścia. Każdego roku w Zambii ginie w samosądach kilkadziesiąt starszych kobiet, zwykle oskarżanych przez doktorów takich jak pan Muteba o to, że czarami zabiły sąsiada czy członka rodziny. Powód jest taki sam jak w Ghanie – starszy, zniechęcony człowiek jest ciężarem dla reszty.

– U nas można śmiało mówić o polowaniu na czarownice. Ale nie wszyscy to rozumieją. Nasza pani minister od szkolnictwa wyższego, Nkandu Luo, w ubiegłym roku rzuciła pomysł, aby zambijski uniwersytet otworzył ka-

tedrę uczącą czarów. Byłem jednym z tych, którzy wzięli to za żart, pani minister ma doktorat z mikrobiologii. Ale apel podchwyciła organizacja UNESCO i dała naszemu uniwersytetowi w Lusace 340 tys. dol. na uczenie czarów, a my tu potrzebujemy tysięcy zwykłych nauczycieli, którzy umieją pisać i czytać – wciąż z niedowierzaniem mówi mi mój zambijski przyjaciel Mwape Kaunda, z którym niegdyś w ramach wspólnego projektu odwiedzaliśmy szkoły na pograniczu z Malawi. Ludzie, którzy sami wybudowali szkoły, utrzymują nauczyciela wybranego z własnej niewyedukowanej społeczności. Kiedy przyjechalismy, byli zdruzgotani, że nie przywieźliśmy im pana z miasta, który będzie uczył ich dzieci.

Zambia nie jest odosobniona. Tytuł magistra czarów będzie można wkrótce uzyskać na uczelniach Republiki Południowej Afryki, kraju, w którym rocznie policja rejestruje 60 tys. gwałtów na dzieciach, w większości przypadków związanych z mitem, że seks z nieletnim chroni przed HIV. – Gwałcą kilkuletnie dzieci, często grupowo. Niektóre dziewczynki tego nie przeżywają, większość zostaje zarażona wirusem. Mamy najwięcej na świecie nosicieli HIV i największą liczbę gwałtów, do których dochodzi w będących poza jakąkolwiek kontrolą przeludnionych slumsach i niemal codziennie w szkołach, gdzie gwałcicielami są ci, którym rodzice oddają dzieci pod opiekę. Do tego dochodzi niewyobrażalne dla ciebie zjawisko handlu ludzkimi organami używanymi przez tych czarowników, u nas nazywają ich muti, a powinni nazywać zbrodniarzami. Przez lata sprowadzali te organy – a najbardziej poszukiwane są dziecięce – do RPA z sąsiedniego Suazi, gdzie handlował nimi tamtejszy szpital, ale często dla tych organów ludzi się po prostu zabija – powiedziała mi Mayore, która w Durbanie pracuje w Centrum Praw Dziecka. – Tak, Afryka powinna się zjednoczyć, ale najpierw przeciwko takiemu prymitywizmowi i bestialstwu! – mocno zdenerwowana kończy rozmowę.



*Od prezentów ważniejszy jest czas,
który jesteśmy w stanie dać drugiemu
człowiekowi. Trudne? Owszem,
ale satysfakcja jest ogromna*

Fot. M. Czajko

Drużyna Marzeń

Ta wyprawa od początku się kurczyła. Najpierw miało być 27 osób. Potem świat obiegła informacja, że Rosjanie znów wtargnęli na Ukrainę. Co z tego, że z Kerczu, gdzie uprowadzono marynarzy, do Lwowa, gdzie mieliśmy jechać, jest w linii prostej 1050 km. Gdy pada słowo: wojna, wyobraźnia pracuje inaczej. Odpadło kilku chętnych. Wreszcie z mediów dowiedzieliśmy się, że za naszą wschodnią granicą wybuchła epidemia odry. Niby wszyscy zaszczepieni, niby nie ma zagrożenia, ale... znów kilka osób mniej. – Zostali najodważniejsi! – żartowaliśmy w busie, który wyjechał z Lubartowa, zabierając ostatecznie 11 osób. Oczywiście bez cienia żalu do tych, którzy zrezygnowali, bo dobroczynność tylko wtedy ma sens, gdy jest niewymuszona. Drużyna Marzeń po raz kolejny wyruszyła z pomocą, nie tylko materialną.



MARCIN WIKŁO

CO DAJE OD SIEBIE?

Adam i Teresa są pierwszy raz, pojechali, bo namówiła ich koleżanka Ewa. – Właściwie wiedziałem niewiele. Że jedziemy z jakimiś paczkami, że to jakiś cel charytatywny, odwiedźmy dom starców – mówi Adam, lekko zakłopotany niedoszły lotnik wojskowy. Właściwie pojechał w ciemno. Po krótkim czasie zorientował się, że to nie jest zwykła wycieczka, że tutaj trzeba dać od siebie naprawdę wiele. – Ludzie niedołęzni, w podeszłym wieku. I ta bieda... to bardzo boli – opowiada mężczyzna.

Rozmawiamy w drodze powrotnej, która wygląda zupełnie inaczej niż jazda do Lwowa. Każdy ma już swój bagaż doświadczeń, wspomnień, uczuć i obrazów przed oczami, których pewnie nigdy nie zapomni. Czasem doznania były tak silne, że trudno je ubrać w słowa.



Mirek na co dzień pracuje w Anglii, miał jechać z kolegą, ostatecznie kolega zrezygnował, a on pojechał: – Pan, u którego byłem z podarunkami, żyje w strasznych warunkach. Dawno czegoś takiego nie widziałem, chyba nigdy... – opowiada z trudem. Zamyśla się, wciąż ma przed oczami upadającą chałupkę w podlowskiej wsi i obłożnie chorego pana Jana, którego łóżko stało się dalekim od higieny barłogiem.

Choć nie wszyscy chcą o tym mówić, to przez te trzy dni dowiedzieliśmy się też czegoś o sobie. – Dobrze jest pomyśleć o innych ludziach tak po prostu. Że potrzebują różnego rodzaju wsparcia, czasem chcą, żeby ich posłuchać. Tylko tyle i aż tyle. W moim otoczeniu, a mieszkam i pracuję w Warszawie, ta umiejętność prawie zaniknęła – mówi Tomek, fotografik, który z Drużyną Marzeń jest trzeci lub czwarty raz. Ewa natomiast dodaje, że te wyjazdy ją wzmacniają. – Jestem twardsza, choć oczywiście te obrazy we mnie zostają i je przeżywam – mówi. Wraz z Dorotą były u samotnej matki, która w skrajnej nędzy wychowuje dwie córki. – Każdy wyjazd przewartościowuje moje życie i uczy mnie pokory. A co daję od siebie? Swój czas i uśmiech – dodaje, choć w kącie oka pojawia się łza.

AŻ TAKA BIEDA

Najpierw jedziemy do Rudek, to powiatowe 5-tysięczne miasteczko o 50 km oddalone na południowy zachód od Lwowa. Jest tutaj polska parafia pw. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, to jednocześnie sanktuarium Matki Boskiej Rudeckiej, za której wstawiennictwem odnotowano już kilka cudów. Proboszcz Jerzy Wasylenko jest Ukraińcem, ale doskonale mówi po polsku, z pasją opowiada o kościele, w którego krypcie pochowany jest Aleksander hrabia Fredro. Ksiądz przygotował listę najbardziej potrzebujących dziecięciu osób, które dzisiaj odwiedzimy. Dzielimy się na grupy i jedziemy. Wiemy tylko, że to Polacy, często samotni, bardzo biedni. A na wsi ta bieda jest dużo bardziej ukryta, choć, jak mamy się przekonać, o wiele bardziej dotkliwa niż w mieście.

– Babcia Kornelka! Babcia Kornelka! – ksiądz krzyczy donośnie, stukając jednocześnie w szybę nieotynkowanego domu. Nikt nie otwiera. Dziwne, bo wie, że mamy przyjechać. Telefon na plebanię, jak dawno temu babcia wyszła? Do domu ma co prawda ponad pół godziny piechotą i idzie się przez zaśnieżone wiejskie drogi, ale powinna już być. Okazuje się, że... czeka na nas w kruchcie kościoła. W tajemnicy powiedziała wikariuszowi, że trochę się wstydzi biedy w domu i dlatego woli z nami porozmawiać w salce katechetycznej. Paczka z prezentami jest dla niej mniej ważna, choć w domu przyda się wszystko. Chce mówić, mówić i mówić... Opowiada o ojcu, który pomagał budować kościół, braciach „wysokich jak jesiony” i poprzednim proboszczu, z którym bardzo się ludzie tutaj żyli. Trudno jej przerwać. Jest też historia o „stryjeczku”, którego zamordowano w Katyniu. – Ja się

czuję winna katastrofy smoleńskiej – mówi nagle, zaskakując nas kompletnie. – Tak bardzo modliłam się, by prezydent Lech Kaczyński mógł upamiętnić tych pomordowanych na rosyjskiej ziemi i co z tego wyszło?

Siostra Maksymilia przyjmuje nas w swoim domu przy parafii. Przygotowuje obiad dla wolontariuszy. – Jaka to radość, kiedy przyjeżdżacie. Pomoc jest konieczna, staramy się. Są rodziny, z którymi jesteśmy w stałym kontakcie. Z jednej strony może aż takiej biedy nie widać, ale wczoraj rozmawiałam z jedną panią i ona wprost powiedziała mi, że nie ma na chleb – siostrze łamie się głos. Zastanawiamy się wspólnie, co to właściwie znaczy „aż taka bieda”? Rozmawiamy o parafianach, jest ich 400 osób, ponad 350 to Polacy. Większość z nich z dumą się do tego przyznaje, choć okolice Lwowa – jak słyszymy – „przeziąknięte są banderyzmem” i życie obok siebie staje się coraz trudniejsze.

Nasza grupa wraca na plebanię. W większości jest zdruzgotana. Trudno od razu rozmawiać. Ewa opowiada o 94-letniej pani, która mieszka sama. – Nie radzi sobie w domu. Trudno jej sprzątać, ale tak bardzo chciała nas przyjąć. Sama jest chora, a wcześniej pochowała już sześcioro dzieci. Chciała nas zatrzymać na dłużej, poopowiadać, co tutaj się dzieje. Tak bardzo chciała z kimś porozmawiać, po prostu nie być sama – mówi Ewa.

ODNALEZIENIE STASIA

Do domu opieki w Lwowie-Brzuchowicach trafiamy przypadkiem. To ważne w kontekście tego, kogo tu odnaleźliśmy. Właściwie nie wiadomo, dlaczego właśnie to miejsce wskazała nam siostra Maksymilia. Tutaj też pracują zakonnice, ale z innego zgromadzenia, józefitek. W progu wita nas siostra Justyniana. – To było sanatorium, piękna okolica. W domu jest 40 miejsc, mamy teraz 20 podopiecznych. Większość z nich to ludzie starsi, po wylewach lub udarach. Niektórzy nie mówią, musicie być przygotowani na to, co tutaj zobaczycie – ostrzega nas siostra i dodaje, że wnętrza przypominają trochę hospicjum.

Idziemy od sali do sali. Rzeczywiście, widzimy chorych ludzi, ale warunki są bardzo dobre. Tutaj bardziej niż podarunki liczy się nasza obecność, posiedzenie, rozmowa, potrzymanie za rękę. Siostra przedstawia nas kolejnym pensjonariuszom, bo wizyta kogoś z zewnątrz dla niektórych może być bardzo zaskakująca. – Im się często w głowie nie mieści, że kogoś

jeszcze ich los może interesować. A tym bardziej kogoś z Polski. Mają bardzo żywą świadomość swojej tożsamości i swojego pochodzenia. Bez zająknięcia dają świadectwo: jestem Polakiem, jestem Polką. Dlatego taka wizyta to dla nich wielkie wzruszenie – mówi siostra.

Wchodzimy do kolejnego pokoju. – Tu leżą pan Rysio i pan Stasio – słyszymy. I nagle szok! Pan Stasio? Mężczyzna kogoś nam przypomina. Jak się nazywa? Patrzymy na siebie wraz z Justyną,





Stanisława Plachetkę poznaliśmy we Lwowie rok temu. Potem straciliśmy kontakt, teraz odnaleźliśmy go w domu opieki w Brzuchowicach



słowa grzeczna w gardle. Stasio się odnalazł. Po roku. Co za historia!

Będąc z Drużyną Marzeń rok temu w Lwowie, też mieliśmy listę Polaków, których odwiedzaliśmy w domach. To właśnie ja i Justyna trafiliśmy do samotnego mężczyzny mieszkającego niedaleko Opery Lwowskiej. Ogrzewał tylko jeden pokój, żeby było taniej. Ujął nas swoją szczerością, ale też charakterem. Powiedział nam wtedy lwowski wierszyk:

*Idę przez Łyczaków,
gwizdam sobie sztajer,
a za moją Mańką knaja jakiś frajer,
ja do niego mówię,
niech się pan odwali,
a on bez pardonu
po pysku mnie wali,
ja mu nic nie zrobił,
inom go poglaskał,
jego buda ratunkowa,
a mnie dziad potaskał,
siedzę w kryminale z rozwaloną głową,
a on w szpitaliku z rozwaloną głową...*

– To było rok temu przed świętami Bożego Narodzenia. Byłam u niego jeszcze raz, przed samą Wigilią. Potem jeszcze zadzwoniłam przed Nowym Rokiem, byliśmy umówieni na spotkanie w okolicach Wielkanocy, ale jego telefon zamilkł. Znajomi mówili mi, że może po prostu zmarł, ale nie dopuszczałam tej myśli do siebie. Próbowалам, ale numer był nieczynny – opowiada Justyna tuż po wyjściu z domu opieki. Łzy same napływają do oczu. Równo rok trwała niepewność, co ze Stasiem. Teraz też sprzeczne uczucia. Przerazenie, bo choroba bardzo go przez te 12 miesięcy zmęczyła. Ale przede wszystkim radość, że jest, że żyje. To taki czas, gdy Bóg się rodzi, a niemożliwe rzeczy stają się możliwe.

SERCE MATKI

– Witajewo was! Witajewo was! – przy takim śpiewie i oklaskach weszliśmy do salki przy kościele św. Jury we Lwowie. Od progu wita nas Natalia Zachajko. Jeszcze w ubiegłym roku prowadziła nieopodal świetlicę Caritas, tam opiekowała się kilkunastoma osobami o różnym stopniu upośledzenia. Została dobrze zorganizowane miejsce, by pomagać w innym miejscu kolejnym chorym. – Pracowałam tam przez 17 lat, w tym czasie moi podopieczni podorastali, choć przecież nie wyzdrowieli. Ale na pewno jest im już w życiu łatwiej. Kolejne na to czekają, w samym Lwowie jest półtora tysiąca upośledzonych dzieci. Rodzice nie potrafią albo nie mają czasu, by

się nimi zająć. Wtedy zostaje im roślina w czterech ścianach – opowiada Natalia, prywatnie mama chorej Krzysii.

Nasze wejście wywołuje niemalże poruszenie, bo zapowiadany był św. Mikołaj. Czy on z nami przyjechał? Odważniejsi ruszają do nas. Czasem chcą się przytulać, czasem rozmawiać. – Na początku czułam się onieśmielona, gdy Andrzej zasypał mnie mnóstwem pytań. Ale potem, gdy już zaczęłam rozumieć, co do mnie mówi, coś się przełamało, sama zaczęłam szukać jego towarzystwa i zagadywać go – opowiada Teresa, która bardzo bała się wizyty w miejscu, gdzie są chore dzieci. Andrzej, 45-letni upośledzony mężczyzna z milionem pytań, podszedł do każdego z nas. Mówi, że interesuje się polityką. Pytam więc o zbliżające się na Ukrainie wybory prezydenckie. – Owszem, będą, a w Polsce też jest prezydent. Duda. Andrzej Duda – mówi i uśmiecha się szeroko dumny, że „tak dobrze zna się na sytuacji w całej Europie”.

Tradycją tych spotkań z grupami prowadzonymi przez Natalię i Mariczkę są wspólne prace. Rok temu pomagaliśmy im pakować świece wigilijne Caritas. Teraz wspólnie robimy ozdoby choinkowe. Niektórzy są na tyle sprawni, że wytną koło z kartonu, inni mogą zaledwie próbować przykleić do niego sznureczek, a jeszcze inni chcą owinąć je ozdobną wstążką. To też okazja, by z sobą porozmawiać i bliżej się poznać. Irinka i Sofija kleją piękne stroiki, potem pozują z nimi do fotografii. Nazar pokazuje nam dzbanuszek, który zrobił w ubiegłym tygodniu na zajęciach z ceramiki. Bogdan denerwuje się, bo nie może nawlec igły. Ma zespół Downa, ale to bardzo wesoły chłopak, uwielbia się przytulać, szczególnie do Natalii, która z anielską cierpliwością odwzajemnia dziecięce pieszczoty. To powoduje, że trochę zazdrosny robi się Danilo, on niedawno stracił mamę. Dlatego na zajęciach z malowania, gdy mieli na desce naszkicować anioła, on swojemu dodał serce ze świecą, by pamiętać. Jest jeszcze Lenka, dobrze mówi po polsku, nauczyła się w kościele, na polskich mszach, na które zabiera ją mama.

Gdy robi się późne popołudnie, rodzice i dziadkowie zaczynają odbierać dzieci ze świetlicy. Czas się żegnać. Piosenką. Wiadomo, że zaintonuje 16-letni Piotr, bardzo utalentowane dziecko z autyzmem. Gra na pianinie, pięknie śpiewa, robi właściwie wszystko, tylko trzeba go najpierw dobrze pouczyć. „Tylko we Lwowie!” – wszyscy razem, każdy tę melodię zna.

Potem w rozmowach przyznajemy się, że niejednym ukradkiem otarł łzę, gdy gromada naprawdę chorych i na co dzień zmagających się z okrutną rzeczywistością dzieciaków z uśmiechem śpiewała: „Bo gdzie jest na świecie tak dobrze jak tu...”. Wyszlismy z nadzieją, że choć trochę tego dobra dostali od nas... 



Sposób na kostkę Rubika

Wojciech Knott z Rzeszowa, mistrz świata w układaniu Rubik's clock, w 2019 r. może być zmuszony do oddania tytułu walkowerem, gdyż nie będzie go stać na wyjazd na mistrzostwa do Australii. Czy znajdzie się sponsor, który mu pomoże?



JAROMIR KWIATKOWSKI

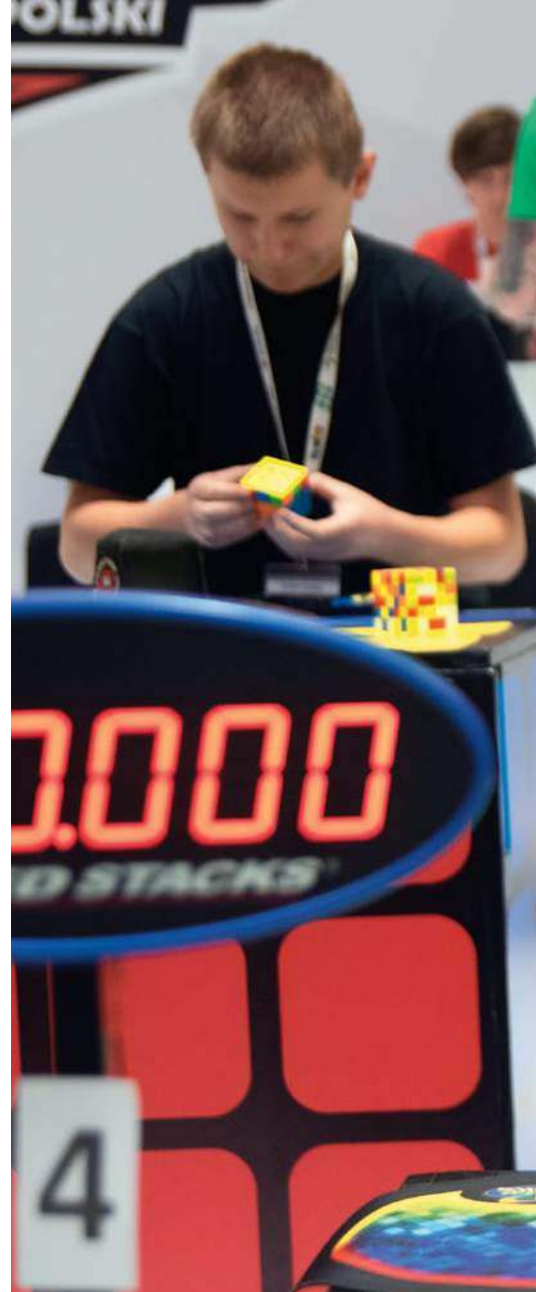
Kostka Rubika. Można ją układać dwiema rękami, jedną ręką, a nawet stopami. Z patrzeniem na nią i bez patrzenia. Jedną lub kilka z rzędu. W kształcie sześcianu o kombinacjach od 2×2 do 7×7 klocków na jednej ścianie, piramidy, dwunastosiścianu lub zegara z wieloma tarczami. Najbardziej popularną kostkę – sześciian w układzie 3×3 – najlepsi układają w... 4 s z niewielkim ognikiem.

PRACUJĄ I RĘCE, I GŁOWA

Wojciech Knott, 22-latek z Rzeszowa, obecnie student automatyki i robotyki na AGH w Krakowie, speedcubingiem (dyscypliną polegającą na jak najszybszym ułożeniu kostki Rubika i innych łamigłówek logicznych z jej rodziny)

zajmuje się od ośmiu lat. W gimnazjum miał wiele różnych pasji, zajmował się m.in. modelarstwem, grał w piłkę nożną. W pewnym momencie zdał sobie jednak sprawę, że – aby w jakiejś dyscyplinie coś osiągnąć – nie może się zajmować wszystkim, musi coś wybrać. Wybrał... układanie kostki Rubika.

W rodzinie Wojtka dominują umysły ściśle. Mama była nauczycielką matematyki, ojciec pracuje na Politechnice Rzeszowskiej. Czołowy polski speedcuber przyznaje, że to pomaga w uprawianiu tej dyscypliny. – Do układania kostki potrzebne jest myślenie przestrzenne, a ono jest związane z logiką, matematyką – tłumaczy. Ale zaraz dodaje: – Choć nie jest to regułą, ponieważ niektórzy zawodnicy wolą inne przedmioty, a radzą sobie świetnie.



Przyznaje, że wiele osób szybko się zniechęca do mozolnych ćwiczeń w układaniu kostki ze względu na brak wyników. Problem polega na tym, że większość z nich próbowała się uczyć na własną rękę, bez określonego schematu działania. Wojtek wiedzę o speedcubingu czerpał głównie z internetu, gdzie można znaleźć zarówno przewodniki do układania kostki w formie pisanej, jak i kursy wideo. – Nie miałem nikogo, kto by usiadł ze mną i mi tę wiedzę przekazał – przyznaje. I dodaje: – Natomiast sam nauczyłem układania kostki już wiele osób.

Do uprawiania tej dyscypliny (co do tego, czy jest to sport, czy wyłącznie hobby, zdania są podzielone)



Wojciech Knott z kostką 3×3 podczas tegorocznych mistrzostw Polski w Bydgoszczy

od 2×2 do 7×7 klocków na jednej ścianie, ale także piramida czy dwunastościan. Nietypową konkurencją jest układanie tzw. Rubik's clocka (zegara Rubika), który ma po dziewięć tarcz z każdej strony, a konkurencja polega na tym, by wskazówki wszystkich tarcz wskazywały godzinę 12.00.

Dwie koronne konkurencje Wojtka to właśnie układanie Rubik's clocka oraz stopami. Z konkurencji klasycznych najbardziej lubi zestawy sześciaków 4×4 i 5×5.

Ciekawą konkurencją jest układanie stopami. Kostka leży wtedy na macie (w powietrzu taka czynność byłaby niewykonalna), a układanie polega na tym, że przesuwa się jednym palcem jedną ścianę. Co ciekawe, algorytmów pomocnych przy układaniu stopami trzeba się uczyć od nowa, bowiem te do konkurencji ręcznych pozostają jedynie w pamięci mięśniowej rąk.

– Bardzo długo byłem najbardziej wszechstronnym zawodnikiem w Polsce, bo potrafiłem osiągać dobre wyniki we wszystkich 18 konkurencjach, co mi kiedyś dawało 10 medali na zawodach – opowiada Wojtek. – Obecnie zawodnicy specjalizują się w jednej–dwóch konkurencjach i są w nich na tyle dobrzy, że nie mam szans rywalizować z nimi, układając wszystko.

Na razie chciałby tę swoją wszechstronność utrzymać, no chyba że nie będzie już osiągał sukcesów na dotychczasowym poziomie. Wtedy, jak podkreśla, będzie musiał się skoncentrować na jednej konkurencji.

Z samych mistrzostw kraju przywiózł dotąd ponad 20 medali. – Ale to się może zmienić, bo konkurencja jest coraz większa – przyznaje.

W swojej karierze trzykrotnie bił rekordy świata, tyle samo razy – rekordy Europy oraz 20-krotnie rekordy Polski. Jego rekord życiowy w najbardziej popularnej konkurencji, w której jednak się nie specjalizuje, czyli w układaniu sześciaku 3×3, wynosi 6 s z ogonkiem (najlepszym zajmuje to niewiele ponad 4 s). – Ostatnio w Polsce padł rekord Europy, też 4 s, ale z nieco gorszymi setnymi – opowiada. Są jednak takie konkurencje, jak układanie sześciaku 6×6 czy 7×7, gdzie najlepsi potrzebują na to ponad minuty, a czasami dwóch.

Fot. Tomasz Burliuga (z archiwum Wojciecha Knotta)

potrzebne są ręce (czasami stopy) i głowa. Na pewno trzeba osiągnąć taką sprawność manualną, która pozwala wykonywać ruchy na kostce bardzo szybko. Oczywiście, jedni mają lepsze predyspozycje manualne, inni gorsze, ale sprawność, zdaniem Wojtka, jest głównie efektem treningów. Mozolnych i długotrwałych.

Umiejętności manualne to jednak nie wszystko. Potrzebna jest jeszcze głowa. Kostki bowiem nie da się ułożyć losowymi ruchami, trzeba to zrobić sposobem. A sposób wiąże się z koniecznością opanowania wielu algorytmów, które podpowiadają, jakie kolejne ruchy należy zrobić przy danym układzie klocków w kostce.

4 SEKUNDY...

Termin „układanie kostki Rubika” to spory skrót myślowy. Bo to coś o wiele więcej niż zabawa najbardziej popularnym modelem, czyli sześciakiem o układzie 3×3 klocki na ścianie. WCA (World Cube Association), czyli międzynarodowe stowarzyszenie zajmujące się organizacją zawodów speedcubingowych na całym świecie, uwzględnia aż 18 konkurencji. Czego tam nie ma? Układanie klasycznej kostki jedną lub obiema rękami, z patrzeniem i bez patrzenia, układanie jednej lub wielu kostek, czy układanie kostki stopami. Trzeba też dodać, że sama kostka ma różne kształty – może to być klasyczny sześciak o wymiarach



Rubik's clock Wojtek najszybciej ułożył w 3 s z haczykiem. Ułożenie kostki stopami zajmuje mu 25 s (najlepsi na świecie potrzebują 5 sekund mniej).

Jaka musi być dawka treningowa, żeby dojść do mistrzowskiej sprawności? Wojtek przyznaje, że na początku kariery speedcubera chodził z kostką cały czas. Później ćwiczył średnio 2–3 godz. dziennie (dziś taką dawkę stosuje przed ważniejszymi zawodami). Obecnie ćwiczy dużo mniej, czasami np. tylko 10 min dziennie, co jest bardziej zabawą niż treningiem.

Ilu jest w Polsce speedcuberów? Wojtek podlicza, że kilkuset – przynajmniej tyłu uczestniczy w różnych zawodach. Z czego na najwyższym ogólnopolskim poziomie około setki.

SPONSOR PILNIE POSZUKIWANY

Największym osiągnięciem Wojtka jest mistrzostwo świata w konkurencji układania Rubik's clocka zdobyte we Francji w 2017 r. Rzeszowianin jest więc jeszcze aktualnym „miłośnicie panującym” czempionem, bo mistrzostwa globu odbywają się co dwa lata. Rywalizacja polega na tym, że każdy zawodnik wykonuje pięć prób. Najlepszy i najgorszy czas są odrzucane, z pozostałych oblicza się średnią.

– Ten tytuł dał mi tym większą satysfakcję, że moim rywalem był speedcuber, który przed zawodami osiągał lepsze wyniki ode mnie – podkreśla Wojtek.

Nie wyklucza, że mistrzem świata mógł zostać już dwa lata wcześniej. Lecz czempionat odbywał się w Brazylii, a podróż na kontynent południowoamerykański przekraczała jego możliwości finansowe. Obawia się, że z tych samych powodów może w przyszłym roku stracić tytuł walkowerem, gdyż mistrzostwa odbędą się w Australii, dokąd również jest daleko i drogo.

Bo, niestety, speedcubing to nie piłka nożna, jest dyscypliną niszową, więc i o sponsorów trudniej. – Z nagród, które otrzymuję podczas zawodów, mogę sfinansować wyjazdy na kolejne zawody w Polsce czy gdzieś niedaleko – opowiada Wojtek. – Na wyjazd do

Australii musiałbym mieć jednak zewnętrzny sponsora.

Sponsorzy speedcuberów to głównie firmy produkujące bądź sprzedające kostki Rubika. – Najlepsi na świecie, a można ich policzyć na palcach jednej ręki, podpisują kontrakty z firmami, które produkują kostki i nazywają je nazwiskami tych zawodników. Oni zarabiają na tym całkiem dobrze. Ja się nie zaliczam do tego grona, bo startuję w zbyt mało popularnych konkurencjach.

Na pytanie, czy nie mógł wybrać bardziej popularnych, Wojtek odpowiada, że uczynił to świadomie. – Rubik's clock to konkurencja, której wiele osób nie lubi ani nie rozumie – tłumaczy. – Wybrałem

Do uprawiania tej dyscypliny potrzebne są ręce (czasami stopy) i głowa. Sprawność manualna daje szybkość. Natomiast opanowanie wielu algorytmów podpowiada, jakie kolejne ruchy trzeba zrobić na kostce przy danym układzie klocków

ją, można powiedzieć, dość sprytnie, bo wykalkulowałem, że w bardziej popularnych konkurencjach nie miałbym szans na najwyższe laury. Mógłbym się skoncentrować na układaniu sześcianu 3×3, odpuścić resztę konkurencji i być np. piątą na mistrzostwach świata. Ale „mistrz świata” to brzmi zupełnie inaczej niż „piąty na mistrzostwach” – śmieje się.

Czy zdarzają mu się nieudane próby? – Nieudana próba jest wtedy, gdy osiągnę słabszy wynik albo gdy nie dokręcę prawidłowo ścianek, bo wykonam niedokładnie kilka ostatnich ruchów. Szybko odkładam kostkę, rzucam ręce na timer, czas się zatrzymuje, a tu... kostka niedokręcona – opowiada Wojtek. Po czym dodaje: – Ale nie ma sytuacji, że klocki są tak pomieszane, iż nie

dam rady ich ułożyć. Na tym poziomie rywalizacji to niemożliwe.

Ile w takiej kilkusekundowej próbie musi być adrenaliny, a ile spokoju? – Nie można układać kostki zbyt spokojnie, za wolno, bo wtedy nie da się osiągnąć dobrego wyniku – tłumaczy Wojtek. – Trzeba się skupić maksymalnie i opanować nerwy, które u niektórych zawodników wywołują trzęsienie rąk. Dotyczy to zwłaszcza speedcuberów z niewielkim doświadczeniem. Czasami widać, że ktoś potrafi ułożyć kostkę szybciej, ale tak mu się trzęsą ręce, że nie jest w stanie tego zrobić, spala się psychicznie, bywa nawet, że zapomina algorytmu. Ja mam już na kon-

cie udział w prawie 100 zawodach, więc jest mi łatwiej uzyskać dobry wynik niż osobie, która debiutuje.

SPOŁECZNOŚĆ POLSKIEGO SPEEDCUBINGU

Wojtek zdaje sobie sprawę, że niedługo w intensywnym zajmowaniu się speedcubingiem mogą mu przeszkodzić plany zawodowe, które stanowią dla niego priorytet.

– Nie liczę, że będę się utrzymywał z układania kostek, to może być raczej dodatek do budżetu domowego – podkreśla. – Chciałbym iść w kierunku automatyki i robotyki lub informatyki, co dałoby mi pewniejszą przyszłość.

To mądre myślenie, zwłaszcza, że w speedcubingu sportowa emerytura przychodzi bardzo szybko, bo już w wieku dwudziestu kilku lat. – Zawodnicy powyżej 20 lat to już niemal weterani – śmieje się Wojtek. – Oprócz mnie i jednego kolegi nie ma w Polsce speedcuberów w tym wieku z tyloma medalami. Z reguły są to ludzie młodszy, w wieku kilkunastu lat osiągają lepsze wyniki.

Ale to nie oznacza, że przestanie jeździć na zawody. – Starsi zawodnicy biorą w nich udział bardziej rekreacyjnie – podkreśla rzeszowianin.

Robią to tym chętniej, że speedcuberzy, którzy spędzają razem na zawodach około 20 weekendów w roku, zżywiają się z sobą i tworzą już pewną społeczność. Społeczność polskiego speedcubingu.



Złapałam równowagę

Kobieta idealna to taka, która potrafi zadbać o siebie i o najbliższych, jest inteligentna, ale nie przytłacza otoczenia własną erudycją. Kobiecość to umiejętność stworzenia domu, gdziekolwiek się jest

Z dziennikarką TVP **Anną Popęk** rozmawia Dorota Łosiewicz

Na rynku pojawiła się twoja nowa książka „Piękna 50-tka”. Gdzie szukać tego piękna?

Anna Popęk: Piękno jest w nas i tam trzeba go szukać. Salony kosmetyczne, kosmetyki to tylko narzędzia do wyciągania wewnętrznej urody. Naszej urodzie służy nie tyle to, co zewnętrzne. Składamy się z sumy naszych doświadczeń, z tego, jak traktujemy ludzi, z tego, co wiemy, co czytamy, co jemy i co pijemy, a nawet z czego pijemy. Jest taka powieść w listach pt. „Niebezpieczne związki”. Na jej podstawie zrobiono nawet dwa

znakomite filmy. W książce główna intrygantka markiza de Merteuil staje się na koniec życia po prostu brzydka. Na jej twarzy wychodzi jej bowiem z wiekiem paskudny charakter. On ujawnia się w wyglądzie kobiet już po czterdziestce. Jeśli ktoś jest pogodny radosny, to widać w jego zmarszczkach, śmiechu. Podobnie na twarzy ujawnia się zło, np. lwia zmarszczka, opuszczone kąciaki ust. I żadne kosmetyki tego nie zmieniają. A tak poza tym dobrze, żeby każda z nas знаła swoje wady i zalety. Żeby zalety eksponować, a wady likwidować.

Jak to zrobić?

Ważne, żeby w dążeniu do piękna nie dać z siebie zrobić szablonu, bo dziś bywa taka pokusa. Natomiast to, co decyduje, czy kobieta jest zadbana, to przede wszystkim ładna, wypielęgnowana skóra. Mniejsze znaczenie ma kształt nosa, ust brwi, większe to, w jakim stanie mamy skórę. Podobnie jak naszą ozdobą są piękne włosy i zadbane ręce. I tu są sprawdzone, bardzo proste techniki, by to osiągnąć. Świetny wpływ na włosy mają np. wcierki z burzyny, picie naparu z lnu. Cerze świetnie robi picie naparu z bratka, czystka,



jedzenie witaminy E, len, wysypianie się, picie dużych ilości wody.

O wysypianiu się mówi osoba, która wstaje o czwartej rano na poranny program. Nie brzmisz wiarygodnie.

To prawda, że na początku nie było łatwo, ale przestawiłam swój organizm. Chodzę spać o godz. 21 i nie ma dyskusji. Po prostu organizm musi się zregenerować.

Serce wytrzymuje taki rytm?

Wytrzymuje, pod warunkiem że o siebie dbam. Jak przestaję, czyli nie spaceruję, nie piję wody, pojawiają się objawy, które doprowadziły mnie kiedyś na stół operacyjny. Ale wracając do codziennego dbania o siebie, to ważna jest suma drobnych nawyków, nie wielkie kosmetyczne wyskoki raz na jakiś czas, typu medycyna estetyczna. Dbam też o ciało. Chociażby stosując szczotkę do suchego masażu przed kąpielą. Raz w tygodniu.

Nie masz małych dzieci...

Dlatego mam dobry czas, żeby skutecznie takie fanaberie.

Spójrzmy teraz prawdzie w oczy. Ćwiczysz?

To jest nieco trudniejszy temat. Pewnie nie tyle, ile bym chciała i powinnam, ale poszłam ostatnio na spacer do lasu i zrobiłam 50 przysiadów na dobry początek. W ogóle rozruch poranny to świetna sprawa. Mnie pomaga moja suczka Karmelka – muszę z nią wyjść, a kiedy już wyjdę, to zaczynam ćwiczyć. Jeśli mam wybór: winda czy schody, to wybieram schody. Wchodzę na dziesiąte piętro. Wykorzystuję codzienne okazje do łapania formy.

Wróćmy do medycyny estetycznej, którą wywołałaś. Korzystasz?

Do wszelkich nowości podchodzę nieufnie, patrzę, z czego korzystają inne kobiety. Ale jeśli widzę, że coś jest sprawdzone i działa, to czemu nie. Warto tylko pamiętać, że jak rozleniwimy ciało, to przestanie pracować i się regenerować. Z drugiej strony, gdy zmarszczki robią się za

głębokie, to ciężiej będzie sobie z nimi poradzić. Korzystam z pilingów, ale także z ostrykiwania osoczem, czyli tzw. wampirzego liftingu, zabiegi laserem też nie są złe, ale po nich skóra musi regenerować się przez kilka dni, a ja zwykle pracuję codziennie lub co drugi dzień.

A jak się dobrze ubrać?

Stajemy przed lustrem i patrzymy, co mamy ładne, a co jest mniej ładne. Jeśli mamy ładny biust, odsłaniamy nieco dekolt, jeśli nogi – pozwalamy sobie na krótszą spódnicę. Trzeba się nauczyć podkreślać mocne strony, a przykrywać słabsze. Warto sobie urządzić wietrzenie szafy z jakimś fachowcem, posłuchać mądrych rad tych, co się na tym znają. Ja słucham mądrzejszych od siebie. Ale jak się

Do napisania książki skłoniła mnie rozpacz, że nagle stałam się panią po pięćdziesiątce. W ogóle nie przyjmuję tego do wiadomości

nie ma pod ręką fachowca, to dobrze skorzystać z rady siostry czy życzliwej przyjaciółki. Warto wiedzieć, jaki ma się typ sylwetki (gruszka, jabłko, klepsydra) i odpowiednio dobrać strój. A już zupełna podstawa to przyłożyć do twarzy kilka kolorów i dobrać te, które nam pasują. Nie rezygnujemy z kolorów, one odmładzają. Poza tym dobrze mieć w szafie porządną bazę: sukienka, spódnica, koszula, dwie pary spodni. Do tej bazy dobieramy dodatki.

Mówią, że złość piękności szkodzi. Ty piszesz nie tyle o złości, ile o zdrości. Jak sobie z nią radzić?

Rzeczywiście. Babska zazdrość to potężna niszcząca siła, której działanie miałam okazję poznać osobiście. Nie zatrzyma się przed niczym, a kobieca solidarność w takim wypadku to mit.

Jak się przed nią bronić? Tylko siłą. Okazywanie słabości, próba oswojenia takiej kobiety idą na marne, to rozzu-chwala ją jeszcze bardziej. Trzeba podkreślać wszystkie swoje mocne punkty i zawodowe, i osobiste, i towarzyskie. Posiadanie męża, który w takich sytuacjach stoi u naszego boku, na pewno będzie pomocne. Dodam tylko, że najlepiej, aby był to własny mąż, bo różnie to bywa...

Wzór kobiecości według Ani Popek?

W młodości uwielbiałam Vivien Leigh z „Przeminęło z wiatrem” i Kim Basinger z „Tajemnic Los Angeles”. Lubie Audrey Hepburn i Grażynę Szapolowską. Kobieta idealna to taka, która potrafi zadbać o siebie i o najbliższych, jest inteligentna, ale nie przytłacza otoczenia własną erudycją. Kobiecość to umiejętność stworzenia domu, gdziekolwiek się jest.

Jakie słowa nie przystoją kobiecie?

Nie lubię, gdy kobieta klnie jak szewc. Czasem jednak trzeba dać upust emocjom i siarczyście zakląć. Wkurzać się można na sytuację, a nie na ludzi. Każdy taki atak to nowy wróg, a ci nie są nam potrzebni. Kobiecie nie przystoi okazywanie publicznie wściekłości na własne dzieci i męża czy pogardy dla innych. Dotyczy to też komentarzy na Facebooku.

Czy konserwatystki też powinny o siebie dbać? W niektórych prawicowych kręgach jest takie przekonanie, że najlepiej, żeby siedziały w domu z dziećmi...

Ależ niech siedzą, jeśli mogą i chcą! Ale dlaczego mają być zaniedbane? W książce piszę o bohaterskiej Judyty, która pokonała wodza wrogiej armii. To historia ze Starego Testamentu. Dokładnie oddaje funkcje stroju w życiu kobiety. Judyta była młodą wdową. I wówczas, gdy jej uroda nie była nikomu potrzebna, nosiła zgrzebne szaty, a jej biodra okrywał workowaty strój. Ale gdy miała za zadanie uwieść wodza wrogiej armii, przeistoczyła się w kwintesencję kobiecości za pomocą prostych,

kobiecych sposobów – zausznice, naszyjniki, bransoletki, uczesanie, namaszczenie ciała, piękny strój, odslonięte ramiona. Cel osiągnęła, wróg został pokonany. Co mówi nam Biblia poprzez tę opowieść? Otóż to, że strój, dbanie o siebie ma swoje konsekwencje. Jeśli chcemy być atrakcyjne dla swojego męża, nawet jeśli w domu jest gromadka dzieci, a kobieta nie pracuje zawodowo, to powinna to zrobić. Nie mówię, żeby była to codzienność, bo pewnie się nie da, ale raz na kilka dni sukienka zamiast dresu, makijaż i ładnie uczesane włosy, kolacja przy świecach zamiast jedzonej w pośpiechu, na stojąco. To przecież jest bardzo przyjemne. Nie uwierzę, że kobietom nie jest miło, że nie czują się lepiej, gdy dobrze wyglądają i o tym wiedzą. Takie zdanie przeczytałam na Facebooku: „Mężczyźni wierzą w to, co widzą, a kobiety w to, co słyszą”. Dlatego kobiety się malują, a mężczyźni kłamią. Może nie do końca się z tym zgadzam, ale coś na rzeczy jest.

„Piękna 50-tka” to nie tyle poradnik, ile rodzaj autobiografii. Co cię skłoniło do napisania książki będącej trochę podsumowaniem życia?

Rozpacz, że tych pięćdziesiąt lat tak szybko minęło i nagle stałam się panią po pięćdziesiątce. W ogóle nie przyjmuję tego do wiadomości, choć to prawda.

Czyli to forma terapii?

Pomyślałam, że spiszę wszystkie swoje życiowe mądrości. To, co sama przeżyłam, i to, co wyczytałam w różnych mądrych miejscach. Postanowiłam uporządkować wiedzę o 50-letniej kobiecie. Z jednej strony to smutek, że już pewne sprawy ma się za sobą, ale z drugiej strony pięćdziesięciolatka jest szczęściarą, bo dzieci ma już odchowane, ma gdzie mieszkać, jest stabilizacja zawodowa i – co najważniejsze – w tym wieku jesteśmy już świadome własnej wartości.

Właściwie: żyć nie umierać.

Dokładnie. A ponieważ jestem ciekawa życia, sama na sobie wiele rzeczy przetestowałam, to mogę się tym podzielić z czytelnikami. Np. w kwe-

stii diet, które wciąż stosuję. I od tego właściwie zaczynam. Jeśli kobieta ma kontrolę nad własnym ciałem, nad wagą, ma też kontrolę nad własnym życiem. I albo lubimy siebie, takie jakie jesteśmy, albo staramy się dążyć do ideału.

Patrząc na siebie, stwierdzam, że dążysz do ideału. Jaką więc dietę polecasz?

Stosowałam chyba wszystkie dostępne na rynku [śmiech]. Dla mnie nie ma nic lepszego niż tydzień postu, ascezy. To czas uspokajania apetytów, abstinencja od kawy, herbaty, papierosów. Nauka zwalczania pokus. Niedawno robiłam do zdrowotnego programu, który prowadzę, wywiad z profesorem endokrynologii. I zapytałam, co może powstrzymać proces starzenia? Profesor odpowiedział, że jest tylko jeden udowodniony sposób. To niedojadanie. Nie jest to dobra informacja dla tych, którzy chcą zachować młodość, a lubią jeść. To samo powiedział mi zresztą kiedyś prof. Witold Kieżun, z którym rozmawiałam o historii. Spotkaliśmy się w restauracji i on zjadł na obiad tylko jajecznicę. Śmiejąc się, wytłumaczył, że 40 lat temu przeczytał, że niedojadanie służy młodości, i od tamtej pory niedojada. A jak rozmawialiśmy, miał około pięćdziesiątki i był w świetnej formie intelektualnej i fizycznej.



Pół wieku za tobą. Często upadałaś?

Jak każdy, czyli często. Przeszłam przez rozwód i kryzysy w pracy. Jednak znajomy przekonał mnie, że na kryzys zawsze trzeba patrzeć jak na szansę, którą daje los lub wróg. Kryzys to szansa na zmianę, na nowe narodziny.

Gdzie szukasz siły na wychodzenie z kryzysów?

Na przykład w rekolekcjach. Byłam u jezuitów w Falenicy, byłam w Tyńcu u benedyktynów na rekolekcjach połączonych z postem św. Hildegardy, ale tego doświadczenia raczej nie powtórzę. Uczęszczałam też do Studium Dominicum do dominikanów. Szukałam odpowiedzi na pytania o to, co mnie w życiu spotyka. Każdy ma swoje do przemyślenia. Grunt to patrzeć na trudności jak na szansę, a na ludzi jak na nauczycieli. Nawet największy wróg może człowieka dużo nauczyć, np. pokory. Jak to mówią: „Wyślij kwiaty kochance swojego męża”.

A jakie znaczenie ma w życiu miłość?

Jest jak przyprawa, jak sól. Owszem można bez niej przeżyć życie, ale nie będzie ono „smaczne”, będzie mdłe. Nie będzie w nim prawdziwych emocji, a to one są wibracją duszy.

Myślisz, że w tej materii wszystko już za tobą czy z optymizmem patrzysz w przyszłość?

Bardzo bym chciała, aby wszystko, powtarzam wszystko, było jeszcze przede mną. Także dobry, szczęśliwy związek i ślub. I zamiast mówić o tym, że chcę mieć męża, wołałabym mówić, że chcę być żoną. To różnica pomiędzy mieć a być.

„Oby młodość wiedziała, a starość mogła” – przytaczasz w swojej książce takie zdanie. Co wiesz, a co możesz?

Złapałam równowagę, jestem odważniejsza, bardziej asertywna, głupotami się nie przejmuję. Dużo zależy od nas, nie od innych. Siłę mamy w sobie, trzeba ją tylko znaleźć. Wiem, jak się cieszyć życiem, i cieszę się, że mogę to robić.

**Wojciech Stanisławski**

Niemcy i okupacje

Dwa tytuły pokazujące trudne relacje niemiecko-polskie sprzed stu lat, ale i to, jak różniły się one od koszmaru lat

II wojny światowej

Dwie opinie o powstaniu wielkopolskim – to, że było ono „jedynie zwyczajne” oraz „całkowicie zapomniane” – należą do często powtarzanych komunałów, jak zwykle, po części fałszywych (zwycięzaliśmy również, nawet jeśli ograniczyć się do zmagania o niepodległość w początku XX w. i wiktoria czysto militarnych, pod Sejmem i na Śląsku), zarazem zawierających ziarno prawdy: powstanie wielkopolskie było największym zwycięskim zrywem, lecz dziwnie słabo zapisało się w pamięci zbiorowej. Przywoływane jest, owszem, jako epizod, podrozdział, punkt, znacznie trudniej o jego miejsce w pamięci emocjonalnej: kto pamięta nazwisko pierwszego zabitego powstańca (Franciszka Ratajczaka) czy pierwszych dowódców (Taczak, Łapiński, Andrzejewski)? Obco wygląda nawet, na zachowanych zdjęciach, wielkopolska rogatywka, wysoka, z pętlą w treflowym kształcie oznaczającą szarżę.

Czy to dlatego, że to powstanie było tak mało „powstańcze”, bo świetnie przygotowane w oczekiwaniu na postępującą dezintegrację Rzeszy późną jesienią 1918 r.? Ale przecież to nieprawda, wybuchło jak wszystkie przedwcześnie, w polskiej (kontrolowanej) euforii i niemieckiej kontrmanifestacji, która wymknęła się spod kontroli. Polskie, arcy-polskie były wzajemne oskarżenia, przejmowanie, nieraz w wyniku intryg, dowództwa. Nie brakło rzezi, szturmów na bagnety, nie brakowało pociągów pancernych i szarż iście kmicowskich, jak wyczyn Wiktora Pniewskiego, który wybrał się w rajd lotniczy i z marszu zbombardował lotnisko we Frankfurcie. Czy przyczyną tej historycznej niepamięci może być ignorancja czytelników z Galicji i Kongresówki,

którym dziesiątki historycznych nazw i powstańczych pól bitew, od Kcyni po Trzemeszno, pobrzmiwają swojsko, ale niekonkretnie? Czyżby o wszystkim zadecydowała potężna wola „szlachcica o niepolskim imieniu”, który zapatrzył się na szlak Jagiellonów?

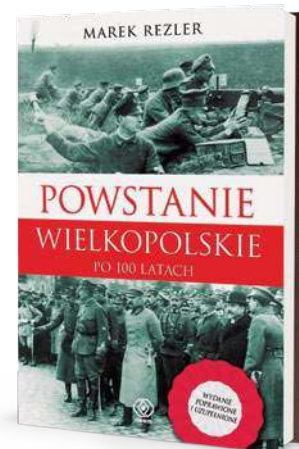
Marek Rezler w nowym wydaniu „Powstania Wielkopolskiego” osadza Kcynię i Taczaka w konkretnych okolicznościach geograficznych i politycznych. Łączy perspektywę doraźną, odtwarzając minutą po minucie okoliczności wybuchu walk po południu 27 grudnia – i epokową, pokazując dojrzewanie wielkopolskich elit społecznych w XIX w. Przede wszystkim zaś ukazuje dwa sprzężone procesy z wiosny 1919 r.: reorientacji władz młodego państwa polskiego na zachód oraz finezyjnej gry w demontaż Rzeszy i przejmowanie instytucji państwowych, która toczyła się równolegle z walkami, a skończyła dopiero rozjezmem w Trewirze i pokojem wersalskim.

Powstanie wielkopolskie jest jednak i tak świetnie znane w porównaniu z okresem znacznie dłuższym: ponadtrzyletnim panowaniem Niemców na ziemiach dawnego Królestwa Kongresowego w latach 1915–1918. Traktuje o nim nowatorska książka amerykańskiego historyka Jessego Kauffmana – jedna z tych prac, przy lekturze których nasuwa się pytanie o to, jakim cudem dotąd nie powstało podobne opracowanie. Przez 100 lat, jeśli nie liczyć paru cząstkowych monografii, nie opisano systematycznie panowania Hansa von Beselera na Zamku Królewskim ani bezprecedensowego pomysłu na stworzenie satelickiej Polski u boku zwycięskiej Rzeszy!

„Iluzoryczne przymierze” jest więc, można by powiedzieć, skazane na sukces – ale szanse te rosną za sprawą autorstwa badacza z East Michigan University, który przejrzyście tłumaczy amerykańskim czytelnikom



Jesse Kauffman, „Iluzoryczne przymierze. Niemiecka okupacja ziem polskich w czasie I wojny światowej”, tłum. Jan Kabat, PIW, 2018



Marek Rezler, „Powstanie wielkopolskie po 100 latach”, Rebis, 2018

uwarunkowania rządzące polityką imperiów i narodów, rewolucjonistów i zachowawców w zdumiewającej Europie Środkowej. Wynikiem tego jest, tak cenna w monografiach pochodzących zza oceanu, świeżość spojrzenia, odwaga nieoczekiwanych skrótów czy zaskakujących paralel.

Owszem, zdarza się Kauffmanowi nadużywać nie nacechowanego pejoratywnie, lecz i tak nużącego określenia „nacjonalizm”. Ale dziesiątki hipotez – poczynawszy od spojrzenia na niemiecką okupację ziem polskich jako nieledwie kolonialną próbę zaferowania Berlinowi bogatego w ziemniaki, buraki i lud „wicekrólestwa Indii” – ożywiają nasze rozumienie tego czasu, podobnie jak podkreślanie przez Kauffmana wagi, jaką niemieccy politycy przywiązywali do „wychowywania” i „oświecania” Polaków. Nieoczekiwane, spinające pół wieku zestawienia – ot, choćby margrabiego Wielopolskiego ze wspomnianym już gubernatorem von Beselerem – wytrącają z kolein. Sam Beseler zresztą, astma-

tyczny zdobywca Antwerpii i Modlina, znany dotąd głównie z odbicia w niezwykłym zwierciadle polskiej satyry, jawi się jako paternalistyczny i choleryczny, lecz jednak – odnowiciel państwowości polskiej, w jednakowej mierze znużony szlacheckimi ambicjami, co połajankami pruskich junkrów.

Zdyscyplinowana mimo smacznych dygresji książka opisuje procesy niemal zupełnie nieznaną: rywalizację Berlina i Wiednia o zwierzchność nad odbitymi Rosjanom ziemiami polskimi, spór o kształt przysięgi legionowej, procesy tworzenia samorządu i szkolnictwa, wreszcie – otwarcie w Warszawie Uniwersytetu (i Politechniki), któremu powierzone zostało, chociaż nie wprost, zadanie „budowania narodu”. Z zadania tego się wywiązał: iluż inteligentów dwudziestolecia pobierało nauki w latach okupacji niemieckiej, by wspomnieć choćby Skamandrytów? Kauffman z jednakową sprawnością panuje nad opisem rozgrywek prawnych, towarzyszących werbowaniu do wojska pol-

skiego pod komendą niemiecką, przysięgającego posłuszeństwo przyszlenu, nieznanemu z imienia królowi (!) podanych austriackich; nad rekonstruowaniem przebiegu wydarzeń w dniach strajku studenckiego 1917 r. i o rok wcześniejszych wyborach do Rady Miejskiej Warszawy; nad drobiazgową panoramą polskiej i żydowskiej sceny politycznej. A wszystko to w najlepszym stylu anglosaskiej historiografii, zniemacka przełamuje nieznanymi, wyrazistymi cytatami ze źródeł epoki.

Jeśli monografia ta zostanie przyswojona przez czytelników, Cesarsko-Niemieckie Generalne Gubernatorstwo może awansować w naszej wyobraźni, dołączyć do grona innych osobliwych, niejasnych „Rzeczypospolitych... i pół”: Księstwa Warszawskiego, Królestwa Kongresowego, Rzeczypospolitej Krakowskiej – kto wie, może i PRL? Zwłaszcza ten ostatni przykład, ale nie tylko on, pokazuje, że kwestia niepełnej, ułomnej, „patronackiej” suwerenności nadal zasługuje na przemyślenie. 

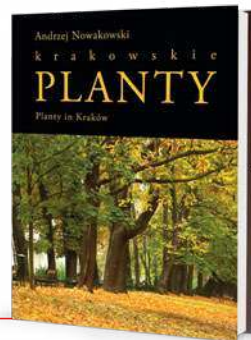
Plantacje

Ilekoć ktoś ze światowców pochwali (zasłużenie!) nowojorski High Line, czyli niedawny pomysł zamiany dwukilometrowego wiaduktu nieczynnej od lat kolei w sercu Manhattanu na park, rozciągający się teraz nad 10th Avenue z przyległościami, myślę o zapomnianych zasługach Feliksa Radwańskiego: insurekcyjnisty, architekta, wreszcie senatora Rzeczypospolitej Krakowskiej, który pierwszy rzucił myśl, by w miejsce pasa rud i zrzuconych murów miejskich wznieść w sercu miasta park-trasę spacerową.

Plantacje, bo tak określano pierścien gruntów przez kolejne pół wieku, rozrastały się za sprawą dosadzanych topól, dostawianych ławek, erygowanych posągów. Rosła mądrość zbiorowa (w roku 1834 „Raport względem cen [...] różnego gatunku głogu” przedstawił Senatowi sam Alojzy Estreicher, profesor botaniki i założyciel rodu) i pokolenia nianiek niespiesznym krokiem szły obok wózka, serso i roweru,

a czasem biegła dziewczyna na wykład spóźniona.

Ucukrowane, zdeptane przez wybieczki, pozostają Planty jednym z tych miejsc, gdzie zbiegają się setki znaczeń, obszarem ikonycznym, ramą dla widoku na Wawel takiego, jak ten z płótna Wyspiańskiego z 1894 r. Na co dzień siekane są na setki pocztówek, niemilosierdzie oblepionych lakierem i złoceniami; przyszedł wreszcie czas na album, który z oddechem pokaże kamienie i baszty, jesiony i „Sowy”, bezdomnych i biskupów. Do tego, piórem tuzina autorów, opis historii i flory, poczet ogrodników i wizerunków Plantacyj na starej fotografii, wyliczenie nieobecnych już baszt, wyznaczający dwa wieki temu bieg tego szlaku. Jedyne, czego może zabrakło, to rozdział „Planty w literaturze”, chociaż przecież spieściły tędy Mela Dulska i Jowita z „Disneylandu”. Wolno się jednak obawiać, że gdyby powstało podobne zestawienie (szczególnie jeśli podjąłby się tego Paweł Dunin-Wąsowicz), ważący już teraz przeszło trzy kilogramy tytuł mógłby decyzyjną policji zostać wycofany z obiegu jako groźna broń konwencjonalna.



Andrzej Nowakowski (et al.), „Planty krakowskie”, Universitas, 2018

„Planty” kartkować będą: historyk, nostalgik i entuzjaści zdjęć, na których gęsto od jasnej zieleni. Ja, prowadząc palec po mapie ośmiu „ogrodów”, na które współcześnie podzielono Plantacje, zastanawiam się nad tym, jak pysznie udało się Feliksowi Radwańskiemu i hrabiemu Wodzickiemu ta architektoniczna aluzja. Z High Line trzeba w końcu zejść, albo na Gansevoort Street, albo na West 33th Street: w Krakowie, mieście, które ma szczególne związki z czasem, po Plantach można iść nieprzerwanie i wciąż przed siebie, krążąc, z biegiem lat, z biegiem dni. 



Tak wygląda arcydzieło



Kino/VOD

Dawno nie widziałem filmu tak empatycznego i wizualnie czystego. Przemyślanego w każdym szczególe i jednocześnie pozbawionego wyrachowania. „Roma” Alfonso Cuaróna to film zrobiony z miłości, którą przesiąka każdy kadr tego niezwykłego dzieła. Meksykański zdobywca Oscara za „Grawitację” (szukajcie przezabawnego mrugnięcia okiem do fanów tego filmu) oddalił się od Hollywood i zajął do własnych korzeni. To nie tylko rodzinna opowieść, to też przenikliwy obraz Meksyku lat 70.

Cuarón przygląda się rodzinie klasy średniej oczami zarówno jej członków, jak i służącej Cleo (Yalitza Aparicio). Egzystencję rodziny wziętego lekarza i przybyłej ze wsi Cleo różni z pozoru wszystko. Meksykańscy artyści zawsze

byli wrażliwi klasowo, więc Cuarón nie unika tego aspektu opowieści. Nie jest jednak gniewnym publicystą jak Spike Lee. Bardziej od klasowej historii interesuje go uniwersalna opowieść o cierpieniu zdradzanych kobiet przez zanurzonych w latynoskim macyzmie. Zdrada wiecznie nieobecnego ojca, tchórzostwo szczuła uciekającego od ciężarnej dziewczyny prowadzi kobiety z różnych klas do wspólnego cierpienia, ale i odkrycia, czym jest istota miłości. Napięcia klasowe w końcu eksplodują na ulicach Mexico City, co jednak Cuarón pokazuje z dalekim dystansem, pozostając przez cały film subtelnym artystą, a nie ideologiem.

„Roma” jest filmem przepięknym. Cuarón sam zrobił fenomenalne, długie i wadłowe czarno-białe ujęcia, któ-

rymi kreśli egzystencjalną przestrzeń bohaterów. To zdumiewające, że właściwie za pomocą wyłącznie ogólnego planu tak znakomicie buduje sympatie do poszczególnych postaci. Nostalgia do czasów dzieciństwa? Tak, ale każde ujęcie jest czymś znacznie więcej niż wyrazem sentymentalizmu meksykańskiego filmowca. Woda zmywająca brud na podjeździe domostwa i oceaniczne fale zlewają się w jeden symbol. Woda obmywa z win. Oczyszcza. Może jednak też pochłoniąć i zabić.

Wielkość tego dzieła jest zbudowana subtelną ręką reżysera i operatora Alfonso Cuaróna. To miał być film osobisty, jak dawne dzieła wielkich twórców kina autorskiego. Nie przez przypadek zdjęć nie zrobił etatowy współpracownik Cuaróna – Emmanuel Lubezki. Reżyser chciał ugniść tę historię wyłącznie własnymi rękoma. Bez pośpiechu. Bez spoglądania na słupki oglądalności i liczbę widzów w kinach. Może dlatego do zaprezentowania swojego najbardziej osobistego dzieła wybrał „domowego” Netflix’a?

Nie wyobrażam sobie, by nie zgarnął za to wspaniałe dzieło Oscarów. Obejrzałem film na dużym telewizorze (premiera równocześnie na Netflixie), ale pójdę do kina, by odpowiednio posmakować wykwintnego filmowego dania spod ręki meksykańskiego maestra. Tak wygląda arcydzieło.

„ROMA”, REŻ. ALFONSO CUARÓN, DISTR. GUTEK FILM/NETFLIX

VOD

Teologia i ekoterroryzm



Predziwny to film. Paul Schrader to twórca nietuzinkowy. Autor scenariusza do „Taksówkarza” zawsze dotykał tematu wiary w sposób szarpający emocje. „Pierwszy reformowany” to film o kryzysie wiary dotykającym zachodnie społeczeństwa. Kryzys widzimy przez pryzmat historii protestanckiego kapłana zmagającego się z wiarą i własną przeszłością. Proboszcz (Ethan Hawke) stracił w Iraku syna. Zмага się z chorobą. Jest wodzony na pokuszenie przez parafiankę. Do tego zbliża się do



drivera”. Szkoda, że tego filmu nie wyreżyserował ktoś pokroju Martina Scorsese. Powstałoby kolejne arcydzieło. A tak mamy ciekawy, choć reżysersko niespełniony, traktat moralny.

„PIERWSZY REFORMOWANY”, REŻ. PAUL SCHRADER. FILM NA GOOGLE PLAY



mafii", natomiast w „Plagach Breslau” prawie na cały film przykuwa do łóżka Tomasz Oświeciński. Lejce dostają kobiety i drastycznie inny od Gebelsa Andrzej Grabowski w roli irytującego prokuratora. Efekt? „Plagi Breslau” ogląda się nieźle. Oczywiście jeżeli przyjmujemy gatunkowość, w którą film został zanurzony. Vega nakręcił na dodatek wyjątkowo krwawy thriller, ocierający się momentami o gore (rozrywane przez konia ciało, obcinanie kończyn, wypływające bebechy), czego w polskim kinie jeszcze nie było.

„Plagi Breslau” są zrobione według klasycznego schematu hollywoodzkiego thrillera klasy B. Dużo krwi, jeszcze więcej efekciarskich scen (tutaj zamiast z samochodami gliniarze ścigają się z koniem), schematyczność postaci i obowiązkowy po „Siedem” twist akcji na końcu. Gdyby „Plagi...” były filmem amerykańskim, zżymałbym się na bezczelną wtórność. Jednak polskie wydanie jankeskiego schematu po prostu dało mi sporo guilty pleasure.

To radocha dużego chłopca, który lubi sobie strzelić od czasu do czasu prościutką i krwawą policyjną opowiastkę o pościgu za psychopatycznym mordercą. Tym razem ulice Los Angeles, Detroit czy Nowego Jorku zastępuje pięknie sfotografowany Wrocław. Niemniej jednak nie jest to kino, które zadowoli kinomana. Ja po prostu lubię filmy tak złe, że aż dobre.

„PLAGI BRESLAU”, REŻ. PATRYK VEGA. SHOWMAX.COM

Patryk Vega wyraźnie poczuł przyjemność zabawy filmową gatunkowością. Zrobiony dla Showmaxa film nie przypomina klasycznego Vegańskiego kina, które tak kochają masowi widzowie i którego nie nawiadzą krytycy. Nie jest to anarchiczny warsztatowo, ale szczerzy i wyjątkowo energetyczny filmowy strumień świadomości, jak „Pitbulle”, „Botoks” czy „Kobiety mafii”. Tym razem Vega wziął na widelec krwawy thriller, który wyrósł na sukcesie „Siedem” Davida Finchera. Nakręcił go w tradycyjny dla B-klasowego amerykańskiego kina sposób.

„Plagi Breslau” opowiadają o seryjnym zabójcy, który codziennie o 18.00 dokonuje krwawej zbrodni na wrocławskich ulicach. Śledztwo w sprawie

tajemniczych zabójstw prowadzą borykająca się z emocjonalnymi problemami policjantka Helena (Małgorzata Kożuchowska) i agentka CBŚP Iwona (Daria Widawska). Obie aktorki przeszły zdumiewającą fizyczną metamorfozę i dały się poprowadzić uwielbiającemu pracować z kobietami reżyserowi. Niebawem na ekrany wejdą drugie „Kobiety mafii”. Telewizyjny film Vegi również jest oparty na rolach kobiecych. Nie myliłem się, pisząc, że gdyby reżyser nie popełnił antyaborcyjnej myślozbrodni w „Botoksie”, musiałby zostać uznany przez lewicowe salony za czołowego feministę polskiego kina.

Vega wyraźnie się odcina od „Pitbulowej” trupy aktorskiej. Uśmiercił swoich ulubionych aktorów w „Kobietach

Uczcie się od Gibsona! 🗣️🗣️

Od nakręcenia „Pasji” Mela Gibsona minęło 14 lat. Jak widać, potrzeba kolejnych 114 lat, by chrześcijanie się nauczyli, jak się robi ewangeliczne kino według najlepszych wzorców. Twórcy „Samsona” mieli jednak jeszcze większe ambicje niż Gibson. Wymarzyli sobie epickie kino sandałowe rodem z lat 50. Z „Ben Hurem” ma „Samson” wspólnego tyle, ile krzesło z krzesłem elektrycznym. Od pierwszej minuty tego „widowiska” można się czuć rażonym prądem. Poraża zarówno infantylizm tej produkcji, jak i brak jakiegokolwiek zażenowania twórców własnym dziełem.

A przecież Samson to fascynująca postać biblijna. Heros o nadludzkiej sile, gołymi rękoma zabijał lwy, osłą szczęką pokonał całą armię, został pogromcą Filistynów. „Samson” gromi za to poczucie filmowego smaku. To nieznośnie kiczowaty, protestancki christian movie, który nie sprawdzi się nawet na szkolnej katechezie. No, może polubią go przedszkolaki. Chyba że oslepią ich śnieżnobiałe zęby i wymuskane ciała biblijnych postaci. Koszmar.

„SAMSON”, REŻ. BRUCE MCDONALD, DYSTR. KONRAD MEDIA





Chłopcy, czyli starcy

Na „Chłopców” Stanisława Grochowiaka w Teatrze Telewizji czekałem z ciekawością. W swoim czasie była to żelazna pozycja teatrów w Polsce. Tak jak najslawniejsze sztuki Tadeusza Różewicza czy Sławomira Mrożka.

Oczywiście realizm Grochowiaka z tymi jego prawie poetyckimi monologami daleki jest od dawnego teatru mieszczańskiego. Wszystko jest tu metaforą. Niech wystarczy, że to jeden z ostatnich wielkich dramaturgów, którymi powinien stać teatr, a dziś stoi już nie w pełni. „Chłopcy”, opowieść o poniżonej starości, doczekali się w swoim czasie ważnej wersji filmowej Ryszarda Bera z ówczesnymi gwiazdami starszych generacji. Wszystko to działo się w głębokim PRL.

Powrót do niego to powrót do czasu świetności polskiej dramaturgii. A zarazem... Nie chcę być źle zrozumiany, ostatni rok był dobrym rokiem Teatru Telewizji. Było kilka przedstawień wielkich („Okno na tamtą stronę” według tekstów Władysława Szlegla czy „Inspekcja” Grzegorza Królikiewicza). Niemniej dominowała klasyka albo historia. Po części z powodu okoliczności: druga połowa roku to cykl przedstawień upamiętniających stulecie niepodległości. Ale ten przechył jest także efektem większego kłopotu polskich ludzi teatru, gdy przychodzi im się zmagać ze współczesnością.

Toteż „Chłopcy” to jakby proteza współczesnej tematyki. Ładna to współczesność, skoro dramat został wystawiony po raz pierwszy w roku 1966. Zgodnie z moimi przewidywaniami Robert Gliński spróbował go jednak adaptować tak, żeby współczesność imitować. Zakonnice prowadzące dom starców borykają się z automatem do kawy, a Pożarski, peerelowski radykał, słyszy, że jest lewakiem.

Na dokładkę adaptator nasycił opowieść krakowskimi smaczkami. Słyszemy więc muzykę Zygmunta Koniecznego, oglądamy, ale jako wspomnienie, piosenki Ewy Demarczyk. To ozdóbki, niemniej dobrze konweniujące z pojawieniem się

gwiazdzbioru krakowskich scen – to na występy tych ludzi jeździłem z Warszawy do Krakowa jeszcze w latach 70.

Zarazem Gliński mocno okroił tekst, polikwidował niektóre postaci i wiele rodzajowych akcentów. Wszystko jest tu zwięzłe i precyzyjne. Czy to zaleta, czy wada? To przedstawienie z czasów, kiedy nie wierzy się w zdolność publiki do długiego delektowania się samym klimatem, dygresyjnym rytmem ludzkich historii. Zresztą Teatr Telewizji ma ledwie półtoragodzinny format.

Sporo z Grochowiaka jednak zostało. Bunty starców przeciw reżimowi domu prowadzonego przez zakonnice dziś mogą się wydawać nawet bardziej ekscytujące niż w czasach peerelowskich. Zwłaszcza gdy je otoczyć galicyjską mgiełką. Ale tak naprawdę głównym tematem jest poczucie upokorzenia – kluczem do niego są relacje głównego bohatera, Kalmita, z młodszą, choć także starzejącą się, żoną. Owo przechodzenie na drugą stronę, starości, choć będące tematem niezliczonych utworów, wciąż pozostaje fascynujące. I tego Gliński nie zagubił.



Zwłaszcza gdy oglądamy wyraziste twarze i słuchamy głosów Edwarda Lubaszenki, Mariana Dziędziela, Andrzeja Grabowskiego, Tadeusza Kwinty, Urszuli Popiel. Fenomenalną, demencją siostrą przełożoną jest dawno niewidziana Elżbieta Karkoszka. Ale oczywiście główny ciężar spoczywa na Annie Dymnej i Jerzym Trelu grających Kalmitów.

Trela gra powściągliwie, można by rzec, jest taki, jak zawsze. Ktoś kto tak pomyśli, nie zauważy, że to on nagina graną postać do swoich cech, sposobu bycia. Zaiste potężna to zdolność.

Piotr Zaremba

Plebejusz w inteligenckim gronie



Stolik robi się coraz mniejszy. Kto przy nim został?

Zanussi, Polański, Skolimowski. Mistrzowie, którzy

kreowali polską szkołę filmową, z roku na rok się wykruszają. Kazimierz Kutz był jednym z nich.

Wizjoner. Artysta. Twórca odrębny. Związany całe życie ze Śląskiem. Zmarł w wieku 89 lat

Był jednym z najwybitniejszych polskich reżyserów. Jednym z ostatnich żyjących, którzy tworzyli szkołę polską powstałą w latach 50. XX w. – mówi tygodnikowi „Sieci” filmoznawca dr Łukasz Jasina. Kazimierz Kutz urodził się 16 lutego 1929 r. w robotniczej rodzinie w Szopienicach, obecnie dzielnicy Katowic. W 1955 r. ukończył reżyserię na łódzkiej Filmówce. Debiutował „Krzyżem Walecznych” (1959) na podstawie trzech opowiadań Józefa Hena. Już w tym filmie Kutz dowodził swojej przekorności. Film został odczytany jako polemika z romantyczno-inteligencką manierą opowiadania o wojnie, w której celowali Andrzej Wajda i Andrzej Munk. Kutz był zresztą współpracownikiem Wajdy przy tak ważnych filmach jak „Pokolenie” i „Kanał”. W przeciwieństwie do bardzo wszechstronnego Wajdy Kutz pozostał twórcą kina bliskiego swoim korzeniom i miejscu urodzenia. Do historii polskiego kina przeszedł, realizując tzw. śląską trylogię.

– Był tym, który wprowadził do polskiego kina robotniczy Śląsk. Kręcąc takie filmy jak „Sól ziemi czarnej”, „Perła w koronie” i „Paciorki jednego różańca”, wprowadził do świadomości polskiego widza Śląsk, którego nie docenialiśmy tak, jak powinniśmy – dodaje Jasina.

Kutz to również reżyser niebojący się eksperymentować warztatowo. W „Nikt nie woła” (1960) pokazał swoje wizjonerstwo plastyczne. Dziś Paweł Pawlikowski za wystudiowane czarno-białe freski zbiera nagrody na całym świecie. Po Oscarze za „Idę” Kutz tajemniczo wyznał, że ma swój udział w sukcesie Pawlikowskiego. „Nikt nie woła” nie został odkryty w odpowiednim czasie. Komuniści uznali go za niebezpieczną awangardę i oskarżali o promowanie erotyki. Film wstrzymano w Polsce. Włoscy krytycy, którzy go obejrzeli dopiero w latach 90., uznali, że wyprzedzał on epokę Michelangela Antonioniego.

Kulturę miał wszczepioną od wczesnych lat młodości. Tak jak miłość do Śląska. „Ojciec był kolejjarzem, powstańcem śląskim, działał w PPS-ie. Matka nas wychowywała i wprowadzała do świata kultury. Nie można być artystą, jeśli człowiek się nie fascynuje pięknem” – mówił Kazimierz Kutz w jednym z wywiadów.

Jasina podkreśla, że Kutz pokazał nam też, że film to wielkie rzemiosło. Nie tylko śląska trylogia była tego dowodem.

„Ludzie z pociągu” (1961) to przecież film formalnie zupełnie różny od „Nikt nie woła”. Strukturę „Ktokolwiek wie...” (1966) porównywano do „Obywatela Kane’a” Orsona Wellesa.

Reżyser nigdy nie przestawał podkreślać swojej społecznej wrażliwości. Niejednokrotnie przyznawał się do fascynacji Charliem Chaplinem. Również ze względu na lewicowość genialnego komika. Łączyła ich miłość do ludzi ze społecznych nizin.

Kutz ostatnie swoje filmy nakręcił w połowie lat 90. „Śmierć jak kromka chleba” (1994) upamiętniała pacyfikację kopalni „Wujek”. Z komunizmem Kutz rozliczał się też w „Zawróconym” (1995). A jednak karierę reżyserską skończył komedią „Pułkownik Kwiatkowski” (1995). Potem nie chciał wracać do reżyserii, mówiąc, że nie pragnie być niedołężnym reżyserem, za którego inni wykonują pracę na planie. Znamienne, że Kutz nie był specjalnie nagradzanym filmowcem. Jego „Perła w koronie” (1971) była pokazywana na festiwalu w Cannes, zaś „Milczenie” (1963) walczyło o Złotego Lwa w Wenecji. Do najważniejszych nagród filmowych Kutz może zaliczyć jednak obrazy „Śmierć jak kromka chleba” i „Zawrócony” obdane nagrodami na festiwalu w Gdyni. Złote Lwy w Gdyni dostał też za „Paciorki jednego różańca” (1980). Za ten obraz otrzymał też nagrodę w Karłowych Warach.

Kutz sam siebie nazywał „plebejuszem w inteligenckim gronie twórców polskiej szkoły filmowej”. Politycznie wiązał się jednak z inteligencką i na wskroś salonową Unią Wolności, z której to listy został senatorem. Popierał w wyborach prezydenckich postkomunistę Włodzimierza Cimoszewicza. Był również posłem PO. Ostatecznie związał się ze skandalistą Januszem Palikotem. Nie unikał ostrego publicystycznego języka. W felietonach dla katowickiej „Gazety Wyborczej” bezwzględnie uderzał w polską prawicę. W 2010 r. zrealizował marzenie swojej młodości. Wydał powieść „Piąta strona świata”, która została przerobiona na sztukę i wystawiona w Teatrze Śląskim. Szkoda, że Kutz, który wyreżyserował wiele wspaniałych przedstawień Teatru Telewizji, nigdy nie zekranizował swojej powieści. Byłaby to piękna kropka nad i jego niezwyklej twórczości.

Łukasz Adamski



Hit tygodnia

SiOnyx Aurora

„**S**iOnyx Aurora, pierwsza kamera na świecie zdolna uchwycić wszystkie życiowe momenty w dzień lub w nocy. Uwzględniłyśmy opatentowaną technologię czujnika podczerwieni Ultra Low-Light, która nie tylko przechwytuje obrazy w warunkach słabego oświetlenia, lecz także zapewnia obraz w ciemności w kolorze monochromatycznym lub w kolorze. Życie się nie kończy, gdy słońce zachodzi, ani Aurora” – tak reklamuje swój produkt firma SiOnyx, znana z produkcji wysokiej klasy urządzeń noktowizyjnych. A za pomocą niewielkiej kamerki sportowej Aurora postanowiła podbić rynek konsumencki i ma spore szanse, by nieco zamieszać w segmencie kamer sportowych. Dlaczego? Po prostu oferuje niesamowite w tej klasie sprzętu możliwości nagrywania w trudnych warunkach oświetleniowych, tak słabych jak 0,001 luksa (czyli w bezksiężycowe, pochmurne nocne niebo). Co prawda w maksymalnej rozdziel-



czości HD. Poza możliwościami nagrywania w trudnych warunkach oświetleniowych kamera może się pochwalić wodoodpornością (do 1 m do 30 min), posiada GPS, akcelerometr i kompas. Pomoc w pracy kamerki zapewnia darmowa aplikacja na Androida oraz iOS.

Cena: 799 dol.

Plusy i minusy

- + ciekawe urządzenie do kręcenia filmików nocą
- na pewno cena mogłaby być niższa

Doogee BL5500 Lite

Doogee BL5500 Lite to smartfon wyposażony w czterordzeniowy procesor MT6739WA, który pracuje z częstotliwością taktowania na poziomie 1,3 GHz. Za grafikę odpowiada chip GPU IMG 8XE IPCC. Smartfon ma 2 GB pamięci RAM oraz 16 GB pamięci wewnętrznej, którą można rozszerzyć za pomocą karty micro SD o maksymalnej pojemności 64 GB. Ekran smartfona ma przekątną 6,19 cala i proporcje 19:9. Pokryto go wzmocnionym szkłem Corning Gorilla Glass 3. Dobrze wrażenie robi również tylna kamera wyposażona w dwa obiektywy: 13 + 8 MP f/2.0. Obok aparatu umieszczony jest czytnik linii papilarnych, który odblokowuje urządzenie w zaledwie 0,1 s. Aparat na przedniej części obudowy to pojedynczy obiektyw 5 MP f/2.2. Smartfon wyróżnia wyjątkowo pojemna bateria. Akumulator o pojemności 5 500 mAh daje możliwość przeglądania internetu przez 28 godzin, odtwarzania filmów przez 24 godziny oraz prowadzenia rozmów przez 35 godzin. Czas czuwania wynosi aż 700 godzin. Smartfon pracuje pod kontrolą systemu Android 8.1 Oreo.

Zapowiedź



Daphile player F105D

C4i wprowadza na polski rynek najnowszy odtwarzacz sieciowy audio Daphile player F105D z systemem Daphile Hi-Fi opartym na Linuksie. Daphile to niekomercyjny, wyspecjalizowany system operacyjny audio, którego celem jest przechowywanie i odtwarzanie plików oraz streamów muzycznych w wysokiej rozdzielczości. Daphile Player łączy funkcje odtwarzacza i serwera plików, streamera, front-endu dla głośników aktywnych oraz odtwarzacza dla systemu wielostrefowego audio. Daphile Player F105D odtworzy każdy plik audio Hi-Res z dysków sieciowych, swojej pamięci czy podłączonych nośników USB. Współpracuje także z serwisami usług transmisji strumieniowej, jak Tidal, Spotify, Deezer czy nawet YouTube.

Cena: 1285 zł

Przygotował Paweł Gadaczek



STYCZEŃ

MOCNY TYDZIEŃ!

z TELEWIZJĄ **W POLSCE PL**



PONIEDZIAŁEK

17:05

BARDZO
WAŻNA SPRAWA



WTOREK

22:00!

SERIAL
SŁUGA NARODU

WŁĄCZ **W POLSCE PL**

ŚRODA

13:05!



PROSZĘ
TO WYJAŚNIĆ

CZWARTEK

17:25



TYDZIEŃ JACKA I MICHAŁA
KARNOWSKICH

PIĄTEK

22:00



BEZ
SPINY !!!

„Gazeta Wyborcza” korupcyjną propozycję złożoną przez szefa Komisji Nadzoru Finansowego Leszkowi Czarneckiemu sprowadziła do „afery PiS”. Tymczasem problem jest o wiele poważniejszy. KNF nie od dziś jest elementem wszechwładzy sektora finansowego nad Polską, a nie kontroli obywateli czy państwa nad bankami. Sektor bankowy zajmuje u nas niezwykle uprzywilejowaną pozycję i stoi niejako ponad prawem. Tak jak Watykan jest państwem kościelnym, tak Polska jest państwem bankowym

KNF

KOMISJA
NADZORU
FINANSOWEGO

We władzy banków

Kiedy Leszek Czarnecki w marcu br. odwiedził KNF, jego imperium chyliło się już ku upadkowi. Szedł prosić, by KNF kryła jego wpadki i nie ostrzegała klientów przed lokowaniem pieniędzy w jego placówkach. Miał więc prosić o coś, co jest całkowicie sprzeczne z zadaniami tej instytucji. Dlaczego? Ano dlatego, że KNF nieraz już szła na rękę bankowcom czy – jak kto woli ich nazywać – „banksterom”. Tylko dlatego możliwe były te wszystkie afery: frankowa, polisolokat, Amber Gold czy choćby masowo stosowane niedozwolone klauzule w umowach kredytowych.

Nikt jakoś nie pokusił się jeszcze o zbadanie, jak wielu urzędników KNF podjęło później pracę na lukratywnych stanowiskach w sektorze bankowym, ale wystarczy powołać emblematyczny przykład zatrudnienia w mBanku byłego



PIOTR IKONOWICZ

szefa KNF Andrzeja Jakubiaka po niespełna trzech miesiącach od czasu, kiedy instytucja ta była przez niego nadzorowana. Prawo wprowadzić nie zakazuje takich praktyk, ale konflikt interesów i korupcyjny charakter tego typu przepływu kadr jest oczywisty.

Cezary Mech, twórca ustawy o nadzorze nad rynkiem finansowym i tym samym KNF, zapytany o ewentualność ograniczenia tego proceduru oświadczył, że nie wierzy w skuteczność ewentualnych zapisów prawnych, które uniemożliwiałyby tego typu praktyki. Ta niewiara w skuteczność regulacji mających zapobiegać działaniom nieuczciwym i aspołecznym jest wśród ludzi związanych ze sferą finansów dość powszechna. Innego zdania jest prof. Witold Modzelewski, który nie tylko wypowiada się za zakazem podejmowania zatrudnienia w instytucjach finansowych przez byłych funkcjonariuszy KNF przez kilka

lat, lecz postuluje także, by warunkiem sprawowania odpowiedzialnych funkcji w Komisji Nadzoru Finansowego było ukończenie 55–60 lat, tak aby było to uwieńczeniem kariery, a nie punktem wyjścia do wicia sobie gniazdka w sektorze bankowym lub ubezpieczeniowym.

MÓWIĄ POKRZYWDZENI

Autor portalu Wirtualna Polska, chcąc podsumować aferę korupcyjną w KNF, sprowadza charakterystykę jednego z bohaterów dramatu, Leszka Czarneckiego, do krótkiego określenia: „prężny biznesmen”. Wielu ekspertów uważa jednak, że ten „prężny biznesmen” od dawna prowadzi mocno wątpliwe interesy.

Kogoś, kto wątpi, wystarczy odesłać do licznych forów klientów prowadzonych przez niego instytucji finansowych, aby się przekonać, jak źle, i to od wielu lat, są opinie o ich usługach. Oto wpis na stronie Oszukani przez Getin Bank z 9 sierpnia 2012 r.: „Na stronie www.wrobieni.org dowiedziałem się, że jest mnóstwo osób poszkodowanych przez Getin Bank, który obciął ich lokaty o ponad 35 proc. Tym niemniej produkt Getin Banku o nazwie »Plan Systematycznego Oszczędzania Zabezpiecz Przyszłość« jest jeszcze większym przekrętem Getin Banku. Okazuje się, że po roku od założenia tej lokaty/produktu i ulokowaniu w nim 5500 zł mogę zgodnie z pokazaną mi tabelą bankową – której wcześniej nikt mi na oczy nie pokazywał – wypłacić 700 zł! Czyli niecałe 15 proc. wpłaconych środków. Takie coś jest możliwe w Polsce? W banku? I Komisja Nadzoru Finansowego nie może nic z tym zrobić?».

Takich wpisów są setki na rozmaitych forach i przewijają się pytanie: co na to KNF? A KNF na to nic. Jak Leszek Czarnecki nakłaniał nadzór finansowy do milczenia w sprawie swoich wątpliwych operacji, tego nie wiemy, ale jego ostatnia wizyta u szefa KNF dowodzi, że jakoś dotychczas się z nim dogadywał.

Banki i bankierzy stanowili dotąd sanktuarium niedostępne nie tylko dla mediów, lecz i dla prokuratury. Pokrzywdzeni przez instytucje finansowe na ogół nie mogą liczyć na pomoc powołanych do tego celu publicznych instytucji. Pozostaje im poszukiwać wsparcia w różnych stowarzyszeniach i obywatelskich instytucjach pomocowych. Dobrą ilustrację tezy, iż nieuczciwe banki na ogół są nietykalne, stanowi historia pary starszych ludzi, którzy poszukiwali pomocy w Kancelarii Sprawiedliwości Społecznej. Żyli z rent w wysokości 600 zł. Chcąc polepszyć swoją sytuację bytową, sprzedali jedyną swą własność, działkę, za którą uzyskali 170 tys. zł. Żeby nabywca mógł dokonać przelewu, otworzyli konto w Getin Banku. Ktoś jednak w banku skopiował karty płatnicze, zanim oni wyjęli je ze skrzynki pocztowej. Kiedy poszli do baku na skargę, zostali zrugani i przepędzeni. W trakcie krótkiego śledztwa prokurator nie odważył się przekroczyć drzwi banku, nie przesłuchano żadnego z jego pracowników, po czym śledztwo umorzono.

Trafiło też do Kancelarii Sprawiedliwości Społecznej młode małżeństwo. Ludzie ci zaciągnęli w Getin Banku kredyt na budowę domu. Kredyt żyrowali również rodzice jed-

nego z małżonków. Kiedy nie dali rady z ratami, bank przejął dopiero co postawiony dom, więc cała rodzina z dwójką dzieci przeprowadziła się do małego domku o powierzchni 60 m² zajmowanego przez rodziców. Kiedy Getin Bank wszczął procedurę, by również ten domek zlicytować, podjęto próbę dotarcia do osoby, która jest bliską znajomą Leszka Czarneckiego. Owa znajoma właściciela banku z pełnym przekonaniem oświadczyła, że nie podejmie tak naiwnych rozmów, ponieważ pan Leszek tak właśnie dorobił się swoich milionów i nie będzie z dłużnikami negocjował.

KOGO CHRONI KNF

Oczywiście nikt by Leszkowi Czarneckiemu nie zaglądał w papiery ani nie ścigał jego machinacji, gdyby nie zagładające mu w oczy widmo bankructwa. Teraz, kiedy zaczął tonąć, cena za ochronę wzrosła, a ponieważ nie było go na nią stać, nagrał całą rozmowę i ujawnił. Ujawnił z wielomiesięcznym opóźnieniem, bo wiedział, że jego imperium i tak upadnie. Postanowił więc upaść z hukiem. Uznał najwidoczniej, że skoro źle mu poszło w biznesie, to spróbuje się wykaraskać z kłopotów, dołączając do obozu Koalicji Obywatelskiej. Jeżeli plan obalenia rządu powiedzie się na tej samej zasadzie, na jakiej taśmy Rywina obaliły rząd SLD, to może rząd PO pozwoli Czarneckiemu powrócić do finansowej potęgi. Nie byłby to pierwszy raz, kiedy za pieniądze podatnika ratuje się prywatne banki.

REKLAMA



The advertisement for Radio Warszawa 106,2 FM features a large, professional microphone in the foreground, set against a dark background with a red and blue gradient. To the right of the microphone is the station's logo, which consists of a stylized 'W' and 'A' in blue and red, with the text 'RADIO Warszawa' and '106,2 FM' below it. A soundwave graphic is positioned below the logo, with the frequency '106,2' displayed within it. At the bottom right, the website address 'www.radiowarszawa.com.pl' is provided. On the far right edge, there is a small vertical text '62/1118/F'.

Komisja Nadzoru Finansowego powstała, by kontrolować sektor bankowy i ubezpieczeniowy w imieniu państwa, ale też w imieniu milionów klientów, obywateli. Tymczasem dotychczasowa praktyka jej funkcjonowania od lipca 2006 r., kiedy powstała, wskazuje, że chroniła ona wyłącznie interesy banków i firm ubezpieczeniowych.

Przykładem jest sprawa polisolokat. Ten dziwny instrument finansowy polegał na nakłanianiu klientów banku do niekorzystnego rozporządzenia swoim majątkiem poprzez wprowadzenie ich w błąd, co wyczerpuje znamiona przestępstwa zwanego oszustwem. W sprawie polisolokat oferowanych przez Getin Bank zapadł nawet wyrok w procesie cywilnym, ale bardzo łagodny. Getin Bank nie obronił swoich racji przed sądem, który utrzymał w mocy 5 mln zł kary za sprzedawane klientom polisolokaty. W podobne produkty w innych bankach weszło kilka milionów Polaków. Zdaniem Rzecznika Finansowego praktycznie nie dawały klientom szans na obiecany zarobek. Te kilka milionów klientów nigdy nie odzyskało swoich pieniędzy, a w grę wchodzi suma ok. 60 mld zł. Sąd uznał, że bank należący do Leszka Czarneckiego wprowadzał klientów w błąd, proponując im grupowe ubezpieczenie na życie z Ubezpieczeniowym Funduszem Kapitałowym (UFK), co powszechnie nazywa się polisolokatami.

Najwięcej kontrowersji wzbudzały opłaty likwidacyjne. Okazało się, że chcąc przed wygaśnięciem produktu zerwać polisolokate i wycofać swój kapitał, klient w różnych firmach tracił nawet 90 proc. środków z tytułu opłaty likwidacyjnej. Jeszcze większy problem polegał na tym, że klient często myślał, że zawiera umowę na lokatę, a nie polisolokate, nie wiedział zatem, że nie może zerwać umowy przed czasem, bo wtedy straci niemal wszystkie swoje pieniądze. A umowy zawierane były często na 10, 15, a nawet 30 lat.

I w tej sprawie w latach 2008–2009 Urząd Rzecznika Ubezpieczonych wspólnie z Urzędem Ochrony Konkurencji i Konsumentów wystąpiły z pismem do KNF, wskazując na nie normalnie wysoką opłatę likwidacyjną jako niedopuszczalną. Jednak KNF odpowiedziała pismem, w którym uspokajała, że tego rodzaju praktyki to norma i że podobnie jest w krajach zachodniej Europy. Było to wierutne kłamstwo, gdyż w krajach starej Unii opłata likwidacyjna przy podobnych instrumentach finansowych to najwyżej kilka, a nie 90 proc. Wystarczyło to jednak, by na jakiś czas uspokoić instytucje, które zajmują się ochroną obywateli przed nadużyciami.

Najgorsze jest to, że mimo nacisku Rzecznika Finansowego i UOKiK nikt nie zwraca klientom wyłudzonych w ramach polisolokat pieniędzy, a instytucja, która broni interesów banków, jest wciąż ta sama KNF.

Podobnie zresztą jest w sprawie domniemyanych kredytów frankowych, które przecież nigdy frankowe nie były

i stanowiły kolejny masowy szwindel bankowców przeciw obywatelom. I tu KNF dawała pełną ochronę bankom, a władza, która ustami Andrzeja Dudy obiecywała, że zmusi banki do częściowego podzielenia się z klientami zyskami z tego przekreślenia, odsyła ich teraz do sądów. Tych samych sądów, na których na co dzień nie zostawia suchej nitki.

SZUMIDŁA I BEZKARNOŚĆ

Komisja Nadzoru Finansowego teoretycznie miała za zadanie stać na straży interesu publicznego. Niestety ten interes utożsamia się u nas z interesami banków, a nie państwa czy jego obywateli. Niewątpliwie propozycja zatrudnienia protegowanego szefa KNF w banku Czarneckiego była skandaliczna i miała charakter korupcyjny. Nie odbiegała jednak od dotychczasowych praktyk tej instytucji. Różnica jest taka, że poprzednich rozmów o podobnych „transferach” nikt nie nagrał albo jeszcze nagrań nie ujawnił. O tym, że tych rozmów było więcej, świadczy

fakt, że w siedzibie KNF funkcjonują „szumidła”. Może tylko tym zagłuszkom zawdzięczamy, że nie dysponujemy nagraniem z rozmowy, w której pan Jakubiak, były szef KNF, załatwiał sobie robotę w mBanku. W sytuacji, w której urzędnicy KNF od razu po skończonej kadencji mogą się zatrudniać w instytucjach finansowych, powoduje, że takich korupcyjnych propozycji nie trzeba nawet formułować wprost, ponieważ przypuszczenie, że potężna i bogata firma może się w przyszłości odwdziżyć życzliwemu

ekspertowi, narzuca się samo.

Afera KNF, podobnie jak poprzednio reprivatyzacyjna, to tylko przydatne narzędzia w międzypartyjnej wojnie PiS-PO. I tak jak nikt nigdy nie zamierzał powstrzymać oddawania kamienic z lokatorami, tak też nikt nie wynagrodzi oszukanym klientom banków ich strat ani nie zapobiegnie dalszym oszustwom banksterów. PiS musi ponieść polityczną odpowiedzialność za swego urzędnika, ale byłoby źle, gdyby przy okazji nie wyszło na jaw, że my, społeczeństwo, my, opinia publiczna, my, klienci banków i konsumenci, nie mamy żadnej kontroli nad bankami. Organ kontrolny od początku swego istnienia kryje oszustów, którzy naciągają i krzywdzą obywateli. I to niezależnie od tego, kto aktualnie sprawuje władzę.

Media podają, że Leszek Czarnecki nie jest już miliardem. Są gorsze nieszczęścia. Wciąż jednak nie wynagrodził on choćby ułamka strat, na które naraził swych klientów za sprawą nieuczciwych praktyk. Jeżeli plan zadziała i nowi protektorzy Czarneckiego, czyli PO, dojdą do władzy, Czarnecki nie będzie musiał niczego już nikomu zwracać. A interesy będą dalej kwitły wśród płaczu i zgrzytania zębów dla nikogo nieważnych zwykłych ludzi.



Nareszcie święta we własnym domu

Mieszkańcy osiedli zbudowanych w programie Mieszkanie+ w Jarocinie, Białej Podlaskiej i Kępnie wprowadzili się już do swoich nowych domów. W tym roku 500 rodzin dzięki programowi po raz pierwszy spędziło święta Bożego Narodzenia „na swoim”

Monika Kopczyńska z Białej Podlaskiej jest samotną mamą trójki dzieci. Są już prawie dorosłe: jedna córka studiuje, druga kończy technikum, a najmłodsza – szkołę podstawową.

– Dotychczas wynajmowałam mieszkania w różnych miejscach. Nieduże – po dwa pokoje. Nie miałyśmy żadnych szans kupić nic własnego. Z moją wypłatą – najniższą krajową – w żadnym banku nie dostałabym kredytu – opowiada pani Monika.

Z drugiej strony, na mieszkanie komunalne były „za bogate”. Mieszkanie+ było ich jedyną szansą.

– Tyle lat się płaciło za kolejne stancje, ale nie było dotąd innego wyjścia. Teraz mamy nasz pierwszy własny dom. Też tylko dwa pokoje, ale swoje. Jest nam tu dobrze. Nie starałyśmy się o większe, bo rachunek także byłby większy. A i dzieci niedługo może pójść dalej – mówi.

Klucze do mieszkania dostały 13 czerwca 2018 r. A już 4 lipca wszystko było urządzone.

– Pomogli nam chłopcy z firmy, która wybudowała blok. Już wcześniej, kiedy nie mogliśmy się doczekać mieszkania i przyjeżdżaliśmy na budowę, poprosiliśmy o pomoc w urządzaniu panów pracujących tutaj. Dzięki nim tak szybko mogliśmy się wprowadzić – opowiada pani Monika.

Teraz już czują się u siebie. Kiedyś to mieszkanie formalnie stanie się własnością pani Moniki. Podpisanie aneksów dla opcji dościa do własności zaplanowano na styczeń nowego roku.

– Od kiedy tu mieszkamy, odwiedziło nas już sporo gości: i z pracy, i z rodziny. Była już prawdziwa parapetówka – bo przecież dotąd nie było jak, przenosząc się ze stancji na stan-

cję... I wreszcie nasze pierwsze święta Bożego Narodzenia we własnym domu. Przy wigilijnym stole, całą rodziną, u siebie – podkreśla pani Monika.

Czterooosobowa rodzina z Jarocina: pan Arkadiusz Kominek z żoną i dwoma synami, od sześciu lat starała się o mieszkanie komunalne. Bezskutecznie.

– Nie doczekaliśmy się go, więc kiedy pojawiła się szansa na Mieszkanie+, złożyliśmy od razu wnioszek i szczęśliwie zostaliśmy zakwalifikowani. Aż dotąd skazani byliśmy na wynajem. Ale wiadomo – to są koszty, które się nie zwrócą, bo mieszkanie nigdy nie byłoby nasze. Teraz w naszym mieszkaniu jesteśmy zameldowani na pobyt stały i mamy perspektywę dościa do własności – opowiada pan Arkadiusz.

Na osiedlu Siedlemin mieszkają od połowy maja 2018 r. Mają tu trzy pokoje, w tym salon z aneksem kuchennym. Są zadowoleni z infrastruktury osiedla.

– Dzieci mają do swojej szkoły 50 metrów. A do samego Jarocina są dwa kilometry. Do centrum miasta można dojechać autobusem kursującym co pół godziny, ale praktycznie wszyscy mieszkańcy mają swoje samochody – opisuje pan Arkadiusz.

Bez Mieszkania+ tkwiliby nadal w kolejce po lokal komunalny, nie wiadomo, w jakim stanie i po ilu latach by go dostali.

– Nie upolityczniając tematu, chciałbym podziękować wszystkim tym, którzy przyczynili się do tego programu, do tego, że takie mieszkania powstają i dostają je ludzie bez szans na inną opcję. To nasze pierwsze święta, jakie spędzimy we własnym domu. A takich rodzin jak my jest jeszcze bardzo wiele – dodaje pan Arkadiusz.

Anna Raciniewska



COP24 • KATOWICE

UNITED NATIONS CLIMATE CHANGE CONFERENCE

POLAND 2018



Globalny sukces Polski

Globalny szczyt klimatyczny zakończył się nie tylko organizacyjnym sukcesem Polski, lecz również stał się wielkim krokiem w realizacji Porozumienia paryskiego poprzez przyjęcie tzw. pakietu katowickiego. Podczas konferencji prasowej podsumowującej 24. sesję Konferencji Stron Ramowej Konwencji Narodów Zjednoczonych swoje opinie o wydarzeniu wyrazili minister środowiska Henryk Kowalczyk, wiceminister i prezydent COP24 Michał Kurtyka oraz sekretarz wykonawcza UNFCCC (Konwencji Klimatycznej ONZ) Patricia Espinosa

W dniach 2–15 grudnia w Międzynarodowym Centrum Kongresowym w Katowicach prawie 30 tys. gości z całego świata – przedstawiciele państw i instytucji międzynarodowych, organizacji pozarządowych, biznesu – debatowało nad sposobem osiągnięcia celów wyznaczonych w Porozumieniu paryskim z 2015 r. Gośćmi szczytu byli prezydent RP Andrzej Duda, sekretarz generalny ONZ António Guterres oraz szefowie rządów z kilkudziesięciu państw świata, w tym premier Mateusz Morawiecki.

„Przyjęty podczas szczytu klimatycznego COP24 Pakiet katowicki tworzy reguły światowej polityki klimatycznej na najbliższe lata. To bezdyskusyjny i spektakularny sukces. Świat na tym skorzysta” – powiedział minister Kowalczyk. „Pakiet katowicki przybliży świat do skutecznych działań w dziedzinie ochrony klimatu, dając przy tym możliwość wyboru własnej drogi

dla poszczególnych krajów, jak należy podejść do redukcji emisji CO₂”.

Podczas COP24 udało się osiągnąć konsensus wszystkich uczestniczących w szczycie krajów, co było niezwykle trudne. Dzięki porozumieniu, które przy ogromnym zaangażowaniu osiągnęły strony, Katowice stały się po Kioto i Paryżu kolejnym kamieniem milowym na drodze do zrównoważonej globalnej polityki klimatycznej.

„W Katowicach zaczyna się historia światowej polityki klimatycznej. Wspólnie wypracowaliśmy ambitne i systemowe reguły tej polityki dla całego świata. To miłowy krok nie tylko na mapie porozumień klimatycznych, lecz w ogóle dla budowania solidarności i współpracy międzynarodowej” – mówił wiceminister Michał Kurtyka, sprawujący funkcję prezydenta na COP24. „Sądzę, że nie można wyobrazić sobie lepszego miejsca dla wypracowania wspólnego stanowiska wszystkich państw w sprawie polityki klimatycznej niż Polska. Nasz kraj w ciągu ostatnich 30 lat

ograniczył emisję gazów cieplarnianych o 30 proc. przy jednoczesnym, ciągłym wzroście gospodarczym. Inwestujemy w nowe technologie i innowacje, chociażby w elektromobilność” – wyjaśniał podczas konferencji minister Kurtyka.

„W Katowicach doszło do historycznego momentu, kiedy wszystkie państwa powiedziały, że będą wspólnie realnie działać dla powstrzymania największego zagrożenia dla ludzkości, jakim są obecnie zmiany klimatu” – podkreśliła na zakończenie szczytu sekretarz wykonawcza UNFCCC (Konwencji Klimatycznej ONZ) Patricia Espinosa.

„Szczyt klimatyczny COP24 to wielki krok w kierunku ochrony środowiska naturalnego. Istotne było też pokazanie polskich wysiłków na rzecz ograniczenia negatywnego oddziaływania na środowisko” – powiedział w wywiadzie udzielonym PAP po zakończeniu szczytu w Katowicach premier Mateusz Morawiecki.

(KKut)

Ambasadorzy zrównoważonego podejścia do przeciwdziałania zmianom klimatu

Polska podjęła się realizacji wielkiego zadania – organizacji globalnego szczytu klimatycznego w 2018 r. Poprzedziły go wielomiesięczne przygotowania merytoryczne i logistyczne, wymagające współpracy wielu służb i instytucji. Dziś możemy z satysfakcją stwierdzić, że wszyscy stanęli na wysokości zadania, a Polska, Śląsk, Katowice sprostały przyjęciu rzeszy gości z całego świata. 24. Sesja Konferencji Stron Ramowej Konwencji Narodów Zjednoczonych, COP24, to kilkanaście dni ożywionych debat, rozmów i negocjacji zakończonych podpisaniem uzgodnionego przez wszystkich uczestników Pakietu katowickiego

Zadaliśmy o to, aby wszyscy negocjatorzy mieli dobre warunki do pracy i osiągnięcia kompromisów podczas COP24. Do dyspozycji Stron konwencji przygotowaliśmy osiem stref konferencyjnych, które mieszczą się na przestrzeni ponad 40 tys. m². Są to m.in. sale plenarne, konferencyjne oraz kilkaset innych przestrzeni, w tym biura, centra komputerowe i miejsca pracy” – informował tuż przed rozpoczęciem szczytu klimatycznego minister środowiska, Henryk Kowalczyk. „Wierzę, że finałem obrad w Katowicach będzie przyjęcie pakietu implementacyjnego, który zapewni pełne wdrożenie Porozumienia paryskiego” – trafnie przewidywał minister Kowalczyk.

CELE SZCZYTU

Przyjęcie pełnego, zrównoważonego pakietu wdrażającego Porozumienie paryskie było od początku najważniejszym celem katowickiego szczytu. Pakiet ten pozwoli na praktyczne funkcjonowanie wszystkich przewidzianych w porozumieniu instytucji oraz mechanizmów.

„Z rozmów, które prowadzę z państwami, wynika, że jest wola, aby osiągnąć porozumienie w Katowicach. Dlatego chcielibyśmy stworzyć takie warunki, w których odnalezienie wspólnego mianownika pomiędzy stanowiskami Stron będzie możliwe. Przed nami niewątpliwie bardzo trudna dyskusja. Jej kluczowym elementem jest operacjonalizacja Porozumienia paryskiego, czyli reguły katowickie, nad którymi będzie pracowało wiele tysięcy negocjatorów od pierwszego dnia spotkania. Pierwszy tydzień COP24 będzie bardziej techniczny, drugi polityczny” – zapowiadał tuż po sesji inauguracyjnej szczytu wiceminister Michał Kurtyka, prezydent COP24.

Jak zaznaczył wiceminister, pryncypia, które zostały przyjęte w 2015 r. w ramach Porozumienia paryskiego, mówią o tym, że państwa zgadzają się, iż powinny regularnie przedstawiać określone wkłady krajowe do redukcji emisji. Wkłady te mają stanowić odpowiedź na pytanie, w jaki sposób państwa strony wyobrażają sobie swoją kontrybucję do globalnej polityki klimatycznej. Jednak w Paryżu nie doprecyzowano, na czym mają one polegać. „Dopiero nasze porozumienie



Źródło: Materiały prasowe COP24 | 427/12/18/F

w Katowicach ma określić, co znaczą wkłady krajowe, w jaki sposób będą one mierzone, jak będziemy się upewniać, że realizujemy światowe cele. Tutaj diabeł tkwi w szczegółach. Dopiero rozstrzygnięcie tych kwestii będzie tworzyło wiarygodne ramy globalnej polityki klimatycznej” – wyjaśniał wiceminister.

CELE POLSKI

Cele Polski to utrzymanie globalnego charakteru Porozumienia paryskiego, dobrowolności wyboru sposobu ograniczania emisji oraz kształtowanie polityki klimatycznej i energetycznej w zależności od możliwości czy uwarunkowań surowcowych i geograficznych poprzez wykorzystanie

własnych zasobów naturalnych. Jak podkreślił wiceminister Sławomir Mazurek, przewodniczący polskiej delegacji na COP24, powstrzymanie zmian klimatu wymaga współpracy i skoordynowanych działań podejmowanych przez wszystkie strony konwencji. Jak dodał, wysiłki te muszą być jednak dostosowane do możliwości poszczególnych krajów.

„Chcemy być ambasadorem zrównoważonego podejścia do przeciwdziałania zmianom klimatu. Chcemy też reprezentować interesy regionu oraz bronić zasady suwerennego określania krajowych zobowiązań jako fundamentu skuteczności globalnych wysiłków” – podkreślił wiceminister Mazurek.

DEKLARACJA W DUCHU „SOLIDARNOŚCI”

Zgromadzeni na globalnym szczycie klimatycznym ONZ szefowie państw i rządów przyjęli deklarację o solidarnej i sprawiedliwej transformacji (ang. Solidarity and Just Transition Silesia Declaration). Przygotowała ją polska prezydencja, a w jej imieniu dokument podpisał prezydent Andrzej Duda. Deklaracja zakłada realizowanie celów związanych z ochroną klimatu przy jednoczesnym utrzymaniu rozwoju gospodarczego i miejsc pracy w duchu dziedzictwa „Solidarności”. Podpisanie deklaracji było najważniejszym punktem szczytu głów państw i szefów rządów.

Przedstawiciele 45 państw przyjęli deklarację przez akklamację. Lista krajów popierających deklarację pozostaje otwarta i możliwe jest przystępowanie do niej.



COP 24, czyli globalny szczyt klimatyczny ONZ, tworzą przedstawiciele 196 państw oraz Unii Europejskiej, którzy dyskutowali w Katowicach nad sposobami osiągnięcia celów wyznaczonych w Porozumieniu paryskim z 2015 r. Na szczycie obecni byli również reprezentanci poszczególnych agend i ministerstw, organizacji pozarządowych, środowisk biznesowych – w sumie ok. 30 tys. osób.



„Polska zawdzięcza swoją demokrację wielkiemu ruchowi społecznemu »Solidarność«, który wyrósł z ruchu związkowego, z walki o prawa pracownicze, możliwości zrzeszania się w wolne związki zawodowe, z walki o prawa socjalne. Przygotowując deklarację o sprawiedliwej i solidarnej transformacji, odwołujemy się do tego dziedzictwa” – podkreślał prezydent Andrzej Duda. Wskazywał na Górny Śląsk jako region symbol wielkiej przemiany, która dokonała się w Polsce, pozwalając jej dziś współkształtować globalną politykę ochrony klimatu i wychodzić z własnymi, ambitnymi inicjatywami.

Sygnatariusze deklaracji potwierdzają, że dla powodzenia działań zmierzających do stworzenia gospodarki niskoemisyjnej kluczowa jest społeczna aprobatą zachodzących zmian. Dlatego w pierwszej kolejności należy zapewnić bezpieczeństwo socjalne pracownikom, których miejsca pracy ulegać będą likwidacji lub przekształceniu.

Solidarność, do której odwołuje się przyjęta deklaracja, oznacza również wspólną odpowiedzialność wszystkich państw globu za środowisko naturalne. Po pierwsze, negatywne konsekwencje zmian klimatycznych dotyczą wszystkie regiony świata, choć w różnym stopniu. Inne są więc potrzeby i oczekiwania krajów bardziej i mniej rozwiniętych; położonych w bezpiecznych regionach globu i tych realnie zagrożonych, np. stałym podnoszeniem się poziomu mórz i oceanów. Współpraca niesie jednak wiele nowych perspektyw – przede wszystkim postępu społecznego, gospodarczego i naukowego. Rozwój technologiczny, który przyczynił się do zanieczyszczenia Ziemi, może spowodować również jej oczyszczanie, podnosząc standard warunków życia ludzi w każdym jej zakątku.

„Nie bez powodu hasłem tegorocznego szczytu klimatycznego jest »Changing together«. Historia pokazuje, że działając wspólnie, w duchu solidarności, potrafimy dokonać rzeczy niemożliwych. Mam nadzieję, że przyjęta dziś dekla-

racja sprawiedliwej transformacji zainspiruje wszystkich uczestników konferencji do poszukiwania najlepszych rozwiązań zarówno dla klimatu, jak i globalnego społeczeństwa” – podkreślał prezydent Andrzej Duda.

PROGRAMY I DZIAŁANIA

„To nie konwencje międzynarodowe, ale solidarność międzypokoleniowa przyprowadziła nas tutaj i wymaga działań na rzecz klimatu” – mówił premier Mateusz Morawiecki, otwierając sesję plenarną szczytu. „Redukcja emisji dwutlenku węgla jest zobowiązaniem globalnym. To, że tyłu nas przybyło tutaj, świadczy o randze problemu”.

Konferencja klimatyczna COP24 stanowiła okazję do promowania przez Polskę własnych inicjatyw w obszarze walki z zanieczyszczeniem powietrza. W tym kontekście wspomniano o Programie Czyste Powietrze – powszechnej termomodernizacji budynków i wymiany źródeł ciepła, na który w ciągu dekady rząd przeznaczy 103 mld zł. Wraz z ogłoszonym w Katowicach Partnerstwem na rzecz elektromobilności (Driving Change Together – Katowice Partnership for Electromobility) tworzy on kompleksową politykę redukcji zanieczyszczenia powietrza w kraju.

„Polska ma ambitną politykę odpowiedzialnego rozwoju, której integralną częścią jest wspieranie elektromobilności” – mówił premier na konferencji COP24. „Plan Rozwoju Elektromobilności w Polsce to dokument wytyczający cele i obszary działania, a jego operacjonalizacją jest ustawa o elektromobilności i paliwach alternatywnych. Stworzyliśmy więc architekturę rynku czystego transportu w Polsce. Dla zapewnienia kompletności systemu zdecydowaliśmy się również przygotować instrument finansowy wspierający realizację przewidzianych działań – Fundusz Niskoemisyjnego Transportu, który rozpocznie funkcjonowanie z początkiem 2019 r.”.

Premier podkreślał, że na rozwój elektromobilności rząd przeznaczy w najbliższych latach ponad 10 mld zł.

RÓWNOWAGA

W Katowicach Polska prezydencja ogłosiła też ciekawą inicjatywę – Katowicką Deklarację Ministerialną „Lasy dla Klimatu”. Artykuł 5. Porozumienia paryskiego jest jednym z najważniejszych artykułów, ponieważ wskazuje drogę wdrożenia podstawowego założenia tego dokumentu – równowagi pomiędzy emisjami a pochłanianiem – w drugiej połowie obecnego stulecia. Strony powinny podjąć działania w celu zachowania i poprawy stanu pochłaniaczy oraz zbiorników gazów cieplarnianych, w tym lasów. Wielofunkcyjna i zrównoważona gospodarka leśna jest kamieniem milowym na drodze do osiągnięcia neutralności klimatycznej. Podczas COP24 zorganizowano specjalne wydarzenie dla ministrów i przewodniczących delegacji zmierzających do poparcia dla Katowickiej Deklaracji Mi-

Polski Pawilon na COP24

Polska, podobnie jak wiele innych państw uczestniczących w COP24 w Katowicach, przygotowała na terenie konferencji dedykowaną strefę, w której przedstawiciele głównie krajowych instytucji i rodzimego biznesu dzielili się doświadczeniami w zakresie ochrony klimatu z innymi uczestnikami szczytu przez cały okres jego trwania. Każdy dzień w Polskim Pawilonie poświęcony był innej tematyce – m.in. elektromobilności, lasom, innowacjom, ciepłownictwu, energetyce, finansowaniu polityki klimatycznej czy ludzkiemu wymiarowi zmian klimatu.

Organizatorem i zarazem gospodarzem Polskiego Pawilonu były Lasy Państwowe. Przez dwa tygodnie konferencji przestrzeń stała się miejscem licznych spotkań gości z całego świata oraz promocji krajowych instytucji i przedsiębiorstw. Polska pokazywała, w jaki sposób wykorzystuje innowacyjne technologie i wdraża procedury przyjazne środowisku. Polski Pawilon funkcjonował jednocześnie jako platforma wymiany idei i opinii pomiędzy ekspertami, naukowcami, przedstawicielami organizacji branżowych z kraju i z zagranicy.

Wydarzenia w polskiej strefie objęły patronatem oraz współorganizowały Ministerstwo Przedsiębiorczości i Technologii, a także Forum Energii. Pawilon był otwarty we wszystkich dniach szczytu klimatycznego ONZ – COP24.

nisterialnej „Lasy dla Klimatu”. Dokument został przyjęty przez aklamację.

Jak podkreślił minister środowiska Henryk Kowalczyk, lesistość naszego kraju systematycznie się zwiększa. „Lasy stanowią blisko jedną trzecią powierzchni Polski. Badania naukowe pokazują, że m.in. poprzez sadzenie odpowiednich gatunków drzew można zwiększyć zdolność lasów do pochłaniania CO₂, a tym samym zmniejszyć skalę spodziewanych zmian klimatu” – zaznaczył. „Podczas COP24 chcemy pokazać, jak dążyć do osiągnięcia równowagi między emisją a pochłanianiem, posługując się innowacyjnymi rozwiązaniami w zakresie prowadzenia gospodarki leśnej oraz wykorzystując naturalny proces pochłaniania CO₂ przez gleby i lasy” – powiedział minister.

Oprac. KKut



Po co ma być lepiej, skoro może być gorzej?



Fot. Shutterstock

Możemy sobie zadać na 2019 r. fundamentalne pytanie: po co Polska dumna i ambitna, z rosnącymi dochodami budżetowymi, skoro może być znów uległa i okradana?



JANUSZ SZEWCZAK

Jakkolwiek by się starali PR-owcy totalnej opozycji i zagraniczne media w Polsce, nie uda się wykreować przedstawicieli rządu PO-PSL i tego środowiska politycznego na ludzi kryształowo uczciwych, pracowitych i wrażliwych społecznie – jednym słowem prawdziwych aniołów, tylko fałszywie oskarżanych przez Zjednoczoną Prawicę. Te ich co najmniej 115 afer – z megaaferą VAT-owską, w której Polacy całkiem realnie stracili ok. 262 mld zł, a wraz z wyłudzeniami w ramach innych podatków ok. 400 mld zł – nijak nie da się porównać z tzw. aferą KNF. Były już przewodniczący KNF, nominowany za rządów PiS, siedzi w areszcie, tymczasem przewod-

niczący KNF powołany przez premiera Donalda Tuska, choć z zarzutami prokuratorskimi, jest już na wolności i pracuje w niemieckim mBanku.

Niemają Polaków coraz bardziej tęskniących do powrotu starej władzy, dziś totalnej opozycji. Najwyraźniej chcą ponownego podniesienia wieku emerytalnego, tym razem pewnie już nie do 67 lat, ale może nawet 70, likwidacji programu 500+, ponownego zamrożenia płac w sferze budżetowej zamiast 7-procentowego wzrostu wynagrodzeń, rezygnacji z walki z korupcją, choćby tylko poprzez likwidację CBA. Chodzi o to, żeby już nigdy tak „szlachetni i kryształowi” ludzie, jak poseł PO Stanisław Gawłowski, nie trafiali do aresztu, a poseł tej samej partii Sławomir Neumann nie musiał przerywać konferencji, żeby łaskawie się pofatygować do prokuratury w sprawie postawionych zarzutów. Po co nam właściwie sędziowie w koszulkach z napisem „Konstytucja”, skoro to zwykła opozycja, po co sędziowie mają solidnie pracować, skoro mogą do woli politykować i atakować demokratycznie wybrany

rząd? Po co program Dobry Start – 300+, skoro są Jugendamy i europosłanka Platformy Julia Pitera? Po co nam polskie media, skoro są TVN, „Newsweek”, „Fakt” czy RMF? Po co nam Baltic Pipe, skoro ma być Nord Stream 2, a Niemcy przecież gwarantują, że to tylko biznes, a nie żadna polityka? Po co nam wielkie lotnisko CPK, skoro mamy lotnisko w Berlinie? Po co polski złoty, skoro można mieć euro? Po co nam Via Carpatia, skoro idąc za klasykiem – ministrem rządu PO Włodzimierzem Karpińskim – można po prostu ogłosić „ch... z tą Polską wschodnią”? Po co nam wzrost wartości giełdowych spółek skarbu państwa o 75 mld zł za rządów PiS, skoro bilans tych spółek może być znów ujemny, jak to było za rządów PO-PSL? Po co nam malejący państwowy dług publiczny (PDP) poniżej 50 proc. PKB, skoro może on rosnąć w szalącym tempie, jak to się działo za czasów „Sztukmistrza z Londynu”, ministra finansów Jacka Rostowskiego? Koszt obsługi tego długu za PO-PSL wynosił rocznie nawet ponad 40 mld zł, gdy dziś

wynosi 29 mld zł. Po co nam, drodzy rodacy, wzrost dochodów podatkowych i ZUS przez ostatnie trzy lata o blisko 150 mld zł, skoro znów może być jak za PO-PSL 30–40 mld zł mniej rocznie, niż powinno być?

Wydaje się, że już wkrótce władze dużych miast, gdzie wygrało PO i KO, w tym w Łodzi, Warszawie, Wrocławiu, Gdańsku czy Poznaniu, nagrodzą swoich wielkomiejskich, europejskich wyborców gigantycznymi podwyżkami wszystkiego, co się da: wody, wywozu śmieci, cen komunikacji, parkowania, a nawet podatku od nieruchomości i czynszów komunalnych. Po co więc walka z mafiami reprywatyzacyjnymi, skoro będzie można znów wyrzucić na bruk kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców, a zorganizowane grupy przestępcze będą mogły ponownie robić kokosowe interesy? Cierp teraz ciało, jeśliś tego chciało. W końcu wyborczy głos zawsze ma swoje konsekwencje.

Niewykluczone, że wielu wyborców PO, Nowoczesnej, PSL i KO już zateęskniło za nieograniczonym przy-

mowaniem muzułmańskich imigrantów, za likwidacją kopalń, bezkarnym rabunkiem dochodów podatkowych i za cotygodniowym „haratanem w gałę” rządzących, za obradami szefów komisji sejmowych na cmentarzu nad ustawami czy negocjacjami ministrów z wydawcami prasy nocną porą przy śmietniku.

Po co Polakom wzrost PKB ponad 5 proc., skoro za rządów PO-PSL była „zielona wyspa” nawet przy 1,5-procentowym wzroście gospodarczym? Po co państwu polskiemu zaledwie 0,5-procentowy deficyt finansów publicznych, skoro dało się żyć za czasów Tuska i Rostowskiego z 7-procentowym deficytem?

Przecież było tak pięknie, przyjemnie, leniwie i europejsko i komu to przeszkadzało? Przecież zawsze byliśmy cenienni w UE i KE, bo zawsze byliśmy na „tak”, nawet wtedy, gdy było to zabójcze dla polskiej gospodarki i finansów, jak choćby po podpisaniu przez premiera Tuska paktu klimatycznego. Przecież, drogi wyborco, zawsze zamiast sobie polepszyć, można sobie popieprzyć,

to są prawdziwe uroki tzw. liberalnej demokracji. Pytanie tylko, czy obecna władza ma w tym scenariuszu brać udział, przybliżać jego realność, czy przykładać rękę np. do podwyżek energii nawet z rekompensatą, choć to bez wątpienia wina wieloletnich zaniedbań poprzednich rządów? Czy warto się nadal przesuwając do wyborczego środka, by obłaskawiać liberalno-centrowego „kotka”, który może się okazać głodnym i bezideowym krokodylem, nadal chcącym, „by było, jak było”? Po co ciągle się tłumaczyć, przeproszać, wychodzić naprzeciw i stosować się z największą powagą do każdej, nawet bezprawnej, decyzji KE i TSUE? Po co łamać głowę, jak naprawić polskie państwo, gdy każdy, kto mu skutecznie szkodzi, może zostać „królem Europy”?

Może więc zamiast się racjonalnie i uczciwie tłumaczyć, należy przypomnieć wyborcom i suwerenowi, że zawsze może być inaczej – choć znacznie gorzej i drożej? To pytania retoryczne, ale jakże aktualne, szanowni wyborcy, nie tylko w 2019 r.

REKLAMA

**Więcej energii
na to, co ważne**

5/12/18/F

Kapitał ma narodowość

Cz. 1



„Kapitał ma narodowość” to 10 odcinków poświęconych odpowiedzi na pytanie, jak ma się narodowość kapitału do różnych aspektów gospodarki i do prowadzenia biznesu. Pierwszy odcinek w telewizji wPolsce.pl to rozmowy o tym, czy i jakie znaczenie ma narodowość kapitału w innowacjach i innowacyjnych biznesach, szerzej znanych jako start-upy

Czy ma znaczenie w krótszej perspektywie? Tu można się zastanawiać, pewnie nie. Ale znaczenie ma na pewno w dłuższej perspektywie, gdy chodzi o podatki, o to kto – poza samą firmą – zbiera frukty sukcesu, tu sprawa już się komplikuje.

„Start-upy szukają chyba przede wszystkim takich mitycznych »smart money«. Tych mądrych pieniędzy, za którymi idzie nie tylko ten zastrzyk gotówki, żeby biznes mógł tylko przeżyć i się rozwijać, lecz także wiedza ekspercka czy kontakty, by znaleźć odpowiedniego klienta” – mówiła Joanna

Misiewicz, ekspert ds. partnerstwa i innowacji Biura Innowacji PKO BP. „Patrząc z tej dalszej, wspomnianej, perspektywy, w Polsce prowadzimy bardzo dużo działań, by ten kapitał tu się generował i procentował. My, czyli szeroko pojęty ekosystem start-upów i innowacji w Polsce”.

Ten ekosystem wsparcia dla polskich start-upów to obecnie już ponad 1,5 mld zł, które są inwestowane w start-upy. To są też duże spółki, jak PKO BP, które poszukują start-upów i też się zastanawiają, jak im pomóc, szukając wspólnej płaszczyzny do współpracy. Chodzi o osiągnięcie sytuacji wygrany–wygrany, by każdy odszedł od stołu zadowolony.

Start-upy są oczkiem w głowie dzisiejszego biznesu, zaangażowanych gospodarczo polityków i inwestorów, bo ich finansowanie to nie działalność charytatywna. Start-upy we współpracy z dużymi firmami mają dostarczać rozwiązania, których duże firmy same nie są w stanie wypracować w sposób szybki i dobry.

W Polsce i w Europie osoby zakładające start-up posilają się głównie własnymi funduszami, oszczędnościami. Przychodzi jednak moment, gdy do dalszego rozwoju potrzebne są konkretne pieniądze na inwestycje, i nie są to małe kwoty. Czy w takim momencie narodowość kapitału ma znaczenie?

„Na pewno ma znaczenie w kontekście rynku, który chcemy podbić swoim rozwiązaniem” – powiedziała Joanna Misiewicz, ekspert ds. partnerstwa i innowacji Biura Innowacji PKO BP. „Jeśli chcemy podbić rynek polski, to zasadne jest sądzić, że tymi »mądrymi pieniędzmi« będą środki inwestorów polskich, bo za tymi pieniędzmi idą kontakty na danym rynku. W tym zakresie na pewno tak. Ale jeśli start-up chce wychodzić na kolejne rynki, warto się już zastanowić nad inwestorami zagranicznymi” – dodała.

W polskich funduszach VC (ang. venture capital – fundusze inwestujące w firmy) dominuje raczej polski kapitał. Ale ogromna część tego kapitału to środki publiczne. Prawie 80 proc. polskich funduszy VC posiada finansowanie państwowe ze środków publicznych dedykowanych budowaniu tego innowacyjnego sektora. Ten sektor mimo wszystko dopiero się rozwija.

Innym, alternatywnym dla VC, sposobem na rozwój start-upu są inkubatory. Start-upy w Polsce mają bogatą ofertę pozyskiwania finansowania.

Bank PKO BP również do tego tematu podchodzi bardzo kompleksowo. Pod chwytliwą nazwą Let's Fintech with PKO Bank Polski! szuka najlepszych rozwiązań i młodych firm technologicznych, które pomogą mu osiągnąć przewagę konkurencyjną. Podejście to ma cztery filary: akcelerator firm, infrastruktura z laboratoriami dla testów w tzw. piaskownicy dla nowych technologii, własny fundusz VC (tu CVC – fundusz VC typu korporacyjnego) oraz inne, szeroko pojęte działania współpracy z pozostałymi firmami w środowisku polskim oraz międzynarodowym.



„W akceleratorze dla start-upów szukamy młodych, zdolnych firm, których rozwiązania moglibyśmy wdrożyć w banku. Czy to w zakresie rozwiązań dla naszych klientów, czy rozwiązań usprawniających nasze działania” – powiedziała Joanna Misiewicz, ekspert ds. partnerstwa i innowacji Biura Innowacji PKO BP. „Drugi filar to infrastruktura. Żeby

tym start-upom pomagać, żeby ta symbioza miała miejsce, musimy mieć gdzie to robić i testować. To często są dość ryzykowne projekty, dlatego musi być przygotowane specjalne środowisko ku temu. Dlatego mamy oddziały laboratoryjne, gdzie możemy te rozwiązania testować, ale też infrastrukturę IT (informatyczną) – taką piaskownicę – z naszym API (interfejs programowania aplikacji), z chmurą, w której możemy się wymieniać danymi i testować nasze nowe

rozwiązania” – dodała.

PKO Bank Polski jest liderem technologicznym polskiego sektora bankowego, a kolejne innowacyjne projekty – takie jak zainicjowanie powstania Chmury Krajowej czy największe w Europie wdrożenie technologii blockchain – pomagają mu umacniać tę pozycję. PKO Bank Polski skutecznie realizuje strategię opartą na cyfryzacji, dzięki temu w coraz większym stopniu może budować swoje przewagi konkurencyjne w oparciu o wysoki potencjał technologiczny.

Realizację tego celu ułatwia działająca w banku platforma rozwoju innowacji i nowoczesnych technologii Let's Fintech with PKO Bank Polski! Z jej pomocą bank poszukuje perspektywicznych rozwiązań i je rozwija, angażując do tego ekosystem start-upów i fintechów. Bank posiada pełną infrastrukturę umożliwiającą wdrożenia – doświadczonych ekspertów, środowisko testowe, fundusz venture capital oraz program akceleracji dla start-upów. Zespoły zainteresowane uczestnictwem w programie mogą do niego aplikować za pośrednictwem strony fintech.pkobp.pl.

Maksymilian Wysocki

Jeśli start-up chce wychodzić na kolejne rynki, warto się już zastanowić nad inwestorami zagranicznymi

POLA NEGRI

w serialu „Rozbite marzenia” wcieliła się w nią Michalina Olszańska

Zsiadłe mleko dla Poli

Jako gwiazda Hollywood pijała ponoć tylko szampa i jadła najwykwintniejsze dania. Czy jednak słynna Pola Negri wiele lat wcześniej – jeszcze jako Apolonia Chalupiec wyrывая się w świat z kujawskiego Lipna – nie wracała czasem we wspomnieniach do rodzinnych stron? Do zapamiętanych z dzieciństwa ko-

lorów i smaków? Tego nie wiemy, chociaż pod koniec życia, jak donoszą jej biografowie, artystka wspominała o powrocie do kraju. Może niekoniecznie w rodzinne strony, ale jednak.

3 stycznia 2019 r. miną 122 lata od urodzin Apolonii Chalupiec. Dzień wcześniej o godz. 22.45 TVP1 przypomni dokument Mariusza Kotowskiego „Pola Negri – życie gwiazdy”. Błyszcząca w erze kina niemego aktorka jest też jedną z głównych bohaterek fabularyzowanego dokumentu „Rozbite marzenia”. Odcinek o Poli Negri (którą zagrała Michalina Olszańska) zostanie wyemitowany 7 stycznia o godz. 21.55 w TVP2.

Tymczasem – w klimacie szampańskiej zabawy, wspominając blichtr, którym lubiła się otaczać hollywoodzka gwiazda, gotowa, dla zwiększenia medialnego efektu, prowadzić na smyczy lamparta – postanowiłam sprawdzić... jakie smaki zostawiła za sobą, wyruszając w świat kina.

Na stronie www.ziemiadobrzynska.pl, której administratorzy nie zapominają, że właśnie stąd pochodzi Pola Negri, znalazłam obszerny dział poświęcony lokalnej kuchni i jej tradycjom. Jest tu m.in. cytat z zapisków kronikarskich z końca XIX w.: „Jedzenie zwy-

kle składa się z zupy: kartoflanej, barszczu, krupniku, kapuśniaku, rosółu, zacierki i sztuki mięsa, tudzież klusek, łazanek, pierogów z sera. W święto biją gęsi i kaczki, i smażą jajecznicę. Jeśli jest pieczeń, to ją zwykle robią ze sztuki mięsa, obsmażając w tłuszczu. Czasami podają naleśniki na leguminę. Grzyby jedzą smażone lub gotowane [...] Bez wódki nie ma obiadu”.

Nawiązująca do tradycji kuchnia ziemi dobrzyńskiej wciąż stoi ziemniakami (są bazowym składnikiem takich potraw wymienianych na stronie, jak brandos, placki, przecieruchy, kluski ziemniaczane, pyzy). Z mąki powstaje chleb żytni razowy, placki na sodzie, zacierki, kluski, potrawy z kaszą, żur. Miejscowym smakują zacierki na zsiadłym mleku, pierogi z twarogiem, kluski z serem, placki na sodzie i zsiadłym mleku, sery podsuszane – gomółki, twarogi, sery topione. Kapusta jest potrzebna na bigos, pierogi, barszcz na kwasie z kapusty, groch z kapustą, gołąbki. Z dyni, zwanej też banią, robi się pączki, zupy, przetwory.

W tradycyjnych przepisach swoją rolę grają też: buraki, fasola (czyli szabel), groch, bób (zwany też bunem), marchew, cebula, seler, koper oraz owoce.

Być może na fali propagowania powrotu do zdrowej lokalnej kuchni do łask wróćą potrawy z brukwi, pasternaku, komosy czy pokrzywy. Wyparły je z czasem potrawy z coraz bardziej dostępnego mięsa. Wśród wielu potraw wymienianych jako tradycyjne dla ziemi dobrzyńskiej pojawia się m.in. gugiel (pieczeń z gęsi), czernina, gęś faszrowana czy pieczona kaczka, ale są też reńtowniny – rosół wołowy, mięso „z weka” czy potrawy z ryb („dziki śledź”, biała zupa).

Moją uwagę przykuł jednak prosty, ale także pożądany w okresie intensywnych zabaw, przepis na czerwony barszcz. Dodatkowo swojsko zakwaszony kapustą.

Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. NAC, Shutterstock



Barszcz czerwony na zakwasie z kapusty

(przepis ze strony: kuchnia-polska.net)

Składniki: 80 dag buraków, 2 l wywaru z warzyw, szklanka kwasu z kapusty, szklanka śmietany, sól, cukier do smaku, łyżka mąki.

Wykonanie: Umyte i obrane buraki pokroić w cienkie plasterki, zalać wywarem z warzyw oraz kwasem z kapusty, dodać sól i cukier do smaku, gotować ok. 30 min. Przystudzony barszcz zaprawić śmietaną wymieszaną z mąką, zagotować. Podawać z polanymi tłuszczem ziemniakami.





SŁODKO-SŁONY

Ogórki od serca

ANNA MONICKA

Niby nie ma już takiej potrzeby, ale w naszym domu wciąż przed zimą gromadzimy zapasy: sami szykujemy sosy pomidorowe i cukiniowe, konfitury, musy z jabłek, soki, ogórki, grzyby. Nie po to, żeby dotrwać do przednówka, jak dawniej bywało, ale żeby móc poczęstować przyjaciół swojskim smakołykiem, w który włożyłam, oprócz serca, najlepsze składniki. Czasem jechałam po nie na drugi koniec Polski, gdzie mam sprawdzone gospodarstwo ekologiczne.

Odkręcam potem słoiki, a każdy z nich to wspomnienia – bo ogórki robiłyśmy w piękny słoneczny dzień z ciotką przy studni, a córka zbierała liście chrzanu, czarnej porzeczki, dębu, winorośli. Obłędnie pachnące kwiaty kopru wplatałyśmy jej we włosy.

Dziką piękną jabłonkę, dosłownie uginającą się od owoców, znalazłam w gęstwinie zarośli na opuszczonej łące. Pewnie był tam kiedyś dom, bo jeszcze zostały resztki fundamentów i widać było liście zdziczałych truskawek, a najbardziej kłębiasty i klujący krzaczor okazał się mirabelką. Drugą taką jabłonkę mam niedaleko domu – ma późne owoce, całkiem złote, i nie zrzuca ich nawet po przymrozkach. Zrobiliśmy z nich chipsy, które podbijają rodzinne stoły. To absolutnie genialna przekąska na wszelkich imprezach.

Ogórki w tym roku wyszły gierojskie – były upały i szybko się kisiły. Są doskonale do wszelkiego rodzaju sałatek – wyraziste, czosnkowe. Tradycyjne nam się przejadły, więc poszliśmy w tym roku w wariacje. Ogórki szatkuję w cienkie plastry, dodaję do nich sporo cebuli – pokrojonej w piórka i sparzonej. Podaję je z ziemniakami skropione olejem z uprażonych pestek słonecznika.

Drugi wariant – z rybą. Kosteczki ogórka i cebuli muszą być małe, dodaję do nich albo utartego tuńczyka i posypuję tymiankiem, albo wędzonego na gorąco łososia z koprem.

Trzeci – z jajkiem. Ulubiona sałatka dzieciaków. Mrożony groszek baby trzeba szybko zblanszować, żeby zachował żywy kolor, dodać pokrojone w minikosteczki ogórki, jajka, ziemniaki, można kukurydzę, doprawiam majonezem Kieleckim.

Czwarta – z młodym bobem. Bób gotuję na parze, łuskam (choć pyszny jest i ze skórką), dodaję cieniutkie plastry ogórków, płatki twardego dojrzewającego sera, uprażone płatki migdałów, kapary i oliwę z czosnkiem i cytryną.

Każda jest świetna, choć robiona w kilka minut.

Gdy wpadają goście, mam w spiżarni zawsze upieczone foremki do babeczek – i wytrawne, i na słdko. Podane w takich kokilkach jedzenie wygląda świetnie. To jeden z moich karnawałowych patentów. 

WILCZYM OKIEM

Dwie kultury

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

W Europie istnieją obok siebie dwie równoległe kultury kulinarne. Podział jest stary jak cywilizacja. Pierwsza to kultura chleba oraz wina, której serce bije na wybrzeżach Morza Śródziemnego. Druga to kultura mięsa i piwa, związana z ludami germańskimi, skandynawskimi oraz słowiańskimi.

W obecnym świecie szybkiego i łatwego transportu podział nieznacznie traci na sile. Jednak przyzwyczajenia żywocwe starożytnych Greków i Rzymian z jednej strony kontynentu, a „barbarzyńców” z drugiej, wciąż nas określają. Mapa spożycia piwa w Europie wygląda następująco: Czechy, Niemcy i Polska są na szczycie tabeli. W 2016 r. roczne spożycie w litrach na osobę wynosiło odpowiednio 142,4, 104,2 oraz 100,8 l. Blade plamy na piwnej mapie to natomiast Włochy i Francja. W przypadku wina sytuacja wygląda dokładnie na odwrót.

W kręgu kultury chleba i wina są jeszcze inne produkty dopełniające kulinarne uniwersum, z których najbardziej godna wzmianki jest oliwa. Starożytnych intrygowali ludzie spoza tego kręgu, nieznający boskich darów, zającący się mięsiwem i gaszący pragnienie buklakami pienistego piwa. Piwo zrosło się z naszą kulturą tak mocno, jak rzeczownik „piwo” z czasownikiem „pić”. Dla Słowian czynność picia była niemal tożsama ze spożywaniem piwa rozumianego jako synonim słowa „napój”, coś do picia.

Dieta śródziemnomorska została w 2013 r. wpisana na światową listę niematerialnego dziedzictwa UNESCO. Organizacja przyznająca tytuł wskazuje, że na kuchnię śródziemnomorską składają się przede wszystkim szczególne umiejętności, wiedza, rytuały, symbole i tradycja, dotycząca zarówno sposobu upraw i zbiorów roślin, hodowli zwierząt i połowu ryb oraz metody przygotowywania potraw, ale także model spożywania posiłków. Istotą jest wspólne biesiadowanie, będące czymś więcej niż po prostu konsumpcją, pogłębiające tożsamość uczującej grupy czy rodziny.

Czy dieta spod znaku mięsa i piwa też doczeka się takiego wyróżnienia? Niezależnie od docenienia przez instytucję ONZ trzeba uświadomić sobie, że za każdym razem, gdy zasiadamy z rodziną przy stole czy pakujemy do sklepowego wózka produkty żywocwe, jesteśmy zderzani z prądną tradycją kulinarną, w której świetle grill z karkówką i piwem nabiera charakteru prasłowiańskiej uczty. 



27.12.2018–6.01.2019

125

Kto chce wyobrazić sobie, co będzie się działo w całej Polsce, jeśli elity III RP (wszystko jedno, w jakiej partyjnej wersji i konfiguracji) odzyskają władzę na szczeblu centralnym, niech spojrzę na to, co się dzieje w stolicy. W mieście, w którym władzy wprawdzie nigdy nie straciły, ale pod wpływem wielu czynników (wygrana PiS w wyborach ogólnopolskich, afera reprivatyzacyjna, osobowościowe wypalenie się i wręcz odzeglówanie na dziwaczne psychologicznie wody Hanny Gronkiewicz-Waltz wreszcie) przez pewien czas czuły się słabe i zagrożone. A dziś odzyskały pewność siebie i poczucie bezpieczeństwa.

Tuż po wyborach urzędująca jeszcze prezydent usiłowała zakazać Marszu Niepodległości. Jeszcze przedtem groziła, że w wypadku pojawienia się na marszu choć jednej koszulki z emblematem dającym się zinterpretować jako naruszający prawo manifestację rozwiąże. Prowokacja nie udała się na skutek ryzykownego, ale – jak się okazało – efektywnego manewru prezydenta Dudy.

Cała sprawa jest jasną zapowiedzią kierunku działań. Jeśli liberalowie obejmą na powrót władzę na szczeblu centralnym po przeżyciu Wielkiego Strachu lat 2015–2018 (2018, a nie 2019, bo ten strach od paru miesięcy na serio odczuwają już jedynie najbardziej szaleni kodowcy), to można się spodziewać z ich strony działań jawnie antydemokratycznych. Takich, dodajmy, na które nigdy nie pozwoliło sobie PiS. Bo czuło na karku oddech w większości wrogich mu mediów? A może też dlatego, że – ach, jaka herezja – jest w tej partii więcej szczerych demokratów niż w dzisiejszej opozycji, przekonanej, że jej się władza po prostu należy z mocy samej natury...? Tu ostrzegam – oczywiście w partii rządzącej istnieje silny syndrom utożsamiania „prawdziwej Polski” z PiS, ale mimo wszystko jest on słabszy niż przekonanie elit III RP, że to one są „przyrodzonymi panami” Rzeczypospolitej.

Tak czy inaczej jestem pewien, że po ewentualnym zwycięstwie dzisiejszej opozycji zaczną, w dziedzinie szeroko rozumianych swobód politycznych, działać się rzeczy, które obecnie trudno nawet sobie wyobrazić. To prawda – PiS eskalowało konflikt od 2015 r. Ale obecna opozycja wyescaluje go, przypuszczam, znacznie bardziej.

Można też uważać za realną radykalną kontrrewolucję w sferze symbolicznej. Na skalę taką, jak obecne warszawskie de-

Nasza polska kontrrewolucja

PIOTR SKWIECIŃSKI



Głupota kontrrewolucji, polegających na odreagowaniu własnego strachu i poczucia upokorzenia drogą prostej restytucji tego, co kontrrewolucjoniści uważają za dawny, dobry ład, z reguły kończy się źle

monstracyjne przywracanie komunistycznych nazw ulic, zmienionych przez pisowskiego wojewodę po tym, jak władze miejskie przez rok prowokacyjnie nie wykonywały prawa w tej sprawie. Potraktowałbym poważnie, na przy-

kład, zapowiedzi likwidacji IPN.

Z czym wiąże się edukacja. Wielu intelektualistów z obozu III RP jest szczerze przekonanych, że zaniedbano przekształcenia szkół w sprawnie działające placówki indoktrynacyjne i dlatego nastąpił Wielki Horror. Linie, której realizacji można by się spodziewać, zakreśla zapewne ideologia, lansowana przez Związek Nauczycielstwa Polskiego, który już dziś wzywa np. do dechrystianizacji szkolnych obchodów świąt Bożego Narodzenia... W Warszawie już dziś część wyborczych zwyczajców żąda usunięcia religijnej oprawy oplatka w radzie miasta.

Inaczej niż wielu realistów, którzy uważają, że rozmaite reformy dokonane przez PiS są nieodwracalne, ja spodziewałbym się próby ich cofnięcia. Znow – kierując się doświadczeniem warszawskim. Kiedy tylko się okazało, że można, ludzie Koalicji Obywatelskiej zmienili np. język, którym mówią o ofiarach reprivatyzacji. Dotąd była ona skandalem moralnym, a jej ofiarom w sposób oczywisty należały się odszkodowania. Teraz okazuje się, że rzeczywistość jest bardziej skomplikowana, a odszkodowania to ewentualnie kiedyś, jak Sejm przyjmie odpowiednią ustawę. Tuż przed wyborami platformerska większość uchwaliła, że w Warszawie bonifikata przy przekształcaniu użytkowania wieczystego we własność będzie wynosić 99 proc. Po wyborach ta sama większość uchwała, że będzie to jedynie co najwyżej 60 proc.

A to wszystko pozwala mi powiedzieć: obiecują, że nie cofną 500+? Tak, istotnie obiecują... Jestem pewien, że jeśli tylko będą mieli odpowiednią większość, a przed sobą ze trzy lata bez wyborów (a taki moment wybije po elekcji prezydenta w 2020 r.), to spróbują. Nienawiść klasowa ich do tego zmusi. Niech zbuntowana hołota poczuje, że panowie wrócili.

To wszystko, oczywiście, musi się skończyć bardzo źle. Bo głupota kontrrewolucji, polegających na odreagowaniu własnego strachu i poczucia upokorzenia drogą próby dokonania prostej, by nie rzec prostackiej, restytucji tego, co kontrrewolucjoniści uważają za dawny, dobry ład, z reguły kończy się źle. Ale nasi kontrrewolucjoniści już tacy są i siebie samych nie przeskokczą.

I zresztą wcale nie próbują.



*Muzyka Fryderyka Chopina
doskonale wpływa na
samopoczucie słuchaczy: uspokaja
pracę serca, relaksuje oraz
pobudza do kreatywnego myślenia.
Prestiżowe salony Executive
Lounge, nazwane na cześć
utwórów patrona warszawskiego
lotniska, działają podobnie*

Petén luksus na Lotnisku Chopina

Fantazja, Preludium i Bolero, nie tylko za pomocą dźwięku, potrafią ukoić nasze nerwy. Przyjazna przestrzeń Executive Lounge jest idealnym miejscem do prowadzenia rozmów z partnerami biznesowymi przy filiżance pysznej kawy lub szklance innego, ulubionego trunku, przygotowanego przez profesjonalną oraz serdeczną obsługę. Komfortowi pracownicy sprzyjają dostęp do komputerów i nielimitowanego internetu oraz możliwość skorzystania z ładowarek do urządzeń mobilnych.

Goście salonów mają również możliwość odświeżenia się pod prysznicem i przekąszenia czegoś pożywnego.

Zarówno podróżni ze strefy Schengen (Fantazja, Preludium), jak i spoza niej (Bolero) mogą dokonać rezerwacji grupowej lub wykupić indywidualny voucher.

Relaks należy się każdemu, dlatego salony Executive dostępne są dla wszystkich wylatujących z Warszawy i zostały w pełni przystosowane do przyjęcia gości niepełnosprawnych. Z bezpłatnego wstępu mogą skorzystać pasażerowie, którym dostęp przysługuje na podstawie indywidualnych zasad określonych przez linie lotnicze lub poprzez programy lojalnościowe Partnerów współpracujących z lotniskiem.

Goście mogą korzystać z dobrodziejstw tego zacisznego miejsca nawet do czterech godzin po dokonaniu opłaty (gotówką lub kartą płatniczą) w recepcji.

W trakcie komfortowego oczekiwania na lot można także poznać najważniejsze wydarzenia z Polski i świata. Od



początku bieżącego roku Lotnisko Chopina umożliwiło gościom salonów przeglądanie prasy w wersji elektronicznej.

Każdy pasażer po zalogowaniu się do salonowego Wi-Fi, a następnie na serwerze: epress.polish-airports.com, ma możliwość ściągania z chmury dzienników i magazynów na swój telefon, laptop lub tablet. W ofercie jest 35 dzienników w 19 językach oraz 87 magazynów w 12 językach – dzienniki są aktualizowane codziennie, magazyny w zależności od częstotliwości przygotowywania ich przez wydawcę.

E-prasa dostępna jest w salonach bezpłatnie, podobnie jak wybrane dzienniki w tradycyjnej, papierowej formie.

Aby przyspieszyć możliwość skorzystania z wymienionych wcześniej atrakcji, warto dodatkowo sięgnąć po specjalny pakiet Business Pass Premium, czyli możliwość jednoczesnego odwiedzenia salonów Executive i skorzystania z usługi Fast Track.

Dzięki usłudze Fast Track kontrola bezpieczeństwa zawsze przebiega w sposób szybki i sprawny, co pozwala oszczędzić czas, który potem można przeznaczyć na relaks i odpoczynek w klimatycznych Executive Lounge.

Business Pass Premium można wykupić zarówno w formie jednorazowego vouchera, jak i w formie karty okresowej.

Biorąc to wszystko pod uwagę, nie dziwi fakt, że jakiś czas temu klienci programu Priority Pass uznali salon Preludium Executive Lounge na Lotnisku Chopina w Warszawie za najlepszy salon lotniskowy na świecie w kategorii Best Business Facilities.

MACIEJ PAWLICKI

Słuchać Polaków, słuchać Europejczyków

Niespełna cztery lata temu, w poprzedniej kampanii wyborczej do europarlamentu, reżyserowałem spot wyborczy dla Prawa i Sprawiedliwości. Rzecz się działa w uliczkach i na pięknym rynku w Pułtusku, a pomysłem było nawiązanie do westernowego klimatu „Siedmiu wspaniałych”. Oto w zapyziałym, smutnym, wyludniającym się, sterroryzowanym przez beznadzieję miasteczku pojawia się drużyna prowadzona przez szeryfa. Mieszkańcy podchodzą, rozmawiają z przybyszami, odzyskują nadzieję i wspólnie ruszają, by zmienić Polskę. Hasłem kampanii było: „Słuchać Polaków, służyć Polsce”. Na planie między innymi: Jarosław Kaczyński, Andrzej Duda, Jadwiga Wiśniewska, Dawid Jackiewicz. Pierwsze ujęcie: siedmioro Wspaniałych rusza, ludzie podchodzą i... politycy zaczynają mówić, mieszkańcy uprzejmie słuchają. Stop, dubel. Podchodzę i proszę: „Droży państwo, tematem sceny jest »słuchać Polaków«”. Nie mówić, a Polacy słuchają, tylko słuchać. Mówią państwo mieszkańcy, państwo politycy ich słuchają”. Lekkie zaskopowanie, nieśmiały uśmiech, czy aby nie za wiele sobie pozwalam. Ale wszyscy widzą, a Jarosław Kaczyński pierwszy, że mam rację, więc nikt nie protestuje. Kolejny dubel już perfekcyjny, ludzie mówią, politycy słuchają. To w tym właśnie spocie po raz pierwszy padła obietnica 500+.

Nie od tej sceny zmieniła się polska polityka, ale myślę, że zmieniła się właśnie od idei PiS, by „słuchać Polaków”. I ogromnego wysiłku polityków tej partii, by jeździć po Polsce i pytać, co boli. A dopiero potem budować program, składać obietnice. A potem je realizować. Minione cztery lata – przy wszystkich zgrzytach i turbulencjach – potężnie zmieniły polską politykę,



kierującą ku normalności. Normalnością jest nie forsowanie abstrakcyjnych idei jajogłowych, nie pisanie polskich ustaw przez lobbystów międzynarodowych koncernów, ale wykonywanie poleceń pracodawcy. Tak, jesteśmy pracodawcami polityków i jak pracodawca pracownika winniśmy ich traktować. Informować, czego oczekujemy, i rozliczać z wykonania. PiS naobiecowało wiele i – ku zaskoczeniu opozycji, ale także wyborców – z wielu ważnych obietnic się wywiązało. To sparaliżowało opozycję, która od trzech lat nie umie stanąć do normalnej politycznej rywalizacji, co byłoby ze wszech miar pozytywne dla Polski i Polaków. Zastępuje ją krzewieniem kulturowej pogardy dla politycznych rywali i próbuje powrócić do sytuacji sprzed 2015 r., gdy do wygrania wyborów wystarczyło przekonać, że Kwaśniewski jest wyższy od Krzакlewskiego, a Europa chce tego, czego chce Michnik.

To se ne vrati, politycy wszystkich partii widzą, że PiS nieodwracalnie popsuło sielankę dekonników i agentów.

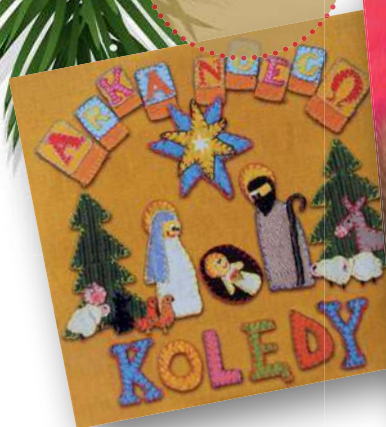
Miarą skuteczności polskiego polityka wreszcie zaczyna się stawać dobro Polaków, nic innego. Jakkolwiek groteskowo brzmią cedzone przez zęby obietnice Grzegorza Schetyny, dobrze, że są, niech się ten charyzmatyczny lider stara, jak umie. Inni także. Choćby dlatego, że PiS nie ze wszystkich obietnic się wywiązało, ofiarom toksycznych instrumentów finansowych sprzedanych jako „kredyty frankowe” nie pomogło, decydując się ponieść polityczne konsekwencje. Oby nie zadecydowały one o braku sejmowej większości prawicy przez drugą kadencję.

Hasło konwencji PiS „Polska sercem Europy” – znakomite. Odważne i ofensywne. Wreszcie daleko od zaskompleksionych „Polish and Proud”, czyli „Dumni, mimo że Polak”. Wreszcie dalekie od popiskiwanie, że przecież my też Europa. Nie „my też”, tylko właśnie my, właśnie Polska. Serce Europy i nadzieja Europy. Demokrację zaczęliśmy budować 550 lat temu, a zachodnie plemiona kolejne kilkadziesiąt lat tkwiły w despotycznych zamordyzmach. A dziś gnijące od fanatycznych idiotyzmów politycznej poprawności kalifaty Niemiec, Szwecji, Francji czy Holandii przestają być Europą, stają się jej karykaturą, jej myślowymi, moralnymi, cywilizacyjnymi peryferiami.

Bez aktywnej Polski Europa jest bez serca. Ambicją Polski nie ma być tylko obecność przy decyzyjnym stole, lecz rola lidera Europy, wyznaczającego oczekiwaną przez miliony Europejczyków odbudowę europejskiej cywilizacji dziś tak wściekle niszczonej przez neronów i kaligule. Rola pierwszego między równymi. Pierwszego, bo – jak uczy historia – najszlachetniejszego i najodważniejszego i – jak pokaże przyszłość – najmądrzejszego. Czego Państwu i sobie w roku 2019 życzę.

TYGODNIK KATOLICKI „NIEDZIELA” POLECA

**PŁYTA
W PREZENCIE**



**W PAKIECIE ZA
12 zł
+ KOSZT
WYSYŁKI**

**RABAT
50%**

Kalendarz Katolika Patrioty. To nie tylko codzienne odniesienie do liturgii, świętych i błogosławionych. W kalendarzu znajdziemy także dużo dobrego humoru, wiele ciekawostek oraz przepisy kulinarne na polskie potrawy.

„Za progiem Słowa”. Tomik ten został pomyślany w taki sposób, aby Czytelnik mógł towarzyszyć Jezusowi w jego ziemskiej wędrówce od narodzenia aż do wstąpienia do nieba. Każda z krótkich refleksji osnuta jest najczęściej wokół jednego tylko zdania Pisma Świętego i jest zaproszeniem by przekroczyć próg Słowa i przez medytację oraz modlitwę zamieszkać w Biblii – domu Słowa.

Płyta: Kolędy Arki Noego w prezencie.

ZAMÓWIENIA:

Redakcja Tygodnika Katolickiego „Niedziela”
ul. 3 Maja 12, 42-200 Częstochowa

KOSZT WYSYŁKI POKRYWA ZAMAWIAJĄCY

telefonicznie: 34 365 19 17, 34 369 43 00,
34 369 43 52

pocztą elektroniczną: kolportaz@niedziela.pl
www.ksiegarnia.niedziela.pl

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Komuna wiecznie żywa

Jeżeli wracają do polskiej przestrzeni publicznej symbole komunizmu, to największa w tym zasługa „nadzwyczajnej kasty”

Fakty są takie. Ustawa dekomunizacyjna nakłada na samorządy obowiązek likwidacji w przestrzeni publicznej nazw i symboli odwołujących się do komunizmu, a pełną ich listę publikuje IPN. Samorządy nie wywiązują się z tego w terminie, w związku z tym zmian dokonują wojewodowie. Samorządy skarżą te decyzje do wojewódzkich sądów administracyjnych, które uchylają decyzje wojewodów. Wojewodowie występują ze skargami do NSA, który podtrzymuje wyroki sądów wojewódzkich. Wybuchu skandal. Wracają komunistyczni patroni wielu polskich ulic.

Co ciekawe, zarówno wojewódzkie sądy administracyjne, jak i NSA, w zasadzie nie kwestionują prawa wojewody do wprowadzenia w życie tzw. zarządzenia zastępczego. Wynika ono z ustawowego upoważnienia. Skąd zatem wyroki przywracające dawne komunistyczne nazwy? W sentencji wyroku WSA w Gliwicach, zacytowanej w sentencji wyroku WSA w Olsztynie, czytamy: „Wprawdzie [...] wskazano, że opinia IPN ma charakter oświadczenia wiedzy kompetentnej instytucji i jest wiążąca dla organu nadzoru [wojewody – przyp. W.R.], to skład orzekający w niniejszej sprawie poglądu tego nie podziela”. Tym samym sądy administracyjne, których zadaniem jest kontrola prawa pod kątem jego zgodności z powszechnie obowiązującymi przepisami, dały sobie prawo do merytorycznej oceny decyzji wojewody w zakresie wiedzy, jaką posiada IPN. I – co jeszcze podkreślono – instytucja ta (IPN – przyp. W.R.) nie ma uprawnień ustawowych do decydowa-

nia, jakie przesłanki przesądzą o tym, czy dana nazwa propaguje komunizm.

Za pomocą tej kazuistycznej metody sądy administracyjne weszły nie tylko w buty wojewodów, lecz również w buty IPN. I tak w Warszawie, Gdańsku, Olsztynie i innych miastach powróciły ulice dąbrowszczaków. Przeanalizujemy tylko jeden przypadek: powrotu do Olsztyna ulicy Dąbrowszczaków w miejscowości Erwina Kruka – wielce zasłużonego dla Warmii i Mazur działacza, poety, także honorowego członka SDP – na podstawie wyroku olsztyńskiego WSA. W sentencji tego wyroku zacytowano opinię IPN o dąbrowszczakach jako komunistach narodowości polskiej, członkach XIII Brygady Międzynarodowej im. Jarosława Dąbrowskiego w czasie wojny domowej i sowieckiej interwencji w Hiszpanii w latach 1936–1939. Natomiast WSA odwołuje się do internetowej encyklopedii PWN, że brygada ta, stworzona przez polskich emigrantów, osoby posiadające obywatelstwo II RP, walczyła po stronie republiki w wojnie domowej przeciwko zbuntowanym oddziałom nacjonalistycznym dowodzonym przez gen. Francisca Franco, wspieranego przez nazistowski rząd III Rzeszy i faszystowski rząd Włoch. WSA odnajduje też opinię dr. Wojciecha Opiola, która wykazuje szkodliwość generalizowania „o sowieckiej interwencji w Hiszpanii”. Przytacza publikację historyka Bartłomieja Różyckiego, akta Instytutu Marksizmu-Leninizmu w Moskwie, z których wynika, że połowa dąbrowszczaków (brygada liczyła 5,2 tys. osób – przyp. W.R.) przybyła z Francji, z Polski tylko 500 osób, z Belgii 335, z Kanady

177, a przeważającą liczbę stanowili robotnicy, działacze związkowi i żydowscy, socjaliści, trockiści i anarchiści. WSA dochodzi do konkluzji: „Wobec tego nie sposób bez szczegółowego wyartykułowania tej kwestii w opinii IPN wyjaśnić, z jakiego powodu, przy tak zróżnicowanych poglądach osób biorących udział w ramach XIII Brygady Międzynarodowej, uznano, że stanowili oni komunistów biorących udział w sowieckiej interwencji”. Ponadto WSA stwierdza, że dane dotyczące komunistów i agentów wywiadu w brygadzie „kształtują się od 40 do 60 proc.”. Tylko?

Upolitycznienie sędziów w Polsce stało się faktem. Jego źródłem są ideologiczne i światopoglądowe przekonania sędziów, dla których Francisco Franco to faszysta i nacjonalista wspierany przez „nazistów” z III Rzeszy, a nie hiszpański patriota broniący swojego kraju przed sowieckim komunizmem. Dąbrowszczacy zaś to bojownicy o wolność i demokrację (tak o nich mówiono za komuny). Dlatego w ocenie sądu: „Nazwa ulicy Dąbrowszczaków nie wyczerpuje przesłanki wskazującej na symbolizowanie komunizmu”. Jeżeli więc wracają do polskiej przestrzeni publicznej symbole komunizmu, to największa w tym zasługa „nadzwyczajnej kasty”, która powraca do swoich peerelowskich korzeni, na którą mogą liczyć podobne „kasty”, czyli niektóre samorządy oraz opozycja.

Domyślam się, dlaczego wśród cytowanych przez sędziów WSA historyków nie ma dr. Piotra Gontarczyka i jego artykułu „Dąbrowszczacy – żołnierze Stalina” ani refleksji historycznych prof. Andrzeja Nowaka o komunizmie jako chorobie i zarazie, której przejawem byli dąbrowszczacy oraz wszyscy współcześni nosiciele tej zarazy „monopolizujący prawo do opisu komunistycznej choroby”.



Sprężyna wydarzeń

Zrozumieć... Czy aby na pewno wszyscy tego chcemy? Może lepiej trwać w bańkach własnych legend i teorii? Wiedza bywa przykra. Nikt nie przyzna się do tego, że choćby mu i przed oczy włożył wół nieistniejący w jego świecie, to i tak nie będzie go widzieć.

Piję do tego, że wyjaśnienia procesów zachodzących w świecie wcale nie są niedostępne dla zwykłego człowieka. Przeważnie jednak mało kto ma ochotę po nie sięgać.

Mieszcząc się w dyscyplinie buteleczki, w jakiej zamknięte są moje felietony dla tego tygodnika, postaram się przedstawić państwu kondensat tego, do czego doszedłem, poszukując źródeł dzisiejszej dynamiki politycznych procesów przebiegających od Władystoku po Rio de Janeiro.

Trwa ostra wojna pomiędzy bogatymi. Nie pogodzą się, źródła ich bogactwa są bowiem radykalnie rozbieżne. Trwa więc konflikt pomiędzy ofensywnym ostatnio kapitałem spekulacyjnym (w USA utożsamianym ze Wschodnim Wybrzeżem, Wall Street i dyktaturą mediów) a kapitałem produkcyjnym, który swoje źródła czerpie z realnej produkcji, rozwijania – przez pokolenia – rodzinnych przedsięwzięć. Kapitał produkcyjny pragnie stabilizacji i banki traktuje jak zło konieczne. Kapitał spekulacyjny operuje jedynie na

wirtualnych liczbach. Rozwój giełd, bankierskich sztuczek i rozmaitych sposobów żerowania na walutach, rynku i tzw. derywatach sprawił, że nie wytwarzając niczego, można bezkarnie ograbić tych, którzy w pocie czoła coś wytwarzają. Spekulanci uwielbiają kraje upadłe, oligarchie i rozmaite sztuczki wokół realnych wartości. Im bardziej oszukują, tym bardziej się bogacą. Świetnym interesem są dla nich wojny toczzone „w imię obrony demokracji”, a każdy przywódca, który chce urwać się z ich finansowej smyczy, staje się celem uzależnionych od ich kredytów dział, samolotów i karabinów.

Nie wierzą państwo? To niech się państwo przyjrzą prawdziwym przyczynom zamordowania Kaddafiego. Kiedy król Jordanii czy Saudowie kogoś ćwiartują lub wylupują mu oczy, to mają do tego prawo, gdyż walczą przecież o „demokrację i wolny świat”, jednak gdy Asad czy Husajn postępowali podobnie, to już były zbrodnie przeciwko ludzkości. Tylko żołnierzom izraelskim wolno strzelać do pozbawionych broni Palestyńczyków (wszak zabijają przecież „terrorystów”), tylko oni mają – udzieloną przez spekulacyjną finansjerę – licencję na bezkarnie zabijanie.

Co? Za proste to wszystko? A z kim trzyma dzisiejszy premier Mateusz Morawiecki? Nie odpowiem. Dodam tylko, że pieniądze nie kłamią.



**Witold
Gadowski**

Gdyby Piłsudski ożył

100 lat temu dzięki osłabieniu zaborców udało się nam wybić na niepodległość. Zapłaciliśmy ogromną daninę krwi, ale na dwie dekady staliśmy się krajem prawdziwie wolnym i niezależnym. II wojna światowa – jeszcze bardziej krwawa od poprzedniej – rzuciła nas na kolana. Najpierw hitlerowcy, a potem Sowiet (ze wsparciem UB) dziesiątkowali, zastraszali i indoktrynowali Polaków. Bunt patriotycznej „Solidarności” (kontrolowanej od początku przez służby) wyniósł do władzy pookragłostołowe „elity”. Okradzeni przez szabrowniczą „transformację”, słabi i skłócen – weszliśmy do pazernej i bezideowej UE.

PO pozwalała na drenowanie i zwijanie naszej gospodarki, na demoralizowanie młodzieży (kultura i edukacyjna ekspansja LGBT), na stopniowe likwidowanie państwa narodowego. I zgadzała się ochoczo na samobójcze osadnictwo niezwyfikowanych, obcych nam kulturowo migrantów. Dziś postkomuniści i pseudoliberalowie, wspierani w mediach przez artystyczno-celebryckie

pięknoduchy, zrzekają się suwerenności swego kraju i kolaborują z Brukselą przeciw własnemu rządowi. Na takich warunkach to my byliśmy już kiedyś w Europie, przez całe 123 lata! Część w kajzerowskich Prusach, część w monarchii Habsburgów, pozostali w carskiej Rosji. Czyżby współcześni targowiczanie zatęsknili za tym? O skali wyobcowania „totalsów” z polskości świadczy rugowanie przez nich nazw ulic upamiętniających polskich patriotów i przywracanie tych komunistycznych.

PS Rządowa konferencja „Kultura i Tożsamość” przypomniła o roli polskiej sztuki narodowej w odzyskaniu niepodległości. Bez romantyzmu nie byłby możliwy wielki zryw wolnościowy Polaków. Dziś nasza artystyczna „bohema” wstydi się słowa „patriotyzm”, dewiza Bóg, Honor, Ojczyzna to dla wielu ciemnogród, a zawołanie „Śmierć wrogom Ojczyzny!” klasyfikowane jest jako mowa nienawiści. Piłsudski mawiał: „Podczas kryzysów strzeżcie się agentur”. Jakich agentur? To rezydenci!



**Lech
Makowiecki**

PRZEZ ŚWIETLIK

Kosmogonie i agonie

Nowy Rok to moment radosny, ale i refleksyjny. Także w polityce. Nie to, żebym namawiał, by kochać każdego polityka, bo wkrótce odejdzie, żaden w końcu ze mnie ksiądz Twardowski, ale parę osób zapewne pożegnamy. Oczywiście, nie mam na myśli tego, że będziemy wspominać je z początkiem listopada. Po prostu zajmą się czymś innym. Znikną. Jedne wybory, drugie wybory i kilku dżentelmenów oraz kilka dam przekwalifikuje się na tyle, że o nich zapomnimy. Choćby ponoć ostatnio taki Grzegorz Schetyna zaczął przedświadczać Katarzynę Lubnauer i spytał z wrodzonym sobie urokiem Dziadka Mroza: „Przechodzisz do nas czy chcesz być skończoną jako polityk i wrócić na uczelnię?”.

„Ja lubię uczelnię” – miała odpowiedzieć rezolutnie pani Katarzyna.



Starzy politycy – ci, których pamiętamy od miliona lat – są jednak bardziej trwali. Kiedy któryś zajął się polityką w marcu 1968 r. albo w czerwcu 1976 r. współtworzył KOR, to już mu to pozostało i wciąż mamy z nim do czynienia.

Podobnie z drugiej strony. Jak niepiśmienny, ale strzelający bez oporów, więc i ustawiony w partii papcio zamarzył dla córki lub syna o karierze i wysłał ich na stypendium do USA, to przez lata oglądaliśmy ich jako – a to szefów dyplomacji, a to profesorów, a to renomowane autorytety z jakże światową ogładą i demokratycznymi zasadami. Starzy politycy są jak Feniks albo egipski bóg Re, który się rodził na nowo w każdy Nowy Rok, w lipcu, kiedy Syriusz się pojawiał i Nil wylewał.

Z nowymi politykami już tak nie jest. Niektórzy mają aspiracje, by być jak mityczna planeta Nibiru, która rzekomo zmierza w kierunku Ziemi i już wkrótce ma na trwałe zakończyć nasze karczemne spory. Ale są jak kamyki, które spalają się w atmosferze.

Nikt już nie pamięta niemal Mateusza Kijowskiego, Ryszard Petru wszedł mocno w swoją kabaretową rolę, ale skępe ma bardzo podobne i zaczyna nudzić. A przecież Petru był typowany na lepszego Tuska, a Kijowski na jakiegoś nowego europejskiego Sacharowa czy Solżenicyna stawiającego opór najstraszliwszej dyktaturze świata. Jaki był Sacharow, i jaka dyktatura, taki był i finał. Głównym wrogiem naszej opozycji „demokratycznej” okazują się nie faceci w skórzanych płaszczach czy permanentna inwigilacja, ale żądza posiadania najnowszego iPhone’a. Petru miał być z kolei jakimś nowym Balcerowiczem albo Morawieckim liberalnej lewicy. Relacja wysokości pensji i spadającego hejtu wykończyła Krzysztofa Łapińskiego, byłego rzecznika prezydenta.

Dlatego nadmiernie bym się nie przywiązywał do rozmaitych politycznych supernowych. Przynajmniej dopóki nie poświęcą na tyle długo, że okażą się jednak stabilnymi, długotrwałymi gwiazdami politycznymi, a tylko takie naprawdę decydują o naszym losie.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

REKLAMA



SPÓŁDZIELCY **INSTYTUT NAUKOWY**

poleca

81

PIENIĄDZE i WIĘŻ



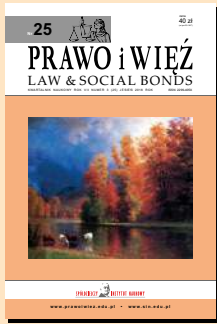
w numerze m.in.:

- Edward O'Boyle, John Paul II on migrants and refugees
- Wiktoria A. Nowak, Kredyt jako źródło finansowania działalności przedsiębiorstwa
- Mariusz Bieliński, Leasing w ujęciu prawno-organizacyjnym przedsiębiorstwa korzystającego
- Julia Posyniak, Regulacyjna funkcja nadzoru KNF nad SKOK
- Bartholoma Waltermann, Zmiany regulacyjne i trendy bankowości europejskiej
- Eugeniusz Gostomski, Monika Grottel, Rola państwa w gospodarce w warunkach globalizacji

25

PRAWO i WIĘŻ

LAW & SOCIAL BONDS



w numerze m.in.:

- Rafał Adamus, Wybrane zagadnienia dotyczące przygotowanej likwidacji
- Dominik Bierecki, Konsekwencje prawne powołania wykonawcy testamentu
- Patryk Ciok, Redefinicja pojęcia ruchu pojazdu na tle orzeczenia TSUE z dn. 28 listopada 2017 r. w kontekście relacji pomiędzy ubezpieczeniem OC posiadacza pojazdu mechanicznego i OC z tytułu prowadzonej działalności
- Barbara Surdykowska, Filar praw socjalnych a wizja europejskiej płacy minimalnej. Czy jest szansa na przełom?

www.p-i-w.edu.pl

www.sin.edu.pl

Święta bez powodu

Pamiętam kolegę z podstawówki. Syn pułkownika politycznego, ateisty. U niego nie urządzano świąt. Okropnie było nam go żal, że nie celebruje Bożego Narodzenia, które dla nas, ówczesnych urwisów, łączyło się z prezentami i wigilijnymi pysznościami. A on biedny nic z tego nie miał. Kolęd nie śpiewał, na pasterkę nie chodził (a była to przecież duża frajda wyjść z domu o północy i spotkać kolegów), no i łyżew ani kija do hokeja pod choinką nie znajdował, bo i choinki nie miał. Wydawało się nam, że musi być mu bardzo przykro. Mój tato natomiast opowiadał, że jeden z jego profesorów (bodaj Tadeusz Czeżowski) miał kiedyś wyznać, że jest niewierzący, ale wiele by dał, aby wierzyć.

Te dwie przypowieści łączy podobny leitmoty – nieszczęście braku wiary. Najczęściej go sobie nie uświadamiamy, ba, pewnie nawet bywamy z tego powodu radzi. Bo przecież nie trzeba sobie zwracać głowy chodzeniem do kościoła, nie trzeba klechów utrzymywać, nie trzeba pościć, przystępować do sakramentów, można nie mieć wyrzutów sumienia albo nawet sumienia. Można też do woli mieszać Kościół i stan kapłański z błotem, a tym samym aspirować do mainstreamowej grupy nowoczesnych oraz światłych Europejczyków. Zachód bowiem już dość dawno pozbył się konfesjonałów i sakramentów, a teraz metodycznie pozbywa się Boga.

Słyszmy co i rusz, że ten czy ów celebryta, polityk, artysta nie życzy sobie szopki betlejemskiej w miejscach publicznych i w ogóle głędzenie o jakimś Bożym Narodzeniu godzi w jego uczucia, swobodę poglądów oraz jeszcze w estetykę. Bo takie żłóbki to czysta tandeta i oczywiście tylko mit. Tak też w sporej mierze wyglądają trwale odkształcone przez komunizm i zachodnie lewactwo elity. Celebracja świąt kościelnych (a raczej ewangelicznych) to rozrywka dla holoty, której nie chce się pracować, i brak szacunku dla tych, którym z wiarą w Boga nie po drodze. Bóg jest bowiem tylko urojeniem, a religia „opium dla mas”.

Ale elity są też wytwórcami. Nie tylko książek, spektakli czy poglądów, lecz również kreatorami tego, co nazywamy poprawnością polityczną. To właśnie poprawność polityczna (ostatecznie generująca niewiedzę) z uroczystości ku czci św. Mikołaja, biskupa z Miry, zrobiła plastikowe, anonimowe mikołajki. Dzień św. Walentego, kapłana i męczennika za wiarę, stał się jakimiś durnymi walentynkami, i w dodatku



**Aleksander
Nalaskowski**

*Z uczelnianych kalendariorów
znikają „przerwa świąteczna”
i „przerwa wielkanocna”,
a pojawiają się „wakacje
zimowe” i „wakacje wiosenne”*

dniem zakochanych. Podobnie rzecz się ma ze św. Hubertem, biskupem z Liège, Merowingiem. Z wspomniania tego wielkiego kapłana i nieustrudzonego misjonarza koniarze uczynili karnawał o nazwie hubertus. Św. Patryk, irlandzki ewangelizator, stał się patronem piwnych biesiad.

Z uczelnianych kalendariorów znikają „przerwa świąteczna” i „przerwa wielkanocna”, a pojawiają się „wakacje zimowe” i „wakacje wiosenne”. Kartki świąteczne przedstawiają niemal wszystko poza żłóbkiem i symbolicznym obrazem Jezusowego wcielenia. Mamy więc osiolki w czerwono-białych czapcach, reniferki, a nawet zajaczki przebrane za jakiegoś Mikołaja. Takie „dwa w jednym”

– i Wielkanoc, i Boże Narodzenie. To ostatnie kojarzy się bowiem twórcom kartek ze wszystkim: z serduszkami, gwiazdkami, aniołami (one już trwale weszły do kultury pop), śniegiem, kominkiem z ogniem, stosem prezentów, karpem (oczywiście w czapce mikołajkowej), a nawet z trójką dzieci (każde o innym kolorze skóry) niosących prezenty. Konia z rzędem, kto się domyśli, że idzie o Trzech Króli. Zbiegiem okoliczności te wizerunki i popisy plasty-

czne dużym kołem omijają ewangeliczne, religijne, ale i historyczne (tak!) źródło tych świąt. Ma być feta, ma być rodzinie, ma być na bogato i syto, ale nie bardzo wiadomo z jakiego powodu. Towarzyszy temu językowe dziwadło, bo „przełamujemy się opłatkiem”, co brzmi koszmarnie. Dziełimy się opłatkiem, symbolem Jezusa, za jego pośrednictwem składamy sobie życzenia. Przełamać to się można wpół, gdy ma się pecha. A opłatkiem, chlebem, radością, dobrą nowiną można się z kimś podzielić.

Dochodzą do mnie e-maile z życzeniami. Najwięcej od firm, w których bazie danych się znalazłem (po zakupie czegoś tam przez internet). Wszyscy życzą mi jakichś „radosnych/wesołych i spokojnych świąt”, ale jakich, to już prawie nikt nie pisze. Mam więc się cieszyć jak dureń, mam być spokojny jak po valium, mam być wesoły jak po skręcie, ale mam nie dociekać z jakiego powodu. Na to wygląda. Wyobraźmy sobie, że tak celebруемy naszą niepodległość. Urządzamy wojskowe parady, wiece, spektakle, wywieszamy flagi, rozdajemy awanse generalskie, ale nigdzie nie padają słowa: niepodległość, Haller, Dmowski, Piłsudski, Polska. Upiorne, prawda? Nie dajmy się więc zwariować. Urodził się Bóg.

Przypowieść wigilijna

Co za wieczór! Co za noc! Katarzyna Lubnauer pisze list do Ryszarda Petru, Kamila Gasiuk-Pihowicz do Katarzyny Lubnauer, Petru do władz Madery, a Joanna Scheuring-Wielgus do Joanny Schmidt.

„Przepraszam, Panie Przewodniczący, za wszystkie intrygi przeciwko panu. Na swoje usprawiedliwienie dodam, że byłam podburzana. Teraz żałuję, bo mogło być inaczej. Pan w pełni na to zasługuje, mnie samej zaś teraz bardzo trudno. Naprawdę samej. Pana jednak nie zapomnę. Tej pięknej nocy. Noc minie, wspomnienia pozostaną” – Katarzyna Lubnauer.

„Pani Przewodnicząca, nasze pierwsze wspólne działania w Nowoczesnej na niwie politycznej barwiły się wszystkimi kolorami tęczy wniesionej przez Pawła Rabejka. To on jednak pierwszy dokonał zdradzieckiego wyłomu, akceptując swoją kandydaturę na rezerwowym miejscu w walce o prezydenturę Warszawy za tym narcyzem Trzaskowskim. Świtało mi w głowie, że moje przejście do Platformy Pani Przewodnicząca może nazwać zdradą. Mnie



**Jerzy
Jachowicz**

jednak chodziło o podjęcie skutecznej walki z PiS. To może się udać tylko w Platformie. Trzeba jednak zmienić szefa. Zachęcam do współpracy” – Kamila Gasiuk-Pihowicz.

„Panie Burmistrzu, przykro mi, że swoim nieodpowiedzialnym przed dwoma laty wyjazdem świątecznym na wyspę, którą Pan zarządza, sprawilem, że stała się ona w Polsce symbolem nielegalnych schadzek, niemal wyspy garsoniery. Zapewniam, że jednym z głównych nurtów działań mojej nowej partii Teraz! będzie przywrócenie wyspie należnej jej miejsca w epidiaskopie atrakcyjnych kurhanów” (jakaś anielska dłoń poprawiła na „w kalejdoskopie atrakcyjnych kurortów”) – Ryszard Petru.

To nie wszystkie listy, które w tę jedyną noc rozwożą aniołowie. Torby mają tak ciężkie, że muszą mocno machać skrzydłami, aby się wznieść.

„Joasiu, nie jest tak, jak myślisz. Dla mnie liczy się tylko partia, dlatego się zgodziłam. Teraz dla Ciebie wierszyk z życzeniami: Co przeżyłaś na Maderze, nikt ci nigdy nie odbierze” – Joanna Scheuring-Wielgus.

MAM NADZIEJĘ

Warto rozmawiać

Wiem, że tak brzmi tytuł autorskiego programu Jana Pospieszalskiego, który u poprzednich władz telewizyjnych miał kłopoty. Przenoszono go z godziny na godzinę, z kanału na kanał. Ale jakoś przetrwał. I bardzo dobrze. Bo warto rozmawiać.

Przed nadchodzącym rokiem zazwyczaj robimy postanowienia. Obiecujemy sobie, czego będziemy dotrzymywać, o czym pamiętać. Ponieważ wielu nowych wyzwań nie mogę się spodziewać, wracam myślą do tego, co było w moim życiu. Kiedyś potrafiliśmy z sobą rozmawiać i to na tematy dotyczące ważnych spraw osobistych, państwowych i narodowych. Rozmawialiśmy też na tematy zawodowe. Bywały i rozmowy koleżeńskie, mało poważne lub nawet frywolne.

Taki jeden wieczór, łączący się z datą 1 stycznia (imieniny Mieczysława), na ulicy Żurawiej, zapamiętałam. W mieszkaniu Barbary Horawianki i Mieczysława Voita Mieczysławów tego dnia było kilkunastu. Czechowicz, Milecki, Kalenik, Gajda, Stor i inni. A Sławek (oczywiście zdrobniony Mieczysław) Voit, wielki i wysoki aktor, chodził z książką Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego z wierszem „300 000 Mieczysławów” i wszystkim solenizantom czytał ten wiersz, przyklękając. Mieszkanie dalejapełniało się Mieczysławami. Rozmawialiśmy o wszyst-



**Katarzyna
Łaniewska**

kim, przekrzykując się. Były to przyjacielskie rozmowy. Nie załatwiał się spraw w biegu, stanowisk ani ról.

Nie doświadczam teraz tych rozmów. Nie gram w teatrze, jestem na głębokiej emeryturze. Ale ci, którzy jeszcze są w teatrze, opowiadają mi, że tam się teraz nie rozmawia. W bufecie każdy jest wpatrzony w swój telefon komórkowy lub ekran innego monitora. I jeszcze ma na uszach słuchawki...

Młodzi ludzie rzadko z sobą rozmawiają. Trudno się porozumieć. Jest to widoczne też w telewizji. W wielu programach TV prowadzący przestają panować nad rozmówcami, a ci zaczynają na siebie krzyczeć. Ciekawe programy, rozpoczynające się w sposób kulturalny, kończą się bałaganem.

Wisława Szymborska napisała piękny wiersz o ludziach, którzy spotykają się po latach, by porozmawiać. Zaczyna się: „Jesteśmy bardzo uprzejmi dla siebie, / twierdzimy, że to miło spotkać się po latach”. A kończy: „Milkniemy w połowie zdania / bez ratunku uśmiechnięci. / Nasi ludzie / nie umieją mówić z sobą”.

I taka jest moja gorzka refleksja o rozmowach prowadzonych lub nieprowadzonych wśród dziennikarzy, polityków czy naszych kolegów. Kochani, podejmijmy postanowienie na 2019 r. – warto rozmawiać.

Nowe wydanie w kioskach!

wSIECI
HISTORII

W numerze:

- **KRÓL SKANDALISTA**
Jak Henryk Walezy został władcą Polski?
- **HUBERT KOSTKA I SB**
Zmagania słynnego piłkarza z bezpieczeństwem
- **BRATNIE PAŃSTWA**
Jak rozeszły się drogi Polski i Czech?



DOŁĄCZ DO NAS NA FACEBOOKU.

WWW.FACEBOOK.COM/WSIECIHISTORII

Rysuje Jerzy Wasiukiewicz



TRENDY I OWĘDY

Na koniec roku

*Na przełomie grudnia
i stycznia mamy skłonności
do remanentu osobistego*

Będąc 20-latką czy 30-latką, widzimy przed sobą bliżej nie-dookreśloną smugę życia. Mając lat 50 czy więcej, już mamy konkret. Jak Bóg da, 20 albo 30 lat dreptania po tym padole. A jak to jest mało, wiemy z praktyki, bo gdzieś nam uciekło, nie wiadomo kiedy, trochę więcej. Najgorsza jest skłonność do sentymentów i doszukiwania się znaków tam, gdzie być może wcale ich nie ma.



**Ryszard
Makowski**

Agencja Muzyczna Polskiego Radia wydała mi płytę „Ryszard Makowski”. Spojrzałem na okładkę... adres agencji: ul. Jacka Kaczmarskiego 59. I mimowolnie odbyłem podróż w czasie. Koniec lat 70. Kulisy sali widowiskowej Riviera-Remont, marzec, czekam na debiut w ruchu studenckim. Trema, nie mogę nastrój gitar (nie było tunerów), zaczynam się denerwować. Ze mną stoi tylko jeden chłopiec. „Umiesz nastrój gitarę?”. Patrzy dziwnie, bierze i lewą ręką kręci kluczami. Potem się dowiedziałem, że to był Jacek Kaczmarski.

Wracam do 2018 r. I wibruje złość! Jak to może być, że zniknie ulica najwybitniejszego pieśniarza ostatniego stulecia? Jak to jest, że mali, podli ludzie poniewierają pamięć o tytanach?

Idzie nielatwy rok. Idzie rok walki. Walki z barbarzyńcami niszczącymi nasze totemy. Pozbawiają nas tożsamości i chcą odczłowieczyć. Konieczny jest remanent! Kto sprzymierzeniec, a kto wróg? I uważajmy! Uważajmy, żeby się nie okazało, jak w piosenkę Andrzeja Rosiewicza, że to byli przebierańcy. Bo i tak może być.

Zawistowski prezentuje: **Bakwan**



Wycinki z przeszłości

Rocznik Gebethnera i Wolffa”, czyli „kalendarz encyklopedyczno-praktyczny” na rok 1914, przypominał swoim czytelnikom kilka staropolskich przysłów na początek roku. Czy i dzisiaj są one obecne w języku potocznym, czy też prognozy w smartfonie lub telewizji wyparły już wszelką obserwację przyrody wokół nas?

Bój się w styczniu wiosny, bo marzec zazdrosny.

Gdy w styczniu deszcz leje, złe robi nadzieje.

Jeżeli pszczoła w styczniu z ulą wylatuje, rzadko pomyślny rok nam obiecuje.

Kiedy styczeń najostrzejszy, wtedy roczek najpłodniejszy.

Styczeń pogodny wróży rok płodny.

W styczniu, gdy niebo z grzmotem się ogłosi, na wschodzie ludzi śmierć w tym roku kosi.

Kiedy Paweł się nawróci [25 stycznia – przyp. red. „Sieci”], zima na wspak się obróci.

Na św. Pawła jasny dzień – dobry rok; wichur i burza – wojna; chmury gęste – pomór bydła; deszcz i śnieg – nieurodzaj i choroby.

Gdy ciepło w lutym, zimno w marcu bywa, długo trwa zima, to jest rzecz niewątpliwa.

Gdy mróz w lutym ostro trzyma, tedy jest niedługa zima, kiedy luty puści, to marzec wypierze.

Święty Walenty, gdy odmrozi pięty – na wyżywienie sprzedawaj sprzęty.

(mk)



Zegar słyszę?...



Leszek **Długosz**

*Zegar, słyszę, wybija,
Ustąp, melankolija!
Dość na dniu ma statek,
Dobrej myśli ostatek.*

[...]

*A kto by chciał na świecie
Uważyć, co się plecie,
Dziwnie to prawdy blisko,
Że człek – Boże igrzysko.*

[...]

Jan Kochanowski, „Pieśń XXIV”, „Księgi pierwsze”

*Zegar ten sam słyszę
Ślachetny, Czarnoleski Janie...
I chocia w tak odmiennej dobie
Toż samo jego pracowanie*

*Bo jakąc nie poweźmie miarę
Czy w którą nie postąpi stronę
Zawszy w tę samą
Prace i kroki jego obrócone*

*Próżne nasze staranie
Tak było, jest i będzie
– Takie z zegarem nasze zgranie
Słyszę... Już on nam wybija?
– Przynosicie na stół wina
– Ustąp melankolija!*

Leszek Długosz

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
w SIECI HISTORII	21 zł	39 zł	73 zł
pakiet SIECI i w SIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

„Normalność” bez norm

W książce Andrzeja Waśki „Demokracja bez korzeni”, wydanej w roku 2009, na okładce widzimy palmę – tę na warszawskim rondzie de Gaulle’a.

Waśko pisał wtedy: „Palmy nie rosną pod polskim niebem, egzotyka sztucznej palmy [...] wyraża więc chęć ucieczki od tego klimatu, od tej ziemi, od tego losu. [...] Palma [...] nikomu nic nie narzuca, nikogo też o niczym nie poucza, informując nas tylko o sposobie myślenia tych, którzy ją tam postawili. Ale właśnie w tej roli może być uznana za symbol całej oficjalnej kultury III Rzeczypospolitej. Po pierwsze jest kiczowata, po drugie jest imitacją czegoś obcego, po trzecie jest nieza-korzeniona, a po czwarte jest martwa”.

Dlaczego przypominamy te słowa?

NORMALNA CAŁKIEM PALMA

Z powodu okładki świątecznego wydania polskiej mutacji „Newsweeka”: ośnieżona palma przy rondzie de Gaulle’a, na którą spoglądają św. Mikołaj z workiem na plecach i choinką w ręce oraz renifer. Mikołaj uśmiechnięty, wydaje się zadowolony, a renifer... chyba jeszcze nie ma wyrobionego zdania. Całości dopełniają życzenia: „Zdrowia, szczęścia, normalności”.

Mija rok stulecia Niepodległej. Mija rok trudny, jednak patrząc na trendy światowe, można się spodziewać, że następne będą trudniejsze.

W Polsce, to prawda, panuje jakieś zmęczenie polityką, ale przecież ambitne reformowanie państwa nie może się odbywać bezproblemowo, bez naruszania rozmaitych interesów, w tym niekoniecznie zbieżnych z interesem narodowym. Można by uznać, że życzenia normalności składane są w dobrej wierze, ale... jak „czytać” normalność Newsweekową?

A RÓŻNIE, RÓŻNIŚCIE

Normalność w domyśle zakłada, że coś jest zgodne z normą, normami. Zazwyczaj uważa się, że to stan właściwy, akceptowany przez większość.

Norma i normalność to pojęcia, które mają swe znaczenia potoczne, ale są także na gruncie różnych dyscyplin nauki mniej bądź bardziej precyzyjnie definiowane. Najściślej-
sze są pewnie określenia prawne dotyczące norm w kon-

kretnych kontekstach. Natomiast ujęcia socjologiczne, a może jeszcze bardziej psychologiczne akcentują jednak złożoność i pewną problematyczność naszego poczucia normalności jako konstruktu kulturowego. Np. zjawisko mody, tego, co wypada, i tego, czego nie wypada ubrać, pokazuje nie tylko, że odczucia normalności są zmienne, lecz także, że można nimi manipulować (do pewnego stopnia).

Postępowy „Newsweek” z umowności i płynności apelowania o „normalność” pewnie dobrze zdaje sobie sprawę. Jednak inaczej już może być w przypadku sporej części jego czytelników.

Przejrzawszy numer „święteczny”, trudno nad rekomendowaną

tam normalnością nie posnuć refleksji. Czyż szczęśliwe związki międzyludzkie muszą być tak schematyczne, jak nakazuje tradycja? Nie ma tego pytania w tygodniku, ale obrazy obok siebie: jeden rysuje się z rozmowy, którą „Newsweek” przeprowadził z Zofią i Andrzejem Wielowieyskimi tworzącymi od 67 lat małżeństwo, które zaowocowało siódmką dzieci, licznymi wnukami i prawnukami. Inny obraz to reportaż o intymnym związku dwóch kobiet oczekujących na dziecko poczęte w wyniku – to nie nasz termin – „zabiegu inseminacji”. Panie też czekają na święta i z troską przygotowują „tęczowy świat” dla dziecka. Artykuł Szymona Hołowni, szczerze zatroskanego o zwierzęta, których głosu nasłuchuje się tylko w tę jedną noc w roku, zamiast na co dzień, opatrzone zdjęciem dwóch małych upozowanych na Matkę Bożą i nowonarodzonego Jezuska w żłóbku. Są też mający wzruszać wywiad z ks. Wojciechem Lemańskim oraz rozmowa z pisarzem nurtu LGBT, a na końcu numeru rysunek Henryka Sawki: ksiądz otwierający drzwi św. Mikołajowi mówi: „Nawet moje dzieci w Ciebie nie wierzą...”.

Jest i reklama Newsweekowego dodatku „Życie bez stresu”. Może tu tkwi sedno? Cóż bardziej stresuje niż sztywne, staroświeckie normy?

IMITACJA

Plastikowa palma skutecznie spina w całość narrację tego numeru. Profesor Waśko ostrzegł, że kultura bez korzeni będzie tylko imitacją. A czym staje się normalność lekceważąca normy mające głębokie zakorzenienie?

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

SIECI w prenumeracie!

Taniej

– oszczędzasz nawet 116 zł!

Pewniej

– dostawa prosto do domu

Z prezentami

– kalendarz 2019 r.
i magnetyczna zakładka
do książki



Prenumerata Sieci: 3 miesiące - 69 zł • 6 miesięcy - 129 zł • 12 miesięcy - 229 zł

Zamów prenumeratę na www.wsieciprawdy.pl/prenumerata lub opłać na pocztę, korzystając z przekazu poniżej, lub zrób przelew elektroniczny na konto **91 1240 5354 1111 0010 7713 6290**, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując rodzaj prenumeraty, np. „Sieci 12 miesięcy” i pełne dane adresowe do wysyłki.

Prenumerata: www.wsieciprawdy.pl/prenumerata **Informacje:** 22 616 15 70, prenumerata@fratria.pl

nazwa odbiorcy	
Fratria Sp. z o.o.	
ul. Legionów 126-128	
81-472 Gdynia	
91124053541111001077136290	
kwota	
słownie	
zleceniodawca	
tytułem	
opłata	
podpis	

nazwa odbiorcy	
Fratria Sp. z o.o.	
nazwa odbiorcy cd.	
ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia	
nr rachunku odbiorcy	
9 1 1 2 4 0 5 3 5 4 1 1 1 0 0 1 0 7 7 1 3 6 2 9 0	
W P PLN	
nr rachunku zleceniodawcy(przelew) / kwota słownie (wpłata)	
nazwa zleceniodawcy	
nazwa zleceniodawcy cd.	
tytułem	
tytułem cd.	
06	
Oplata:	
pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy	

Polecenie przelewu / wpłata gotówkowa

Lotteria Świąteczna WYGRANE

ze

HoHoHo!

Weź udział w loterii do 31 grudnia 2018 r.

**Ponad 600 nagród
do wygrania!**



**28x
5000 zł**



**92x
PREZENT
JUBILERSKI
1000 zł**



4x Toyota AYGO

**500x
KARTA
PRZEDPŁACONA
200 zł**



Graj w punktach



Zapoznaj się z regulaminem loterii na www.lotteriaswiateczna.pl. Organizator loterii: Totalizator Sportowy Sp. z o.o., ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa.

